

ECHO ZIMOWYCH WICHRÓW NIESIE ZA SOBĄ NIEPEWNOŚĆ I TĘSKNOTE,  
I WEZWANIE DO WALKI.

# UTRACONA GODZINA

Stronicy Madsa Voorlena

← TOM II →

Marcin  
**Mortka**

SON  
Imaginatio



# UTRACONA GODZINA

Straciny Madsa Voortena

⇒ TOM II ⇐

Marcin  
**Mortka**

Kraków 2022



## Utracona godzina

Copyright © by Marcin Mortka 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2022

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Paulina Stoparek, Anna Strożek, Magdalena Świerczek-Gryboś

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Przygotowane e-booka – Natalia Patorska

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Ilustracja na okładce – Piotr Sokołowski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików. Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2022

ISBN mobi: 9788382105711

ISBN epub: 9788382105728



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

Promocja: Piotr Stokłosa, Szymon Gagattek, Łukasz Szreniawa, Aleksandra

Parzyszek, Karolina Prewysz-Kwinto, Paulina Gawęda, Beata Nowak

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Mateusz Wesołowski

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Paweł Kasprowicz, Marcin Mendelski

Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

**[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)**

**[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)**

**[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)**

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Epilog

# Prolog



Wysoki, chudy mężczyzna na chwilę przestał szturchać kijem płomienie i uniósł głowę. Oczy przewiązano mu brudną szmatą, ale słuch najwidoczniej miał wyostrozony, gdyż od razu spojrział tam, skąd dobiegały odgłosy szybkich kroków. Wyraźnie słyszał skrzypnięcia śniegu, ciche posapywanie i szelest gałęzi ocierających się o ubranie.

Uśmiechnął się lekko, bez wesołości.

– Jesteś wreszcie, dziewczę – powiedział ostro.

Odgłos kroków ucichł raptownie, co oznaczało, że nowo przybyła zatrzymała się, zapewne zaskoczona naganą.

– Miasto... – wymamrotała. – Miasto jest daleko, a ja musiałam jeszcze... No, rozejrzeć się. Poszwendać. Posłuchać.

– Mimo to sporo ci zeszło. – Mężczyzna westchnął. – Nie masz pojęcia, jak trudno jest ślepcowi obchodzić się bez pomocy! – dodał ostrzej.

– Ja... Wybaczcie, ale... – zająknęła się dziewczyna. – Ja już nigdy...

– Mów lepiej o tym mieście, dziecko. Warto się tam udać?

– Warto! – przytaknęła dziewczyna skwapliwie, jakby miała nadzieję, że pomyślne wieści załagodzą zły humor ślepca. – Wielkie to miasto! Ludne! Bram nie ma, bo je rozwalono podczas szturm, tedy wleźć łatwo, zwłaszcza w nocy!

– Ludne, powiadasz. – Głos ślepca nieco ochłódł. Pojawiła się w nim trudna do sprecyzowania drapieżna nuta. – A dostatnie?

– A bo ja wiem? – Dziewczyna westchnęła. – Mówią, że Smoszczury zabrały wszystko, co cenne.

– Jeść co mają?

– Niewiele. Zima się ciągnie, zapasy kończą, a kupców ni widu, ni słychu, za to koniny sporo – ciągnęła. – I kuchnie polowe stoja na ulicach. Namiestniczka zupę wydaje, całkiem darmo!

– Czyli znajdzie się tam dla nas miejsce?

– Znajdzie – powiedziała z przekonaniem. – Pełno tam ludu, zewsząd. Wszyscy, co przed wojną uciekali albo stracili domostwa, ściągają teraz do Brzasku.

– Zbrojnych widziałaś?

– Ho, ho, wielu! Gadają, że najbitniejsi skrzyknęli się, by skoczyć za Smoszczurami i dalej ich szarpać, a może co spyżać przejąc, ale ciągiem na jakichś natrafiałam. Jedni to z tych, co

mówić nie umieją, zwań ich Pohorcami, ale byli też inni, bitni woje, ho, ho!

– A smoka tam żadnego nie widziałaś?

– Nie – odrzekła z żalem dziewczyna. – Ponoć był i strasznych szkód narobił, ale kazali mu odlecieć. Srał po ulicach, konie płoszył, ludzi chciał zreć. Wiecie, jak to jest ze smokami – dodała tonem znawczyni.

– Odleciał, tak? A dokąd?

– Właściwie odleciała – poprawiła go dziewczyna. – To smoczyca była, mówią. Głupia jak but, ale dzielna.

A ty niby mądra jesteś, co? – zaśmiał się w myślach mężczyzna.

W istocie do najmądrzejszych nie należała. Gdyby miała nieco więcej rozsądku, zapewne zwróciłaby uwagę, że ślepiec mógłby mieć problem z rozpaleniem ognia i nazbieraniem chrustu, a do tego raczej nie ułożyłby drewna w tak staranny stosik. Jemu jednak w niczym to nie przeszkadzało – potrzebował jej tylko po to, by uwiarygodnić swe przebranie, a to nie wymagało wiele pomyślunku.

Wręcz przeciwnie, ten mógłby przeszkadzać.

Stary szturchnął płomienie raz jeszcze i uśmiechnął się do służki.

– No, toś wielki świat widziała. Ho, ho, sama stolica Smoczego Imperium. Słuchaj, a nie mówili na ulicach czegoś o niejakim Voortenie?

– Mówili, juści, że mówili – odparła skwapliwie dziewczyna. – Niektórzy gadali, że poległ w boju, a inni, że w gruzach katedry pogrzebany. Na to jeden rzekł, że ciała nikt nie znalazł, a pułkownik już nieraz takie numery wywijał. No wiecie, że niby ginął, a nie ginął.

– Szkoda byłoby, gdyby zginął. – Ślepiec pokiwał głową. – Oj, wielka szkoda.

Uśmiechnął się po swojemu, nieprzyjemnie.

– Zrób coś do żarcia – rzucił.

– Juści! – zawołała służka i po chwili poniosł się brzęk poobijanego, cynowego kociołka, wyciąganego z juków wiszących u siodła ich zabiedzonej szkapy. Wkrótce do zapachu dymu dołączyła woń lichego, chudego rosołu.

Ślepiec nie potrzebował posiłku, a miskę chciał opróżnić tylko po to, by utrzymać pozory. Nieszczególnie go zatem interesowały zabiegi przygłupiej pomocnicy – siedział nieruchomo i kiwał głową, pogrążony we własnych myślach. Nie miał przy tym



pojęcia, że dziewczyna raz na jakiś czas zerka na niego i przygląda mu się bacznie osobliwie szklistym wzrokiem.

# Rozdział pierwszy



Oddział jazdy zatrzymał się wśród drzew na skraju lasu. Konie oddychały chrapliwie i potrząsały łbami, ale żaden nawet nie prychnął. Jeźdźcy zaś pochylali się w siodłach, jakby chcieli wzrokiem przeniknąć tumany mgły, układające się w fantazyjne kształty nad śnieżną równiną. Ten i ów obmacał kołczan ze strzałami, sprawdził, czy włócznia płynnie wychodzi z tulei na plecach, poklepał cierpliwego wierzchowca. Któryś mruknął, inny gwizdnął cicho, jeszcze inny zatarł dłonie w rękawicach.

Bo cel mieli przed sobą.

Nie widzieli go dobrze, mróz bowiem zelżał w nocy, przez co śnieg zaczął tajać, tu i ówdzie zamieniając się w grząskie kałuże. Mgła, gęsta i złośliwie nieprzenikniona, zasłaniała im widok, ale przecież dzięki raportom zwiadowców doskonale wiedzieli, kogo osaczają. Co więcej, wiedzieli też, że w tak gęstej mgle wróg odkryje ich obecność dopiero, gdy będzie już za późno na zorganizowanie skutecznej obrony. Na hardych, zarośniętych twarzach widniały drapieżne uśmiechy.

Niemalże z lubością żołnierze wsłuchiwali się w parskanie koni pociągowych, poskrzypywanie osi i pokrzykiwanie koniuchów. Spoglądali za siebie, gdzie gromadzili się ich towarzysze, a potem zerkali na swego dowódcę, którego oblicze było równie nieprzeniknione jak mgła.

Napięcie rosło. Mleczna biel zniekształcała odgłosy wydawane przez wędrujący konwój i nawet najbardziej zahartowani wojownicy mieli trudności z oszacowaniem dzielącego ich dystansu. Spojrzenia rzucone ku dowódcy stawały się coraz częstsze i bardziej nerwowe.

Wreszcie ten dał znak.

Nonszalancko machnął dłonią, a wtedy skraj lasu ożył. Mokry, miękki śnieg tłumił uderzenia kopyt dziesiątków koni wyłaniających się spomiędzy drzew, co do jednego niewielkich, myszaty, ale silnych i wytrzymałych. Kierowane przed doświadczonych jeźdźców, formowały długą, rozciągniętą linię, za którą wyrastała druga, a potem trzecia i kolejna. Niczym fale morza, rozpędzające się i coraz potężniejsze, mknęły prosto na wędrujących wrogów przez mgłę, a gdy nie było już wątpliwości, że ci zdali sobie sprawę z ataku, dowódca wzniósł włócznię i huknął:

– Burza!

– Wiatr! – zawyli jego skrzydłowi, a okrzyk poniósł się dalej.

Zafurkotały błękitne chorągiewki na włóczniach, zaryczały rogi, a konie rżały, jakby udzieliło im się uniesienie jeźdźców. Ziemia dudniła, wśród tumanów majaczyły ciężkie wozy ciągnięte przez woły, biegali żołnierze z ciężkimi tarczami, spieszący, by uformować szyk obronny.

Zdążyli, ale nie na wiele to się zdało.

– Wiatr! Wiatr!

Ku nadciągającym kawalerzystom pomknęły pierwsze bełty i strzały, ale jeźdźcy prześlizgiwali się już przez luki w obronie, rażąc żołnierzy pchnięciami włóczni i szabel. Niektórzy napinali luki i posyłali strzały prosto w twarze wroga, inni w pędzie strzelali z małych kusz, które potem błyskawicznie pakowali do skórzanych tulei, by porwać za włócznie. Na topniejący śnieg bryzgały strugi gorącej krwi, powietrze wypełniły szczęk oręża, rżenie koni i krzyki walczących.

Być może gdyby zaatakowani mieli więcej czasu, zdołaliby otoczyć karawanę żelaznym murem tarcz. Byli to wszak Tuistanie, naród słynący z karności i dyscypliny, a ciężkich furgonów łatwo jest bronić. Nie umieliby jednak odeprzeć ataku tak zaskakującego i nagłego – jeźdźcy przemykali bowiem między obrońcami i wozami, siejąc spustoszenie, po czym zawracali i rzucali się do kolejnego uderzenia. Byli dalece mniej liczni od obrońców, ale nadrabiali zwinnością, wprawą i nieustępliwością. Kąsali niczym wilki, a odpędzeni w jednym miejscu, błyskawicznie uderzali w innym. Na mokry śnieg padali zarówno żołnierze, jak i woźnice oraz zwierzęta pociągowe.

Tu i tam obrona zdołała okrzepnąć na krótką chwilę, a kilka wozów zaprzężonych w ćwiczone bez litości konie próbowało się wyrwać z matni, ale nie zdołały umknąć napastnikom. Ogniska oporu rozbijali atakami ze wszystkich stron, a uciekający padali pod pchnięciami włóczni.

Niedługo zresztą trzeba było czekać, by w oczach atakowanych pojawiła się rozpacz. Byli przemoczeni i znużeni drogą, a szarża, z którą przyszło im się mierzyć, byłaby trudna do zatrzymania nawet, gdyby przypuścił ją zwyczajny oddział lekkiej kawalerii. Oni jednakże widzieli budzące grozę błękitne proporczyki i zdawali sobie sprawę, że ich los jest przypieczętowany.

Wszak atakował ich Wiatr. Owiany złą sławą, nieuchwytny oddział lekkiej kawalerii, nieliczny, ale bitny i nieustępliwy, który niczym wataha wygłodniałych wilków podążał za karawanami, co

wypłynęły z Brzasku i innych tuistańskich twierdz. Kasał to tu, to tam, pozostawiając po sobie smętne pobojowiska oraz grozę wśród niedobitków. Jak dotąd żaden z dowodzących ewakuacją nie uznał zagrożenia za na tyle poważne, by wzmocnić tyły dodatkowymi oddziałami, co tylko wzmagало niepewność i lęk wśród tuistańskich szeregów.

Jako pierwsi pękli woźnice i zwykli obozowi, którzy zeszkakiwali z wozów i klękali w błocie, unosząc ręce na znak poddania. Inni, którym lęk zmaćił rozsądek, zacinali konie i próbowali uciekać, ale w mig osaczali ich konni napastnicy. Tu i ówdzie ciskali już broń pierwsi piechociarze. Opór topniał błyskawicznie – w powietrzu krzyżowały się teraz błagalne okrzyki po tuistańsku oraz wrzaski tryumfu zwycięskich kawalerzystów.

Dowódca oddziału minął grupkę zgorzkniałych przeciwników klęczących w błocie, strzeżonych przez trzech kawalerzystów. Podjechał do wozu, z którego dwóch zapobiegliwych woźniców odcięło konie, by uciec na oklep, a potem obrócił w dłoni skrwawioną włócznię i wsunął ją do tulei na plecach. Dobył miecza, jednym chłapięciem rozciął plandekę i zajrzał do środka.

– Skrzynie – zameldował okrwawiony, zdyszany Czochor, który wrył wierzchowca tuż obok niego. – Beczki, worki i inne takie.

Dowódca wydał wargi, po czym ściągnął hełm i przetarł czoło. Jego jasne rudawe włosy były tłuste i spoczone.

– Nic cennego – stwierdził. – Nic, czego szukamy.

– Ano nic, pułkowniku – zgodził się Czochor. – Rozkazy?

Człowiek nazwany pułkownikiem spojrział w stronę czoła karawany, gdzie wciąż trwały walki.

– Kragg i Dharun niech wezmą swoje szwadrony i pogonia niedobitków – zakomenderował. – Zwłaszcza tych, którym udało się zabrać konie. A ty – znów się rozejrzył – wybierz sześciu ludzi. Niech zwałą ładunek z jednego wozu i ułożą tam naszych rannych, by potem zabrać ich do Brzasku. Razem ze wszystkimi końmi, które uda się złapać.

– A wozy? Zima jest, jedzenie się przyda.

– Jedzenie się nie zepsuje, a wilki skrzyń nie otworzą. Niech przyjadą po nie z Brzasku.

– To my... – Czochor się zawahał. – To my nie wracamy do stolicy? Od siedmiu dni jesteśmy w siodłach, zaliczyliśmy sześć dużych starć i parę mniejszych, a...

– Przetrzepcie karawanę w poszukiwaniu wszystkiego, co cenne, a potem ruszamy dalej – uciał mężczyzna nazwany

pułkownikiem. – Łupy rozdzielimy na wieczornym popasie.

Czochor potrząsnął głową, a przez jego jowialną, zawsze nieco zafrasowaną twarz przemknęło coś obcego.

– Pułkowniku, sami tej wojny nie wygramy! Nie rozgromimy w trzysta koni całej tej cholernej nacji, bo...

– Chcesz dołączyć do owej szóstki, która odprowadzi konie do Brzasku? – spytał chłodno dowódca.

– Nie – odrzekł podkomendny z wahaniem. – Nie, bo... Ja...

– To wykonaj rozkazy, na czeluść w dupie Smoczycy! – warknął rozjuszony oficer, po czym przerzucił nogę nad końskim grzbietem i ześlizgnął się z siodła w błoto. – Czy ty w ogóle rozumiesz, o co tu chodzi?! – huknął do oszołomionego Czochora, a potem szybkim, wściekłym krokiem ruszył ku jeńcom, którzy przysłuchiwali się tej wymianie zdań. – Precz! – rozkazał, a gdy kawalerzyści nie zareagowali odpowiednio szybko, smagnął płazem zad jednego z koni. – Won stąd! – rzucił za nimi, po czym z oczami nabiegłymi krwią zwrócił się ku pojmanym i wyciągnął włócznię z tulei. – A wy, padalce? Wiecie może, o co tu chodzi? Czy jesteście równie durni jak ten porucznik?

Któryś z klęczących w błocie Tuistan zerknął nerwowo na towarzysza, co wystarczyło, by dowódca stracił resztki cierpliwości. Zaryczał, zakręcił włócznią ze świstem i rąbnął jeńca w bok głowy. Ten padł w błoto, a krew bluznęła mu z ust.

– Pułkowniku! – zawołał któryś z kawalerzystów, jadąc w stronę dowódcy. Ten zamarł ze wzniesioną włócznią.

– Czego? – warknął.

– Jeden z wozów! – wysapał przybysz. – Jest pełen jakichś papierów! Akt czy czegoś! Może to ważne?

– Może – mruknął oficer. – Poślijcie ten wóz do Brzasku. Niewykluczone, że moja matka coś z tego wyczyta. – Skrzywił się, a potem przypomniał sobie o jeńcach. Bez ostrzeżenia uderzył włócznią najbliższego. – A gdybyście chcieli wiedzieć, za co giniecie – wysapał – to za Voortena! Tu o niego chodzi, wy nieszczęsne szczury! Za Voortena! – wrzeszczał, tłukąc i rąbiąc.

– Za Voortena! – podchwycili jeźdźcy ścigający uciekinierów.

Ich krzyk poniósł się daleko w mgłę, zwielokrotniony i zniekształcony. Usłyszał go każdy, komu udało się uciec spod powstańców ostrzy i kopyt.

Elnaare ciaśniej owinęła się płaszczem, gdy od strony Gór Strzaskanych powiał chłodny wiatr. Targnął mgłami, które od świtu zasnuwały równiny Dzielnicy Centralnej, dzięki czemu kobieta wyraźnie ujrzała zbliżający się hufiec.

Ciężko odetchnęła.

– Skoro tak wzdychasz, córca, coś mi mówi, że wiatr niesie niezły smrodek, prawda? – odezwał się Kostur.

Wysoki, ślepy uzdrowiciel stał obok niej, zakutany w futra od stóp do głów. Wsunął mocną, starczą dłoń pod jej ramię i ścisnął mocno, a kobieta wyraźnie wyczuła, że drży na całym ciele.

– Smrodek, i to nieliczy – przyznała, wpatrując się w proporce, ogromniejące i dumne, choć mocno spłowiałe. – A właściwie nie smrodek, a wręcz smród.

– Czy ten smród długo będzie się nad nami unosił? – spytał starzec.

– Długo – odparła ze znużeniem Elnaare. – Bardzo długo.

Czasem nie mogła uwierzyć, że od chwili, gdy jedna z bram Brzasku rozpadła się w trzech miejscach, uderzona straszliwą, tajemną mocą pohorskiej konnicy, a armia jej syna wtargnęła na ulice, upłynęło raptem siedem dni. Dunstan przed wyjazdem oficjalnie przekazał jej dowodzenie nad miastem, co powagą swego urzędu potwierdził Istvan, dowódca pohorskiego kontyngentu. Elnaare nadal pamiętała, że poczuła wówczas przyływ dumy i nawet uznała to za sprawiedliwość dziejową: oto ona, była Smocza Strażniczka i niegdysiejsza służka żelaznego imperium, teraz obejmuje ster rządów nad tym, co z niego pozostało. Nie miała bladego pojęcia, co czeka ją w ciągu nadchodzących dni.

Po udanym szturmie w mieście znalazło się kilka tysięcy upojonych zwycięstwem żołnierzy, którzy mieli ochotę świętować, rabować i nade wszystko się mścić. Nie udała im się żadna z tych rzeczy, bo uchodzący z miasta Tuistanie zniszczyli wszystek alkohol, którego nie zdołali ze sobą zabrać, a do tego wywieźli większość rzeczy, które miały realną wartość. Nieliczni, co nie zdołali uciec, zginęli podczas szturm lub krótko po nim, a wówczas gniew żołnierzy obrócił się przeciwko tym niemającym czystej tuistańskiej krwi i na czas oblężenia stłoczonym w lochach. Doszło do licznych samosądów, głównie na rzemieślnikach i drobnych kupcach, którzy po uwolnieniu marzyli tylko o tym, by powrócić do własnych domów. Sfrustrowani żołnierze plądrowali kamienice, sklepy i budynki użyteczności publicznej w poszukiwaniu kosztowności, a ci, którym udawało

się coś znaleźć, szybko padali ofiarą napaści innych. Wielu zdezerterowało, lecz na ich miejsce napływali inni, równie zdemoralizowani i jeszcze bardziej spragnieni łatwej zdobyczy. W mieście ciągle wybuchały bijatyki, doszło do kilku pożarów, a do tego zaczynało brakować żywności. Jak na złość w lasach i opustoszałych wioskach czaiły się bandy Wilków, niedobitków z hufca rozpedzonego przez Lharsin i Wieczną Zamięć, gotowe mordować w imię zemsty.

Z tego samego powodu w mieście pojawiły się gromady ludzi pokrzywdzonych przez wojnę, najczęściej mieszkańców wsi i miasteczek splądrowanych lub spalonych w trakcie starć. Niejeden z nich stracił rodzinę, a większość ocalała tyle dobytku, ile tylko zdołała unieść. Docierali do Brzasku wymarzni, wynędzniali, podobni bardziej dzikim stworom niż prostym, uczciwym ludziom, którymi byli jeszcze niedawno, a na ulicach miasta dowiadawali się, że ich udręka wcale się jeszcze nie skończyła. Tuistanie zabrali wszak większość tego, co nadawało się do jedzenia, a bezlitosna zima wcale nie chciała ustąpić. W stolicy panował głód nie mniejszy niż na równinach wokół niej, więc zrozpaczeni uchodźcy rzucali się do grabieży w ślad za żołnierzami.

Elinaare nie przypominała sobie, by choć raz spała dłużej niż kilka godzin, nie pamiętała też swego ostatniego ciepłego posiłku. Każdy dzień wypełniały jej niekończące się narady, klótnie i interwencje w różnych częściach niemałego w sumie miasta. W jednej chwili nadzorowała odbudowę bramy, by w następnej wymierzać kary kolejnym maruderom, słuchać raportów zatroskanego kwatermistrza czy rozsyłać patrole po okolicy. Wyszarpywała ze spichlerzy resztki jedzenia, ustawiała kuchnie polowe dla najbardziej potrzebujących i rozsyłała grupy myśliwych, by polowali na jakąkolwiek zwierzynę, łącznie ze zdziczałymi końmi. Bez przerwy dopadali ją jacyś ludzie – podlegli jej podoficerowie, urzędnicy z właśnie tworzonej administracji, wiecznie znękani mieszkańcy miasta, zwiadowcy z meldunkami czy wreszcie zapłakani uchodźcy doprowadzeni do ostateczności. Nigdy w życiu nie musiała podejmować tylu trudnych decyzji jednocześnie, nigdy też nie czuła na sobie takiej odpowiedzialności.

Miejscem, w którym zaszywała się, by odpocząć, był szpital zarządzany przez Kostura. Siadała na wolnym łóżku, podciągała kolana pod brodę, układała sobie Kupkę na kolanach i milczała,



a jęki rannych i chorych wydawały się jej miłsze od wrzasków, skarg i raportów.

I, siłą rzeczy, tęskniła. Za Madsem. Za Dunstanem. Za Czochorem i Pokrzewką. Nawet za durną Lharsin, którą wspólnie z Kosturem namówili do opuszczenia Brzasku, by przypadkiem nie sprowokowała jakiegoś wojaka marzącego o sławie smokobójcy.

Niestety żadne z nich nie wracało i nic nie wskazywało na to, by miało to wnet nastąpić. Zamiast tego do Brzasku przybywały coraz to nowe kłopoty. Jeszcze Elinaare nie pogodziła się z tym, że od dwóch dni gości delegację z Wichrogór, a wyłynęła kolejna trudność.

– Chodźmy na dół – powiedziała do Kostura, gdy ciało starca na powrót przeszły dreszcze. – Jeszcze cię jakieś choróbko pochwyli i co wtedy pocniemy? Nie chcę stracić ostatniego przyjaciela!

– Trzeba czegoś więcej, by mnie przegonić z tego świata – burknął gderliwie uzdrowiciel, ale mimo protestów pozwolił się sprowadzić na dół.

Tam opiekę przejął nad nim Thum, tyczkowaty i nieskończenie wprost cierpliwy Pohorzec, którego Elinaare podejrzewała o częściową głuchotę, bo choć Kostur ani na chwilę nie przestawał go łajać, ten nigdy się nawet nie skrzywił. Przed kobietą zaś stanęło dwóch innych mężczyzn: ponury Hriszczanin Krzemień, weteran należący do Wiatru, obecnie dowódca całego garnizonu Brzasku, oraz Strumił, wiecznie zatroskany Pogórzanin odpowiedzialny za zaopatrzenie miasta.

– Wielmożna namiestniczko – rzekł Krzemień, przytykając pięść do starego, obtluczonego napierśnika i kłaniając się przed kobietą.

Elinaare przewróciła oczyma – wielokrotnie powtarzała, że nie życzy sobie, by tytułowano ją w ten sposób, zwłaszcza w obecności innych szlachetnie urodzonych, ale najwyraźniej wojskowi porządkowali sobie świat wedle rang i nie radzili sobie bez nich zbyt dobrze.

– Nasz nowy oddział lekkiej kawalerii jest już gotów do działania – mówił Krzemień. – Na razie dwieście koni, ale to nieźle jak na początek, zwłaszcza że Istvan pošle z nami kilka szwadronów. Chcę przepatrzeć okolice Przełęczu Hobolskiej, gdzie ponoć zgromadziło się sporo Wilców...

– Rób, co uznasz za stosowne – przerwała mu Elinaare i machnęła ręką. – Nie chcę cię, Krzemień, zbywać – dodała, gdy w oczach wojaka błysnęło zdziwienie – ale po co ci moje zdanie, skoro znasz się na swoim fachu dziesięciokrotnie lepiej ode mnie?

Oficer uklonił się lekko, a kobieta z wyraźnym westchnieniem odwróciła się ku Strumiłowi. Ten odczytał jej spojrzenie.

– Wszystko gotowe na powitanie delegacji głuchoborskiej – rzekł i lekko się skłonił.

– Świetnie – oznajmiła była Strażniczka. – Słyszałeś, Krzemień? Ruszaj w pole, bo zaraz cię poproszę, byś wziął mnie ze sobą.

Nad murami Brzasku poniosł się długi, chrapliwy zew głuchoborskich rogów.

\*

Orszak głuchoborski, strojny w sztandary, wielkie tarcze i pyszne zbroje, przejechał z pompą główną arterią Brzasku, śledzony niespokojnymi spojrzeniami gromadzących się na chodnikach ludzi, zarówno ocalałych mieszkańców miasta, jak i wielokrotnie liczniejszych uchodźców. Ich lęk był wyczuwalny, a Elinaare wcale się temu nie dziwiła – Głuchoborzanie sprawiali przecież wrażenie, jakby jechali na wojnę, a nie w gości. Była Strażniczka zachowała jednak wystudiowany spokój i obojętnie patrzyła na rycerzy wypełniających główny rynek stolicy, aż skupiła spojrzenie na Malhornie.

Przez kilka ostatnich miesięcy widziała go jedynie raz – spotkali się przelotnie po bitwie pod Grzywaczem, ale Głuchoborzanin był nazbyt rozwścieczony po kłótni z Madsem, by chcieć z nią porozmawiać, ją zaś pochłoneły rozpaczliwe, zakończone niepowodzeniem poszukiwania zaginionego Voortena.

Teraz, gdy ujrzała Malhorna ponownie, wydał jej się jeszcze wyższy niż wcześniej, a do tego majestatyczny. Wrażenie to wzmacniały zapewne pyszna płytowa zbroja, a także długi płaszcz z górskich wilków, spływający z ramion aż po łydki. Wyczuła również w ruchach mężczyzny oszczędną dostojałość, a w spojrzeniu rezerwę i znużenie. Jego jasna broda była teraz starannie przystrzyżona, ale wokół oczu pojawiły się zmarszczki.

Odruchowo wytłumaczyła sobie ich obecność właśnie przebytą długą drogą. Nie miała więcej czasu na obserwację, bo tuż przed nią wyrósł Gulvard, Wybrany Rady Dziedziców.

– Ciebie zapewne zwaą Elinaare, prawda? – huknął. – Ha, od razu się domyśliłem! Wołaj no tu tego całego Bielika, nalej nam wina i bierzmy się do roboty.

Rada Dziedziców była półformalną organizacją, która przetrwała w ukryciu czasy tuistańskich rządów, a podczas powstania wymierzonego przeciwko Tuistanom, zwanego Drugą Burzą, oficjalnie przejęła władzę na wyzwalanych skrawkach Głuchoborów. Jej członkowie wszem i wobec głosili, że ich rządy są tymczasowe i zakończą się, gdy rycerstwo Głuchoborów odnajdzie swego zaginionego króla lub obierze nowego. Elinaare, która stała swego czasu nad grobowcem Tadmira III, króla uciekiniera, nie wątpiła, że zrealizowany zostanie drugi scenariusz.

Sam Gulvard zaś sprawiał wrażenie męża, który jak nic weźmie udział w starciu o koronę i będzie zaciekle walczył. Był wysokim, potężnie zbudowanym rycerzem o surowej, pobrużdżonej twarzy, z której wiek, zgryzota i alkohol nie wymazały jeszcze resztek męskiej urody. Do tego przez lata wykształcił cenną umiejętność ściągania na siebie uwagi otoczenia. Szedł teraz szerokim, rozkołysanym krokiem człowieka idealnie panującego nad sytuacją, płaszcz odrzucił na bok z hipnotyczną wprost nonszalancją, odsłaniając wypolerowany, ale poznaczony szramami napierśnik. Cała jego postawa mówiła: patrzcie! Oto wojownik, który nie zna strachu ani wątpliwości!

W jego przymrużonych oczach okolonych zmarszczkami błysnęło więc zdumienie, gdy Elinaare, czekająca na niego u szczytu schodów, nawet nie drgnęła.

– Witajcie, o Wybrany – powiedziała. – Z całą pewnością jesteście zdrożeni, pozwólcie więc, by moi słudzy zajęli się wami i waszymi końmi. Potem prosimy na skromną wieczerzę...

– Z kim, twoim zdaniem, przyszło ci przestawać, niewiasto? – przerwał jej Gulvard, odruchowo prostując się i kładąc dłoń w rękawicy na rękojeść miecza. – Jestem głuchoborskim rycerzem! Spędziłem życie w siodle i nie będę się oddawał krotochwilom, kiedy trzeba decydować o losach Rozkrzyczanych Krain.

Jego tubalny głos niósł się daleko i docierał zarówno do gromadzących się na placu gapiów, jak i do głuchoborskich rycerzy oraz giermków, których żelazny pierścień dalej zajmował większość rynku. Na placu płonęły gazowe latarnie, a ich blask odbijał się od wypolerowanych blach. Zapadła niemalże

nieprzenikniona cisza, choć Elinaare wydawało się, że słyszy cichy chrzęst kolczugi i skrzypnięcia skóry, gdy stojący za jej plecami przybocznicy szykowali się na ewentualność walki.

Kobieta poczuła, jak jej serce zaczyna bić szybciej, a na dłonie występuje pot. Przybysz rzucał jej oczywiste, wulgarnie wręcz wyzwanie, co natychmiast obudziło w niej mieszaninę lęku z wściekłością. Większość swego życia Elinaare spędziła jednak jako Smocza Strażniczka, doskonale opanowała więc sztukę maskowania uczuć. Aroganckiego arystokratę obrzuciła obojętnym spojrzeniem i powiedziała:

– Zapewniam was, Wybrany, że w Rozkrzyczanych Krainach po raz pierwszy od dawna zapanował pokój i zbyt ni pośpiech nie jest wskazany. – Skłoniła się lekko. – Wiem jednakże, iż dźwigacie niemałe brzemie na swych niemłodych barkach i jeśli spieszno wam do Łoskotu, by tam zająć się sprawami ojczyzny, z chęcią usiądę do stołu z księciem Malhornem.

– Niemłodych? – prychnął rycerz. – Och, niewiasto! My, rycerze z Głuchoborów, kpimy z upływu lat, co chętnie bym ci pokazał, tym bardziej, żeś, z tego, co mi mówiono, zakonnica! – Poczekał, aż ucichną śmiechy jego towarzyszy, po czym podjął równie głośno jak przed chwilą: – Niestety nie będę mieć na to czasu, bo w istocie spieszno mi wracać do Łoskotu. Nie mogę wszak dopuścić, by o losach naszej ojczyzny decydowali ludzie równie doświadczeni i roztropni jak książę Malhorn, który tak ci się spodobał. – Odwrócił głowę, by pokazowo zmiażdżyć młodego rycerza spojrzeniem. – Zawołaj Bielika – rozkazał Elinaare. – Nie będę czasu na bzdury marnował. Radzić trzeba.

– Bielik wyjechał z Brzasku kilka dni temu. Nęka uchodzących Tuistan – odrzekła kobieta.

– Co takiego? – Wybrany ściągnął gniewnie brwi. – A więc pchnijcie po niego umyślnego! Mamy kilka istotnych spraw do omówienia, a ja czekać po próżnicy nie będę!

– Nikt nie wie, gdzie Bielik przebywa – powiedziała Elinaare z zimnym spokojem. – Na czele Wiatru atakuje tuistańskie tabory, by zdobyć pożywienie dla załogi Brzasku. Jego misja, jak widzicie, również jest dość istotna.

– Nie będę czekał... – powtórzył głuchoborski rycerz, ale Elinaare niespodziewanie przejęła inicjatywę. Uniosła dłoń i wlała w ów gest część pozostałej jej Mocy, na tyle silną, by Gulvard natychmiast zamilkł.

– Nie musisz, Wybrany – rzekła miękko. – Bielik pozostawił mi pełnomocnictwo, by toczyć rozmowy w imieniu jego i armii powstańczej. Do stołu zasiądą również Pohorcy i Wichrogórzanie.

Gulvard odkaslnął parokrotnie. Przekrzywiwszy głowę, przez chwilę przyglądał się kobiecie, a gdy przemówił, jego głos zabrzmiał jak złowieszczy syk.

– Mam zasiąść do stołu z kobietą? Z renegatką i była Smoczą Strażniczką, której jedyną zasługą jest to, że powiła przywódcę tej żalosnej hordy? – Zatoczył ręką krąg. – Z rudowłosą zdziwą, która szlajała się po świecie z cholernym Voortenem, największym zdrajcą, jakiego znają opowieści? Z kapłanką zdechłej bogini, której wyznawców dopiero co przegnaliśmy z Łoskotu?

– O ile dobrze kojarzę, opuścili go sami. Podobnie jak Brzask i inne miasta – powiedziała Elinaare. – Natomiast co do reszty waszego bełkotu, Wybrany... Cóż, chęlpicie się swą głuchoborską męskością, podczas gdy na okolicznych dworach od dawna wiadomo, że na kobiety działają przede wszystkim ogłada i piękne słowa. To zaś, co się wam z gęby ulewa, Wybrany, nie jest warte więcej od pomyj dla świń. Służący zaprowadzą was do kwater.

Po obliczu Gulvarda przemknął wściekły grymas i przez moment Elinaare była przekonana, że przybysz rzuci się na nią i uderzy ją w twarz. Przywołała resztki swej Mocy i uśmiechnęła się lodowato, a Głuchoborzanin najwyraźniej przypomniał sobie, że przed chwilą odczuł jej działanie na sobie, bo poskromił emocje.

– W świńskich pomyjach – wycedził – wytarżam cię całą, jeśli jeszcze raz mnie obrazisz.

– Wybacz, Wybrany. – Kobieta się ukloniła. – Powinna być pamiętać, że źle znosicie prawdę o sobie. Do zobaczenia wieczorem.

\*

Elinaare zatrzymała się przed kolejnym skrzyżowaniem.

Ulica była niemalże pusta, nie licząc grupki uchodźców, głównie kobiet, skupionych wokół mizernego płomienia oraz kilku przeklinających parobków ładujących na wóz puste beczki. Nie to jednak przykuło uwagę kobiety.

Była Smocza Strażniczka uświadomiła sobie, że jeśli skręci w prawo, po kilkunastu krokach znajdzie się przed miejscem, w którym spędziła część dzieciństwa i całą młodość. Wystarczyłby bowiem jeden krok, by ujrzała mur okalający Smoczy Dom.

Upłynęły całe lata, a wspomnienie tego miejsca nadal wywoływało u niej ciarki. Choć minęło już sześć dni od zdobycia Brzasku, wciąż nie odważyła się tam podejść.

Chwila wahania trwała zaledwie sekundę, może dwie, ale to wystarczyło, by Elinaare na moment straciła kontakt z rzeczywistością. Nie usłyszała kroków zbliżającego się mężczyzny, a dotyk ręki, która opadła jej na ramię, zaskoczył ją i przestraszył. Obróciła się z gniewną twarzą, ale wściekły grymas przygasł natychmiast, gdy ujrzała, że tym, kto próbował ją zatrzymać, jest Malhorn.

Głuchoborzanin spojrzał na nią niemalże przeproszająco i cofnął rękę.

– Wybacz – burknął pod nosem. – Ale tak pędziłaś, że... Nie mogę cię jakoś...

Rozejrzał się pospiesznie, jakby dręczyły go jakieś obawy. Był to odruch, który zupełnie nie pasował do potężnego, zahartowanego mężczyzny, ale Elinaare natychmiast go zrozumiała.

– Chodź – mruknęła i ruszyła przodem.

Znaleźli się w ciemnej uliczce, szczęśliwie wolnej od uchodźców, którzy, jak się jej wydawało, zajmowali każdy kąt stolicy. Nie docierało tu światło gazowych latarni, które zalewały główne arterie Brzasku ciepłym, złocistym blaskiem. Śnieg chrząścił pod ciężkimi butami mężczyzny.

– Zaraz będą mnie szukać – powiedział Malhorn ze złością. – Nie mamy wiele czasu.

– Mnie też będą szukać – rzekła zmęczonym głosem Elinaare. – Wygląda na to, że oboje staliśmy się bardzo, ale to bardzo potrzebni.

– Ty, z tego, co widzę, odgrywasz przynajmniej jakąś rolę – prychnął Malhorn. – Ja jestem wielmożnemu Gulwardowi równie potrzebny jak sztandar. A przecież do chwili wyjazdu z Łoskotu byłem nadzieją na odrodzenie narodu głuchoborskiego! – Rozrzucił ramiona i dodał z ironią: – Jestem tym, który poprowadzi nas ku nowej, świetlanej przyszłości! Natchnieniem dla walczących i inspiracją dla wątpiących!

– Popatrz. – Elinaare zmarszczyła brwi, ale w jej oczach pojawiło się rozbawienie. – Czyż to nie idealna rola dla nadętego dupka?

Dawny Malhorn najeżyłby się i odpowiedział prychnięciem bądź zniewagą, ale ten zaśmiał się tylko ze znużeniem.

– Dobrze cię widzieć, Elinaare.

– Ciebie również, Malhornie. Cieszę się, że przeżyłeś to wszystko.

Padli sobie w objęcia i tulili się przez długą chwilę, aż Elinaare uniosła głowę, ucałowała rycerza w zarośnięty policzek i pogładziła go dłonią po drugim. Mężczyzna z uśmiechem strząsnął płatek śniegu z jej włosów.

– Tyle mam ci do powiedzenia – rzekł cicho – ale boję się, że nie będziemy mieli ku temu okazji. Gulvard niechętnie spuszcza mnie z oczu. Nie życzy sobie, byśmy się kontaktowali. Wie, że znamy się jeszcze sprzed Drugiej Burzy i że oboje przyjaźniliśmy się z Voortenem.

– Voorten – westchnęła była Smocza Strażniczka, kręcąc głową. – Czasem mam wrażenie, że ten człowiek poróżnił ze sobą dosłownie wszystkich ludzi w Rozkrzyczanych Krainach.

– A także wszystkich ludzi z innymi plemionami – powiedział chłodno Malhorn. – Wiesz, że zdobył Szeląg dla krasnoludów? Że utraciliśmy Gościnną Dolinę?

„Która nigdy nie była wasza”, chciała powiedzieć Elinaare, ale ugryzła się w język.

– Czy to wszystko prawda? – spytał Malhorn. – To, o czym ludzie mówią?

– Że zwerbował smoka do kompanii? – Kobieta uniosła brew. – Że wyrwał część Wiecznej Zamięci i przepędził tysiące Wilców? Że namówił Pohorców do wspólnego ataku na Brzask? Że oddał się dobrowolnie w ręce Oriany, by móc ściągnąć na siebie atak Hoydna? Że wyrwał się z jej niewoli i przebił się aż do świątyni Smoczycy? Tak, to wszystko prawda.

– Nie, o coś innego pytam – powiedział Malhorn, a w jego oczach pojawił się nieprzyjemny błysk.

Do ciemnej uliczki wpadało niewiele blasku z latarni rozstawionych wokół rynku, ale Elinaare i tak widziała płatki śniegu opadające na naramiennik rycerza. Skupiła na nich uwagę, by nie patrzeć na Malhorna.

– Chcesz wiedzieć, czy Mads nie żyje, tak? – spytała cicho. – A więc wiedz, że owszem, nie żyje.

– Trochę... – Rycerz odkaslnął. – Trochę nie chce mi się w to wierzyć. Świat bez Voortena jest...

– Pusty – dokończyła Elinaare. – I wcale nie łatwiejszy, bo musimy odkręcić wszystko to, co ten szaleniec namieszał.

– Nie wierzę ci – oświadczył Malhorn i cofnął się o krok. – Już raz mówiono, że Voorten nie żyje. Ponoć zginął pod Grzywaczem

po naszej... No, różnicy zdań. Kilka tygodni później widziano go we włościach barona Trzimira. Nie wierzę ci – powtórzył głośniejszym głosem. – Zaprowadź mnie do jego grobu.

– Podobno Gulvard nie spuszcza cię z oczu. – Elinaare uniosła brew.

– Gdzie jest jego grób? – spytał zduszonym głosem rycerz.

Nagły atak bólu głowy sprawił, że Elinaare aż się zatoczyła. Oszolomiona, zrobiła krok w tył i uderzyła potylicą w ścianę kamienicy, a potem Malhorn, widoczny jeszcze przed chwilą, zniknął w wirze szarości. Potem zaś rozległo się pytanie, zadane dobrze jej znanym głosem.

„Nie – szepnęła w myślach. – Niczego nie wiem. Nie mogę ci pomóc, przynajmniej na razie. Skontaktuj się ze mną jutro, proszę”.

Szarość się rozplynęła, a w niej zamajaczył Malhorn, potężny w swej zbroi i futrach, ale zatroskany.

– Co się dzieje? – szepnął, ujmując Elinaare za ramiona. – Nic ci nie jest?

– Nie – odparła cicho była Strażniczka, przytomniejąc. – Za dużo pracuję, za mało śpię. Nic mi nie jest.

Po placu niosły się już chrapliwe pokrzykiwania po głuchoborsku, wzmocnione rytmicznym brzękiem oręza.

– Idź już. – Elinaare klepnęła Malhorna w stalowy naramiennik. – Udawaj, że się musiałeś wysikać czy coś. Ja wyjdę z drugiej strony.

Odwróciła się, ale rycerz w porę złapał ją za nadgarstek.

– Nie odpowiedziałas mi na pytanie – syknął. – Gdzie jest jego grób?

– Po co ci to?

– Nie wiem – odrzekł rycerz. – Muszę...

– Co takiego, Malhorn? – Elinaare zmrużyła oczy. – Uronić nad nim łzę i powspominać dawne dzieje? A może splunąć z pogardą na zwłoki człowieka, który odebrał wam Szeląg i Gościenną Dolinę? A może rozkopiesz grób, by mieć pewność, że zdrajca nie żyje?

Rycerz się wyprostował.

– Nic z tych rzeczy.

– To dobrze – oświadczyła Elinaare. – Bo nie ma żadnego grobu.



Mads odsunął się od Otluka i odetchnął ciężko, a potem, wiedziony życzliwym odruchem, wyciągnął z kieszeni chustkę i przetarł osiłkowi spocone czoło. Potem nałożył mu czapę na głowę i klepnął go w plecy.

– Chodź do ognia – powiedział zmienionym głosem, naśladowując wesołość. – Zjemy coś.

– Zjemy – potwierdził z entuzjazmem Otluk, uśmiechając się szeroko. – Zjemy.

Wyszli spomiędzy sosenek rosnących wokół niewielkiej polany, na której rozbili obozowisko. Konie prychały cicho, żując obrok, ogień trzaskał, śląc ku gwiazdom dziesiątki iskier. Po porannych mgłach nie było już śladu i szybko robiło się coraz chłodniej, co oznaczało, że zima na dobre rozgościła się w Rozkrzyczanych Krainach.

Dla kilku mężczyzn zgromadzonych wokół ognia nie miało to jednak większego znaczenia. Każdy z nich od tak dawna wędrował po drogach i bezdrożach Głuchoborów, Pohorów i Dzielnicy Centralnej, że mrozy, śnieżyce i lodowate wichry nie robiły już na żadnym wrażenia. Zarośnięci, otuleni w futra i pledy, zawsze z bronią pod ręką, przypominali bardziej kosmatych bandziorów niż karnych żołnierzy.

Mads poklepał po pysku Żmijkę, ukochanego konia, a potem podszedł do ognia.

– Co w Brzasku? – spytał Chryja, wielki Ostrohorzec z krzaczastymi, zrosniętymi brwiami, który miarowymi ruchami ostrzył topór.

– Niewiele. – Mads usiadł na skórzanej derce między Tluhirem, wiecznie milczącym Pohorcem, i Vaskiem, Okrajcem o przekrwionych oczach. – Poza tym, że przybyli Głuchoborzanie. Czemu Smoszczury dały dyla, nadal nikt nie ma pojęcia. – Zamilkł i dodał po chwili: – Zostało coś fasoli?

Borsuk, wichrogórski strzelec i tropiciel, który zastąpił w grupie Krzemienia, nachylił się i napelnił miskę dowódcy. Ten złapał za łyżkę i zaatakował zawartość naczynia, parząc sobie usta.

– Dobrze – powiedział po chwili, unosząc głowę. – Twoja robota, Pokrzewka? – zwrócił się do rudego młodzieńca, który właśnie odłożył lutnię, by dorzucić bierwion do ognia.

– Juści, że moja – odparł tamten hardo. – Zostawiłbym któregoś z tych kpów przy garnku, to jeszcze by do niego naszczał.

Tluhir cmoknął ostrzegawczo, a Borsuk wziął się pod boki, udając oburzenie, za to Chryja zaśmiał się krótko i urwał sobie

pajdę chleba.

– Coś w tym musi być – powiedział, wybierając chlebem resztki posiłku. – To, co żarliśmy wczoraj, woniało czymś paskudnym. Otluk, przyznaj się. Nasikałeś nam do żarcia, co?

Otluk miał wiele darów, ale próżno było wśród nich szukać poczucia humoru. Spojrzał więc na topornika z przerażeniem tak wielkim, że rozbawił tym wszystkich, łącznie z wiecznie skrzywionym Tluhirem. Im dłużej śmiali się wojownicy, tym bardziej przestraszony się wydawał, aż w końcu Mads klepnął go w ramię i przygarnął do siebie.

– Nie przejmuj się, Otluk – powiedział. – Podmieniliśmy wczoraj Chryi miski, jak nie patrzył. Nie miałem pojęcia, że w Ostrohorach tak sobie cenią końskie łajno.

Jego słowa powitał kolejny wybuch śmiechu. Mads podniósł się z głośnym stęknięciem – wciąż bolało go miejsce po uderzeniu belki, która runęła ze stropu katedry – obszedł ognisko i stanął pod drzewami, gdzie leżało jeszcze sporo świeżego śniegu. Nachylił się i wymył nim miskę, a potem się wyprostował i utkwiał spojrzenie między drzewami.

Mięśnie jego twarzy powoli się rozluźniły. Oblicze znów stało się puste, obojętne, niemalże martwe.

Od chwili, gdy wyciągnięto go spod gruzów świątyni, z własnej woli nie uśmiechnął się ani razu. To, co zobaczył tuż przed atakiem Hoydna i odsieczą Lharsin, wyrwało mu bowiem serce i pozostawiło wyrwę, której mrok rozlewał się po całym jego ciele.

Mads Voorten po raz pierwszy w życiu stracił nadzieję. Całkowicie. Jego dusza przypominała podziurawiony strzałami bukłak na środku pustyni.

Jedynym, co nadal pchało go do działania, była zawziętość, spleciona w jedno z poczuciem obowiązku. Tylko dlatego uległ namowom Elinaare i wsiadł na konia natychmiast po tym, jak Kostur pozwolił mu wstać z łóżka. Tylko dlatego nie parsknął gorzkim śmiechem, gdy była Strażniczka klarowała mu, jak mało wiedzą o motywach działania Tuistan i jak ważny jest czujny zwiad, przyczajony gdzieś u boku ogromnej, wrogiej armii. Wyruszył, bo wiedział, że tak należy. Bo nie umiał zrobić nic innego.

Dlatego też parł naprzód u boku uchodzącej armii, największej, jaką kiedykolwiek widziały Rozkrzyczane Krainy. Prowadził swych kilku towarzyszy, przesłuchiwał pochwyconych jeńców, za pośrednictwem Otluka przekazywał Elinaare to, czego się

dowiedział, i nade wszystko nie spuszczał wzroku z wojsk Smoszczurów. Podczas nocy takich jak ta, jasnych i rozgwieżdżonych, miał idealny wprost widok na zdawałoby się niekończący się obóz tuistański. Patrzył na setki, tysiące ognisk i wsłuchiwał się w odległy gwar rozmów, kłótni, śmiechów i pieśni, przywodzący na myśl szum morza. Wodził wzrokiem po niekończącej się polaci namiotów, wozów, ludzkich skupisk i stad zwierząt, jakby wierzył, że uda mu się wypatrzeć tę jedną, jedyną rzecz, za którą oddałby życie.

Miał przed sobą cały naród, dumny, waleczny i karny, który najpierw bez trudu cisnął Rozkrzyczane Krainy na kolana i pokarał Przekleństwami tych, którzy ośmielili się stawić mu czoła, a po upływie stu lat, o wiele silniejszy i liczniejszy niż wcześniej, postanowił odwrócić się i odejść. Faktem było to, że Tuistanie utracili Smoczycę, która zapewniała im przewagę nad każdym przeciwnikiem, a kataklizmy Końca i furia powstańców odebrały im wyraźną przewagę, ale przecież, gdyby tylko chcieli, mogliby zdusić wszelki opór i panować nad Rozkrzyczanymi Krainami po wsze czasy.

Mimo to postanowili uciec.

Mads nie wnikał w przyczyny tego stanu rzeczy. Nie interesowały go losy świata i nie pamiętał już o Drugiej Burzy. Od chwili, gdy otworzył oczy po zawaleniu się katedry Smoczycy, myślał już tylko o jednym.

O niej. A raczej o tym, że ją utracił.

Hunna, jego ukochana, zamieniona w kamień czarodziejską mocą, spoczywała teraz na którymś z tuistańskich wozów. Być może znajdowała się w zasięgu mili albo dwóch, ale równie dobrze mogłaby leżeć na dnie morza.

Myślał też o Orianie – Smoczkiej Strażniczce, która nienawidziła go z całą mocą swego pocerniałego serca i zastawiała na niego pułapkę za pułapką. Jeśli istniało coś, co mogło jeszcze go skłonić do wyciągnięcia ostrza z pochwy, była to właśnie nadzieja, że kiedyś zdoła je wbić w jej wnętrze.

Obie – nienawistna Oriana i ukochana Hunna – znajdowały się gdzieś tam, we wrogim obozowisku.

Na dnie morza.

## Rozdział drugi



Wieczerzę dla gości urządzone w jednej z pomniejszych sal pałacu Króla-Wieszca, co było świadomą i przemyślaną decyzją kwatermistrza Strumiła. Inne, być może bardziej okazałe sale zostały bowiem całkowicie pozbawione wszelkich ozdób przez umykających Tuistan, do tego podczas starć na ulicach powybijano tam okna. W mniejszych pomieszczeniach surowość wystroju mniej rzucała się w oczy, a poza tym po prostu łatwiej było je ogrzać.

Gulvard wkroczył do środka z oczywistym zamiarem zdominowania rozmowy, ale ku starannie maskowanej satysfakcji Elinaare czekała go seria rozczarowań. Pierwszego dostarczył mu Istvan, dowódca pohorskich sił, który poprzestał na zdawkowym skinieniu głową, po czym podszedł do Malhorna i wyściskał go energicznie. Młody książę odwzajemnił ten gest, choć z pewnym skrępowaniem. Gdy już zasiedli, a Gulvard wzniósł toast ku czci dzielnych pohorskich kontyngentów, który zapewne miał być preludium do przemowy, wtracił się kruk Istvana, by po chwili całkowicie zdominować konwersację.

Przekleństwo, które wiele lat temu Smoczyca rzuciła na Pohorców, odebrało temu narodowi umiejętność posługiwania się mową. Po jej śmierci Przekleństwa z wolna traciły swą moc, ale Pohorcy, naród dumny i niepokorny, a do tego ongiś słynący z krasomówstwa, poezji i muzyki, wciąż woleli się nie odzywać, by nie ranić uszu otoczenia kaleczonymi słowami. Posługiwali się mową znaków lub sygnałami wygrywanymi na gwizdkach, pisali do siebie krótkie zdania na glinianych tabliczkach, a niektórzy, jak na przykład Istvan, rozwijali na poły magiczną więź z ptakami, które przekazywały ich słowa.

Kruk Istvana do tego chętnie dodawał to i owo od siebie, co Pohorca bawiło w tym samym stopniu, w jakim irytowało Gulvarda. Ptak skakał wśród półmisków z dymiącą baraniną, podśpiewywał i wygadywał najrozmaitsze głupoty, a gdy zwracał się do ludzi, wybierał najczęściej Malhorna i Elinaare, jakby dobrze wiedział, w jaki sposób może zaleźć głuchoborskiemu arystokracie za skórę.

– Opowiadałem wam kiedyś, jak wziąłem sznurowadło za robala? – odezwał się, gdy Gulvard nabierał tchu przed kolejnym przemówieniem. – Fakt, że upiłem wcześniej nieco generalskiego

piwka, bo rozsądny ze mnie ptak i takie rzeczy na ogół mi się nie zdarzają, ale tym razem... Cóż, wiecie, jak to jest!

Podskoczył i rozłożył szeroko skrzydła niczym tancerka kłaniająca się ze sceny. Malhorn wodził oczami po nagich ścianach komnaty, poczerwieniały na twarzy, jakby ze wszystkich sił usiłował nie parsknąć śmiechem, a Istvan i Elinaare, których nic nie krępowało, uśmiechali się szeroko.

– Wciążam to cholerne sznurowadło, wciążam, wciążam i nic! – perorował kruk. – Na tym etapie powinienem już czuć miłe łaskotanie w przelyku, gdy robał zaczyna się wiercić, no ale nie czuję. Na szczynty Smoczycy, myślę sobie, czyżbym zdechłego wciążał? Nie żeby robiło mi to różnicę, ale lubię wiedzieć, co jem. Postanowiłem więc zwrócić wszystko, co jadłem tego dnia, a sporo się nazbierało, bo przejeżdżaliśmy przez pobjowisko sprzed trzech dni i...

– Czy może pan uciszyć tego przekłętego ptaka, generale? – zwrócił się Gulvard do Istvana. Usta rozciągnął w sztucznym uśmiechu, ale w jego przymrużonych oczach połyskiwał gniew.

W odpowiedzi Istvan pogroził krukowi widelcem, na co ten zakrakał donośnie, zatrzepotał skrzydłami i umknał, by zasiąść na futrynie drzwi.

– Ejże! – zaskrzeczał z bezpiecznej odległości. – Okazałby który choć odrobinę wdzięczności! Siedzicie smutni jak na stypie, a gdy próbuję was rozweselić, spotyka mnie...

Strażnik stojący na korytarzu otworzył gwałtownie drzwi, niemalże zrzucając ptaka z futryny. Kruk przefrunął na kamienny parapet, gdzie paliły się liczne świece, i zamilkł, gdy do środka wszedł zwierzchnik delegacji wichrogórskiej.

Elinaare, choć widziała go już parokrotnie, wciąż nie mogła przywyknąć do jego wyglądu. Przybysz, który przedstawił się jako wysłannik Króla Mocy i kazał się nazywać imieniem Skalmir, sprawiał wrażenie człowieka, który dopiero co powstał z łoża śmierci. Miał zapadnięte policzki, przez co jego zęby wydawały się nienaturalne wielkie. Dawno już stracił większość włosów, a o reszcie zapomniał, przez co wywijaly się teraz na kołnierzu futra, rzadkie i siwe. Dłonie, pożółkłe i wychudzone, drżały nieustannie, jakby każdy gest stanowił dla nich wysiłek.

Najbardziej jednak zdumiewały jego oczy, niebieskie, młode, niemalże radosne, zupełnie niepasujące do kadawerycznej fizjonomii. Wichrogórzanie, naród rozmiłowany w rozgryzaniu tajników Mocy, został ongiś pokarany Przekleństwem krótkiego

życia, by nikomu z adeptów nie udało się jej studiować na tyle długo, by poznać prawdziwie groźne sekrety. Skalmir mógł mieć więc nawet i trzydzieści lat, ale wyniszczone ciało zdradzało, że w pełni się oddał badaniu Mocy.

– Bądźże pozdrowiony, synu Wichrogór! – powitał go Gulvard, wstając, po czym skłonił się z szacunkiem. – Wiele lat upłynęło od chwili, gdy nasze narody zasiadały przy jednym stole, by wspólnie planować przyszłość, przepelnia mnie więc radość na myśl, że owe czasy wróciły.

– Witaj, Gulvardzie – rzekł Wichrogórczanin i ukłonił się lekko, a potem pozdrowił skinieniami Elinnare, Malhorna i Istvana, którzy również powstali. – Zazdroszczę ci twej radości, przyznam szczerze – dodał, siadając na odsuniętym przez służącego krześle.

– Dłaczegóż to? – Gulvard udał zaskoczenie, a Elinaare oparła się chęci, by rozsiaść się wygodniej na krześle. Zapowiadało się bowiem kolejne ostre starcie, zamaskowane uprzejmymi słowami. – Czyż zwycięstwo nad Smoszczurami nie stanowi powodu do świętowania?

Skalmir prychnął pod nosem i pokręcił głową, gdy służący uniósł karafkę z winem, a potem wskazał misę z ziemniakami w śmietanie. Gdy nakładano mu porcję, Wichrogórczanin skubnął kawałek mięsa z innej misy i uniósł go w dwóch palcach nad stołem. Kruk Istvana wylądował na blacie z furkotem skrzydeł i chciwie wyszarpnął skrawek pomiędzy palców Skalmira.

– Oczywiście ci, którzy nam źle życzą, z pewnością znajdą sposób, by zlekceważyć bądź wręcz wydrwić nasz trud wojenny – ciągnął Gulvard, upijając wina. – Ale nikt, komu zostało choć odrobinę zdrowego rozsądku, nie może zaprzeczyć, że daliśmy z siebie wszystko, by dopiec wrogowi do żywego.

Elinaare miała ogromną ochotę, by przypomnieć Gulwardowi Pierwszą Burzę, której osiągnięcia zostały zaprzepaszczone, gdy Głuchobory wycofały się z walk, ale w porę się rozmyśliła. W takich chwilach podsycanie antagonizmów nie miało sensu, a poza tym... Cóż, w czasie, gdy tuistańskie hufce rozbijały siły powstańcze, sama była przecież wierną Smoczą Strażniczką. Nie miała prawa wytykać innym braku zaangażowania.

– Cieszę się, że zebraliśmy się tu wszyscy. – Gulvard odsunął od siebie misę, jakby na znak, że posiłek dobiegł końca i oto nadeszła chwila, by radzić o ważnych sprawach. – Cieszę się, że przy jednym stole zasiada dowódca mężnych sił pohorskich, które z niezrównaną pasją przegnały Smoszczurów ze swoich ziem, jak

i przedstawiciel równie dzielnych Wichrogórczan, którzy nieraz sprawili, że Tuistanie pożałowali zawłaszczenia sobie naszych ziem.

Istvan popijał wino i wpatrywał się w Głuchoborzanina z nieprzeniknioną miną. Nie zerkał przy tym nawet na swego kruka, który zapamiętałe dziobał wręczony mu kawałek mięsa. Malhorn wyprostował się podświadomie i co chwila przymykał oczy, jakby doskonale wiedział, co się właśnie dzieje. Skalmir jadł, nabierając oszczędne porcje i nie unosząc wzroku.

Już się uznał za gospodarza spotkania, pomyślała Elinaare.

Naraz Gulvard obrócił się i spojrzał prosto na byłą kapłankę.

– Mamy wśród nas również rodzicielkę tego, który przyćmił nas wszystkich swą dzielnością i na czele ledwie garstki straceńców rzucił wyzwanie tuistańskiej stolicy! – powiedział uroczyście, choć w jego spojrzeniu tliła się ledwie skrywana pogarda. – Tego, który nie zawahał się ani na chwilę, po czym wyrwał z tuistańskich rąk najsmakowitszy kasek! Nie ma rzeczy, której żałuję bardziej niż tego, że nie mogę teraz wyściskać młodego Bielika! – Ujął kielich silną, upierścienioną dłonią. – Za Bielika! – huknął.

Istvan spełnił toast z ochotą, Malhorn z kwaśną miną, a Elinaare ledwie umoczyła usta w winie. Kruk skakał między świecami na parapecie. Skalmir nie przestawał jeść.

– Nasz wichrogórski przyjaciel – Głuchoborzanin odstawił pusty już puchar, trzeci bądź czwarty, który zdażył opróżnić podczas wieczerzy – słusznie mnie napomina, że nie czas jeszcze na świętowanie. W istocie, przyznaję ci rację. – Ukłonił się lekko Wichrogórczaninowi i wskazał swój puchar słudze. – Pora na zabawę nastąpi, gdy uporządkujemy świat wyrwany Smoszczurom. Gdy w zgodzie i poszanowaniu własnych interesów wytyczymy granice, za którymi nasze państwa...

Elinaare doskonale wiedziała, do czego zmierza arystokrata, i zrozumiała, że nadeszła chwila, by i ona wytyczyła granicę.

– Szanuję waszą mądrość, Gulvardzie – odezwała się niespodziewanie, a w oczach przybysza z Głuchoborów błysnęło coś złego. – Rozumiem też pragnienie, by jak najszybciej uporządkować wszelkie nieomówione kwestie, przełożmy jednak ważne rozmowy na jutrzejszy poranek. Do dyskusji trzeba świeżego, wypoczętego umysłu, a wszyscy mamy za sobą ciężki dzień.

– Nie – odezwał się niespodziewanie Skalmir, po czym wytarł usta serwetką i upił nieco wody. – Załatwmy wszystko jak



najszybciej, Strażniczko.

– Nie jestem już Strażniczką! – obruszyła się Elinaare, czując, jak na jej policzki wypływa gorący, niechciany rumieniec.

– Jesteś. Strzeżesz wszak tego miasta i jego mieszkańców najlepiej, jak umiesz – rzekł Wichrogórczanin rzeczowo, a w jego osobliwie młodych oczach rozbłysło coś, czego kobieta nie umiała nazwać. – Niemniej przysłużysz im się jeszcze lepiej, jeśli pozwolisz nam rozstrzygnąć pewne ważne sprawy jeszcze dziś. Najszybciej, jak to możliwe.

– Słusznie prawisz, przyjacielu. – Gulvard pokiwał głową z udawanym zrozumieniem. – Matczyny instynkt Elinaare to w istocie zaleta, którą będą słać bardowie.

Kobieta zachowała obojętny wyraz twarzy, ale docinki Głuchoborzanina były dla niej coraz trudniejsze do zniesienia. Już otwierała usta, by poczęstować go zjadliwą ripostą, gdy rozległ się trzepot skrzydeł i tuż obok karafki z winem wylądował pohorski kruk.

– Twój problem, Gulvard, polega na tym, że widzisz w Elinaare tylko matkę – oznajmił skrzekliwym głosem. – To trochę tak, jakby we mnie widzieć tylko ptaka.

Ręka arystokraty drgnęła, jakby chciał ją wyciągnąć i zacisnąć palce na szyi kruka. Głuchoborzanin opanował się jednak i pokręcił głową.

– Skądże znowu! – zaperzył się. – W pełni doceniam poświęcenie, z jakim zaprowadziła porządek w mieście. Ktoś mniej zdecydowany bez wątpienia przyczyniłby się do powstania zamieszek, a te źle by się przysłużyły temu pięknemu miastu.

– I tu docieramy do twego prawdziwego problemu, można Gulvardzie – odezwał się Wichrogórczanin – który zresztą sygnalizujesz od początku swej tyrady. Przybyłeś tu, by wytyczać granice, prawda?

– Przyznaję, że istnieją rzeczy o wiele pilniejsze od traktatów granicznych – odparł Gulvard – ale nie odbudujemy swoich krajów bez handlu, a handel nie rozkwitnie, jeśli nie zapewnimy poddanym bezpieczeństwa. Granice zaś, nawet te umowne, wskazują kupcom, dokąd mają się udać, jeśli nie zależy im na ryzyku.

– Trudno się temu sprzeciwić – stwierdził Skalmir. – Nie zaprzeczysz też, można Gulvardzie, że najlepiej owym kupcom będzie w obrębie granic Głuchoborów. Dobrze więc, by sięgały jak najdalej.

W komnacie zapanowała cisza. Gulvard ujął puchar i odstawił go na ławę z głośnym trzaskiem.

– Zabrzmiało to, przyjacielu, jakbyś mi zarzucał prywatę – oznajmił, odkaszlnawszy.

– Niczego ci nie zarzucam – zapewnił Skalmir. – Zwracam ci, a także wszystkim tu obecnym, uwagę na to, że przybyłeś do tego miasta, by pilnować własnych interesów. By podzielić Dzielnice Centralną z jak największą korzyścią dla Głuchoborów, a do tego, jeśli się uda, położyć łapę na Brzasku.

Sama lepiej bym tego nie ujęła, pomyślała Elinaare.

Od chwili, gdy w podbitym mieście ucichł wszelki opór, zastanawiała się, jaki los jest pisany Dzielnicy Centralnej. Kraina, która niegdyś była klejnotem w koronie Króla-Wieszczka, nie miała wszak spadkobierców – Hobolanie, którzy zamieszkiwali ją przed nadejściem Tuistan, zostali przecież wycięci co do jednego podczas najazdu. Ziemie Dzielnicy Centralnej, bogate, żyzne i w niewielkim stopniu zniszczone przez Koniec, stanowiły łakomy kąsek dla wycieńczonych wojną Głuchoborzan, Pohorców i Wichrogórzeń.

Najgorszym scenariuszem, jaki mogła sobie wyobrazić, była kolejna wojna w Rozkrzyczanych Krainach, tym razem toczona przez dawnych towarzyszy broni o spuściznę po Smoszczurach. Kierowana tą obawą, Elinaare uprosiła Istvana, by pozostał w Brzasku, i posłała umyślnych do Głuchoborów i Wichrogórzeń, by jak najszybciej uporządkować tę sprawę.

Na pierwsze spięcie nie trzeba było długo czekać.

Istvan oparł łokcie o stół, wpatrzony w Gulvarda, który pokręcił głową, jakby z rozczarowaniem, i rzekł:

– Zdumiewa mnie twój brak wiary w mój zdrowy osąd. Zapewniam cię, że nie ma we mnie ani krzty chciwości czy kłótności. Przybyłem tu, by zaproponować sprawiedliwe rozwiązania. Marzy mi się, by Dzielnica Centralna została podzielona na trzy równe części, z których jedna zostanie przekazana Pohorom, druga Wichrogórzeń, a trzecia Głuchoborom. Wedle tej samej zasady podzielimy Brzask!

Z każdym słowem Gulvard wydawał się coraz bardziej podekscytowany. Jego oczy błyszczały, a na policzkach pojawił się niezdrowy rumieniec.

– Wyobraźcie sobie, ile korzyści wypłynie z tego, że trzy nasze królestwa spotkają się w jednym miejscu! – ciągnął. – Wymiana gospodarcza i kulturowa od razu nabierze tempa, a wszelkie

nieporozumienia będą błyskawicznie rozstrzygane przez ambasady. Ustanowimy osobne sądy dla każdej z trzech dzielnic, ale otworzymy ich bramy dla młodzieży chcącej pobierać nauki! Podzielimy się kosztami utrzymania porządku i konserwacji miejsc użyteczności publicznej, wspólnie odbudujemy zniszczenia i wspólnie zadecydujemy, co począć ze świątynią Smoczycy. Czy może istnieć lepszy plan? Przyznajcie, że sami myśleliście o czymś podobnym!

Potoczyła dookoła roziskrzonym, tryumfalnym spojrzeniem. Elinaare rozparła się na krześle i ze wszystkich sił powstrzymała się od zaciśnięcia powiek.

– A to się akurat zgadza – odezwał się niespodziewanie kruk. – W istocie, wszyscy myśleliśmy o czymś podobnym. Mianowicie o tym, że Głuchoborzanin przedstawi nam własny pomysł, wmówi, że sami na to wpadliśmy, a potem wróci do siebie w chwale zwycięzcy sporu o miedź!

Ledwie zauważalne rozbawienie na surowej twarzy Istvana kazało sądzić, że komentarz pochodzi nie od niego, ale od kruka. Elinaare, która sama skrupulatnie zamaskowała rozbawienie, kątem oka ujrzała, jak Malhorn unosi puchar i wypija zawartość niemalże duszkiem.

– Takie osiągnięcie – kruk wskoczył na brzeg drewnianej misy po chlebie – da mocną pozycję wyjściową do zmagania o koronę, co, jak wiadomo, powinno obchodzić nas wszystkich. Nie ma však rzeczy ważniejszej od tego, kto zasiada na tym waszym rozklekotanym nocni...

Gulvard zerwał się z miejsca z twarzą wykrzywioną furją. Jego dłoń wystrzeliła i zacisnęła się na szyi ptaka, który rozpaczliwie zatrzepotał skrzydłami, kracząc i gubiąc pióra. W następnej sekundzie przy gardle arystokraty znalazło się ostrze miecza Istvana. Huknęło przewrócone krzesło, gdy Malhorn zerwał się na równe nogi, łapiąc za własną broń.

Elinaare zacisnęła pięści.

Plomienie świec buchnęły wściekle, naraz pięciokrotnie wyższe niż wcześniej, a ogień w kominku wystrzelił z hukiem na zewnątrz. Języki płomieni niemalże omiotły szatę siedzącego najbliżej Skalmira, który uniósł brew z niekłamanym uznaniem.

– Można Gulvardzie, wypuść ptaka – wyrzekła kobieta lodowato. – A wy, generale, dajcie mu do zrozumienia, by zatrzymał własne pomysły dla siebie. W tej chwili!

Głuchoborski arystokrata powoli uniósł dłoń. Kruk wyczołgał się spod niej, trzepnął skrzydłami i wzbił się do lotu, by przysiąść na żyrandolu. Istvan, nadal wpatrujący się w Gulvarda kamiennym spojrzeniem, obrócił miecz i wsunął go do pochwy, na co Malhorn podniósł własne krzesło i usiadł.

– Czarodziejskie sztuczki możesz sobie zachować na... – wychrypiął Gulvard, odwracając głowę ku Elinaare, ona jednak dobrze rozumiała sytuację i wiedziała, że drugiej równie dobrej okazji na utarcie nosa arystokracji długo mieć nie będzie.

– Kruk miał rację w jednej sprawie, możny – powiedziała, wzmacniając słowa tą odrobiną Mocy, która jej jeszcze pozostała. – Przybyłeś tu, by planować przyszłość. My tymczasem musimy się skupić na teraźniejszości.

Gulvard zmarszczył brwi i zerknął na Malhorna, jakby chciał się przekonać, czy on również ma wrażenie, że znalazł się wśród idiotów.

– Strażniczka ma rację – odezwał się Skalmir. – Czy zadałeś sobie, możny, pytanie, dlaczego Tuistanie w ogóle opuścili nasze ziemie?

– Gdybyś wyściubił nos z biblioteki – Gulvard, odzyskawszy rezon, pochylił się ku Wichrogórczaninowi – wiedziałbyś, że powstanie objęło całe Rozkrzyczane Krainy!

– Wracam spod Jesiennicy – odparł Wichrogórczanin.

Elinaare, której serce powoli się uspokajało, spojrzała na gościa z zainteresowaniem. Skalmir nie wyglądał na człowieka zdolnego do wojennego wysiłku, a z tego, co słyszała, walki wokół stolicy Wichrogór należały do wyjątkowo zaciekłych.

Zatrzepotały skrzydła. Na stole wylądował kruk.

– I jak? – spytał, spoglądając na Skalmira. Nie było wątpliwości, że pytanie pochodzi od Istvana, który pochylił się w stronę gościa.

– Ciężko – odparł tamten. – Tak ciężko, że dowódcy rozważali wycofanie resztek naszych sił, po czym niespodziewanie Tuistanie wyszli z Jesiennicy. Jaki z tego wniosek, możny Gulvardzie?

– Upuściliście rudym sukinsynom więcej juchy, niż sądziliście. – Arystokrata wydał wargi. – Uznali, że nie dadzą wam rady.

– Wątpliwe. – Skalmir upił łyk wody. – Nasi dowódcy, których tak bardzo cenisz, uznali, że Tuistanie wiązali nasze siły i równocześnie przygotowywali ewakuację Jesiennicy.

– Podobnie było na Pohorach – rzekł kruk. – Smoszczury w każdej chwili mogły się przegrupować i nas zmiażdżyć.

– W Głuchoborach... – zaczął Gulvard, ale niespodziewanie przerwał mu Malhorn:

– W Głuchoborach wydarzenia toczyły się niemalże identycznie.

Jego słowa, pierwsze od chwili, gdy wszyscy zasiedli do wieczerzy, rozbrzmiały niczym brzęk stali. Gulvard spojrział na młodego rycerza z niedowierzaniem i narastającym wzburzeniem, ale ten ignorował dowódcę. Patrzył to na Elinaare, to na Istvana, to w końcu na Skalmira.

– Ściągnęliśmy pod Łoskot znaczne siły tylko dlatego, że nikt nam nie przeszkadzał – mówił dalej. – Smoszczyry nadal trzymały parę miast i zamków, Łoskot obsadziły naprawdę silną załogą, poza tym w każdej chwili mogły ściągnąć posiłki z Pohorów czy Dzielnicy Centralnej.

Elinaare pokiwała głową. Od początku oblężenia Brzasku miała wrażenie, że samej załogi stolicy wystarczyłoby, aby rozpedzić siły Bielika, nawet mimo tego, że te mogły liczyć na wsparcie smoków Hoydna.

– To jakieś brednie! – Gulvard trząsał się ze złości. Upił łyk z pucharu podsunętego mu przez służbę, po czym otarł usta przedramieniem.

– To fakty – rzekł chłodno Skalmir. – Smoszczyry szykowały wielką ucieczkę od przynajmniej miesiąca, a przypuszczalnie znacznie dłużej. Czy w przeciwnym razie zdołałyby niemalże równocześnie opuścić wszystkie większe miasta, zabierając prawie wszystko, co miało większą wartość? Byliśmy odurzeni bitewnym zapalem i nadzieją na upragnione zwycięstwo, przez co nikt nie zwrócił uwagi na ich przygotowania. To błąd wybaczalny. Boję się, byśmy nie popełnili innego, którego sobie nie wybaczymy.

Niepokojąco młode oczy Wichrogórczanina odnalazły Elinaare.

– Jedynym wytłumaczeniem, dlaczego Smoszczyry opuściły Rozkrzyczane Krainy, jest nasza domniemana przewaga militarna, w co najwyraźniej wierzy można Gulvard – ciągnął. – Nie przekonuje to jednak ani mnie, ani nikogo z pozostałych tu obecnych. O co więc chodzi? Dlaczego Tuistanie nas porzucili?

Wzrok Skalmira przeszywał kobietę, która zrozumiała, że pytanie skierowane jest w zasadzie do niej.

– To prawda, że byłam Smoczą Strażniczką – powiedziała. – Ale odeszłam z zakonu jeszcze przed Drugą Burzą i z Tuistanami łączy mnie jedynie częśćka Mocy, którą pozostawiła mi Smoczyca, rude włosy i ojczysty język. Nie wiem nic o przyczynach, dla których moi rodacy postanowili porzucić swe dominium.

– Dominium! – prychnął wzgardliwie Głuchoborzanin, ale reszta wpatrywała się w kobietę z uwagą.

– Mam jednakże pewną teorię – podjęła Elinaare, spoglądając to na Malhorna, to na Gulvarda. – Mocno kontrowersyjną, zważywszy na to, kto jest jej autorem. Teoria – mówiła powoli, ważąc słowa – wiąże się z Królem-Wieszczem. Smoczy Zakon i Liga Handlowa mają w społeczeństwie tuistańskim ogromne wpływy, ale decyzję o takim znaczeniu mógł wydać jedynie on sam. Jedynie Król-Wieszcz.

– Król-Wieszcz! – roześmiał się bez wesołości Gulvard. – Król szalenię!

Istvan wyprostował się i założył ramiona na piersi, a jego kruk podskoczył i odwrócił się ku Elinaare.

– Trudno się tu z Głuchoborzaninem nie zgodzić – rzekł, bez wątpienia przekazując słowa Pohorca. – Chcesz nam, Elinaare, powiedzieć, że cały naród bez wahania posłuchał króla-jasnowidza? Wiele wszak wskazuje na to, że jego dar widzenia przyszłości przestał działać już jakiś czas temu. Gdyby dysponował nim nadal, być może zabezpieczyłby swój lud przed Końcem czy zdławił Drugą Burzę w zalążku. Ba, być może ocaliłby Smoczyce przed Jaszczurem!

Elinaare miała wrażenie, że na policzki wystąpił jej gorący rumieniec. Czuła dziwne rozdarcie – dawno temu wyrzekła się Smoczego Zakonu i otwarcie występowała przeciwko Tuistanom, ale jednocześnie powodował ją przymus, by wystąpić w obronie wartości, wśród których się wychowała.

– Król-Wieszcz w istocie zaczął tracić moc mniej więcej w tym samym czasie co my, Smocze Strażniczki – przyznała niechętnie. – Po tym, jak Smoczyca została zgwałcona i zabita przez Jaszczura.

– Skoro ty to wiesz – podjął Skalmir – wiedział o tym każdy, kto w tuistańskim społeczeństwie miał coś do powiedzenia. A mimo to wszyscy jak jeden byli posłuszni jego decyzji. Dlaczego? – Powiódł wzrokiem po uczestnikach narady. – Czyżby odzyskał moc widzenia przyszłości? Czyżby całe społeczeństwo oszalało? A może pojawiły się fakty z innych źródeł, które dały Tuistanom do myślenia?

– Pewnie, że tak – warknął Gulvard. – Jednym z nich była głuchoborska armia. Innym Pohorcy, a jeszcze innym Wichrogórzanie i wojska Bielika.

– Lub – powiedziała mocnym głosem Elinaare – ultimatum elfów.

Znów zapadła cisza. Była Strażniczka ujrzała wzdargliwy uśmiech na obliczu Gulvarda, ale Malhorn i Istvan pochylili się ku niej z zauważalnym napięciem, a Skalmir westchnął ciężko.

– Wszyscy znacie historię Rozkrzyczanych Krain i dobrze wiecie, że elfy były jedynym narodem, który nie podjął walki ze Smoszczurami. Wycofały się w porę za Martwe Jezioro, gdzie Smoczyca nigdy nie dotarła. I tam właśnie, za Martwym Jeziorem, Mads Voorten spojrział w Lustro, potężny artefakt służący do kontaktu z elfami. Tam usłyszał ich ultimatum.

– Nie – wychrypiął Gulvard. – Nie będziesz kalać tej rozmowy mianem największego ze zdrajców!

Wystarczyło pół godziny i karafka wina, by Głuchoborzanin z układowego, miouostego dyplomaty przeobraził się we wściekłego watażkę. Elinaare omiotła wzrokiem jego spurpurowiałą twarz, a potem skupiła uwagę na pozostałych gościach i rzekła dobitnie:

– Elfy święcie wierzą, że światem musi rządzić równowaga, a wszelkie jej zachwiania, takie jak inwazja Tuistan, prowadzą do kataklizmów takich jak Koniec. Dały Madsowi do zrozumienia, że jeśli ludzie nie przywrócą równowagi w Rozkrzyczanych Krainach, przekroczą Martwe Jezioro i sami to zrobią: stałą, Mocą i ogniem. – Nabrała tchu i dodała: – Tuż przed ostatnim szturmem na Brzask Mads Voorten trafił do niewoli Smoczkiej Strażniczki Oriany, swej największej prześladowczyni. Niewiele się od niej dowiedział, ale ponad wszelką wątpliwość ustalił, że Tuistanie wiedzą o ultimatum elfów. Lepszej teorii – była Strażniczka zmiażdżyła Głuchoborzanina wzrokiem – nie mamy, a więc musimy założyć, że lada moment do Rozkrzyczanych Krain wkroczy armia elfów. Lub – odetchnęła ciężko – już to zrobiła.

\*

Narada szybko przerodziła się w awanturę. Coraz bardziej pijany Głuchoborzanin na przemian szydził z rewelacji Elinaare i wygrażał elfom. Uparcie też przerywał Malhornowi, który co rusz próbował się wmieszać do rozmowy i dowiedzieć czegokolwiek o elfach, a Istvan, który przypuszczalnie wiedział to i owo, wpatrywał się złośliwie w starszego z Głuchoborzan i nie powstrzymywał kruka, który klócił się z nim zawzięcie, obrzucając go wymyślnymi obelgami. Skalmir zaś, choć przypuszczalnie wiedział najwięcej, popadł w ponure milczenie.

Elinaare parokrotnie próbowała ostudzić emocje i sprowadzić rozmowę na właściwie tory, jednakże bez powodzenia. Przyszło jej nawet do głowy, by znów sięgnąć po Moc i wesprzeć nią swe słowa, ale poczuła narastające zniechęcenie i z niemałą ulgą powitała Strumiła, który wszedł dyskretnie do komnaty i nachylił się nad jej uchem.

– Wielmożna namiestniczko, przybyła ważna przesyłka od pułkownika Bielika – szepnął.

Elinaare spojrzała uważnie na kwatermistrza, ale nie wyczytała z jego twarzy nic poza zwyczajowym zatroskaniem. Wstała więc, szurając krzesłem, czym ściągnęła na siebie uwagę pozostałych.

– Nie ustalimy już dziś niczego – powiedziała oschle. – Liczę na to, że wypoczniecie przez noc na tyle, by rano móc podjąć sensowniejszą rozmowę. Dobrej nocy!

Ostatnie słowa wypowiedziała już w drodze do drzwi, narzucając na ramiona pelerynę podaną jej przez Strumiła. Z ulgą opuściła komnatę i wyszła na plac przed pałacem, niegdyś należącym do Króla-Wieszczka. Przez chwilę po prostu stała, wdychając mroźne powietrze.

– Pani? – odezwał się Strumił.

Otrząsnęła się z zadumy.

– Tak, jasne – mruknęła i ruszyła w ślad za kwatermistrem.

Z nadejściem nocy znów zrobiło się chłodno i drzewa rosnące w parku królewskim powlekły się cieniutką warstewką srebrzystego szronu, mieniącą się w blasku latarni gazowych. Świeży śnieg skrzypiał cicho pod stopami.

– Co to za przesyłka? – spytała Elinaare.

– Nie wiem, pani – odrzekł Strumił. – Godzinę temu przybyły dwa wozy z konwoju rozbitego przez Wiatr.

– Rozbili kolejny konwój? – zainteresowała się kobieta. – Mam nadzieję, że... że bez strat?

– Bez większych strat – powiedział sucho kwatermistrz. – Na jednym z wozów przywieziono kilku rannych, których już oddano pod pieczę Kostura. Drugi z wozów zaś... Cóż, oceńcie samodzielnie, pani.

Ogród królewski otoczony był wysokim murem, porośniętym zmarzniętą winoroślą. W bramie wychodzącej na miasto stał wóz zaprzężony w parę zdronzonych, prychających głośno koni. Pilnujący ich żołnierz, bez wątpienia weteran z Wiatru, uklonił się nisko przed Elinaare, po czym rzekł:



– Pułkownik Bielik przesłała pozdrowienia. Nadal prześladujemy Smoszczury i... no, wypełniamy zadanie – dodał pospiesznie, nieco speszony. – Dzięki ostatniemu atakowi zdobyliśmy mnóstwo żywności!

– Znakomicie – pochwaliła kobieta – bo ta przekłeta zima chyba nigdy się nie skończy, a z każdym dniem przybywa nam głodujących. Wysłaliście już kogoś po łupy? – spytała, zwracając się do Strumiła, który skinął głową.

– Oczywiście, wielmożna namiestniczko. – Kwatermistrz skinął głową. – Porucznik Krzemień był bardzo rad, mogąc wysłać podkomendnych z jakimś konkretnym zadaniem.

– A to co? – spytała Elinaare, wskazując wóz.

– Po prawdzie, nie wiemy. – Przybysz wzruszył ramionami. – Pułkownik powiedział, że się pani spodoba.

Elinaare podeszła bliżej, żołnierz zaś uchylił połę plandeki i przysunął bliżej pochodnię. Oczom kobiety ukazały się identyczne skrzynie opatrzone enigmatycznymi komentarzami po tuistańsku. Z pierwszej z nich, której wieko wyważono kawaleryjską włócznią, wypadły jakieś papiery.

Elinaare ujęła jeden z nich i przysunęła do światła. Wzrokiem przemknęła po kartce i naraz poczuła, jak jej znużenie znika, zastąpione przyływem nowej nadziei.

– Strumił. – Odwróciła się ku kwatermistrzowi. – Ściągnij kilku ludzi. Niech zaniosą to wszystko do mojej komnaty.

Czeka mnie długa noc, pomyślała. Ale niewykluczone, że w choć jednej sprawie wreszcie uśmiechnął się do nas los.

\*

Następnego dnia słońce kryło się za gęstymi chmurami, od czasu do czasu prószącymi śnieżną kurzawą, ale ze zbocza góry, gdzie przyczaił się oddział Madsa, znakomicie było widać zbliżający się orszak rycerski. W pewnym momencie jeźdźcy zniknęli wśród ośnieżonych świerków, ale kamienisty, nieco oblodzony trakt drżał od coraz mocniejszych uderzeń kopyt. Obcy zbliżali się powoli, z pewnością siebie typową dla Smoszczurów.

Mads oparł się o pień drzewa i zaplótł ramiona na piersi. Serce uderzało mu powoli, wręcz leniwie, jak u człowieka, który jest pogodzony ze wszystkim, a gotów na jeszcze więcej.

Pierwszy ukazał się giermek w pysznym napierśniku, trzymający w lewej ręce lekką kuszę. Miał spory problem

z opanowaniem rumaka na oblodzonym odcinku traktu, więc rycerz, poirytowany nieporadnością podwładnego, uderzył piętami w boki wierzchowca, który wysforował się naprzód i wyprzedził sługę. Wtedy Tuistanin zobaczył Madsa. Dłoń w rycerskiej rękawicy opadła na stylisko długiego topora, a na twarzy przybysza pojawił się wzgardliwy uśmiech.

Mads odpowiedział mu podobnym grymasem.

Między korzeniami drzew zalegało tu sporo głązów, wielkich i oblodzonych, przez co trakt zwał się w tym miejscu, obiegając łukiem drzewo, o które opierał się Voorten. Miejsca wystarczało zaledwie dla dwóch konnych obok siebie, a rycerz, który ściągnął nieco wodze i obrócił konia w stronę nieznanego, częściowo zatarasował drogę świcie.

Voorten uśmiechnął się jeszcze szerzej i jeszcze paskudniej.

– Wyglądasz na takiego, który lubi kłopoty – oznajmił rycerz głosem ociekającym drwiną. Nie miał hełmu, więc bez trudu dało się dostrzec jego zmrużone, błyszczące nienawiścią oczy.

– Żebyś, chłopie, wiedział – odparł beztróska Mads.

Jego tuistański był pozbawiony śladów obcego akcentu, co nie uszło uwadze rycerza, który mimowolnie uniósł brwi.

– Właściwie to nie interesuje mnie nic ponad kłopoty – dorzucił Voorten i obrócił w palcach jabłko o pomarszczonej skórce.

– Chętnie ci paru dostarczę – odrzekł obcy, szczerząc zęby. – Jestem Tuvlun Kreichlann i od czasu porzucenia Brzasku koszmarnie się nudzę.

– Witaj, Tuvlunie. – Mads pozdrowił go skinieniem głowy. – Ja też się nudzę. A żeby etykiecie stało się zadość, ja nazywam się Mads Voorten. Ostrze Burzy.

Widział, jak przez bladą twarz rycerza przemykają kolejno zaskoczenie, niedowierzanie i podejrzliwość. Dłoń w skórzanej rękawicy opadła na stylisko topora.

– Zdziwiony, co? – prychnął Mads, a potem zamierzył się i ze wszystkich sił cisnął jabłkiem prosto w rycerskie oblicze.

Trafił dokładnie pod oko.

Któryś z giermków Tuvluna przyłożył kuszę do ramienia, ale Mads odepchnął się już od drzewa i skoczył za ogromne cielsko rycerskiego rumaka. Boleściwe wycie, które rozległo się sekundę później, oznaczało, że Vask, ciskając sztylet w stronę giermka, nie spudłował. Skądś dobiegło głucho stęknienie Chryi i kocie syknięcie Tluhira. Brzęknęła stal, zarżały przerażone konie, do krzyków pierwszego giermka dołączyły wrzaski innych.

Mads musiał przyznać Tuvlunowi, że otrząsnął się błyskawicznie, bo natychmiast przystąpił do ataku. Sam odruchowo usunął się przed opadającym toporem i uskoczył przed kopnięciem rycerskiego ogiera, zdołał jednak wbić Tuistaninowi nóż w goleń. Rycerz ryknął z bólu, jednocześnie znów wznosił topór.

W tejże chwili przypadł do niego Otluk. Wziął zamach i z całej siły rąbnął rycerza młotem w biodro, praktycznie wyrzucając go z siodła.

Mads przypadł do rozszalałego rumaka i ostro ściągnął wodze. Dobrze znał się na tuistańskich wierzchowcach i wiedział, że poskromienie zwierzęcia czystej krwi jest zadaniem przerastającym możliwości jednego człowieka, ale w tym przypadku wystarczyło je przytrzymać jedynie na krótką chwilę. Rumak usiłował się poderwać na tylne nogi, lecz poślizgnął się na lodzie, grzmotnął kopytami przednich o trakt i zarżał dziko, a gdy targnął łbem, uczynił to z zauważalnie mniejszą siłą niż jeszcze chwilę temu.

Kilka uderzeń serca później stał już spokojnie, ze zwieszonym łbem. Mads wypuścił wodze i odetchnął ciężko.

– Dzięki, Pokrzewka – rzucił do chwastownika, który wyłonił się spomiędzy skał. – W samą porę. Wszyscy cali?

– Cali – mruknął Chryja, wsuwając topór do pokrowca na plecach.

Tluhir wbił włócznię w pierś leżącego na ziemi giermka, po czym się wyprostował, Vask zbierał swoje noże, a Borsuk, przeskakując nad trupami, łapał konie, które rozpiechły się po lesie.

– Tylko wciąż nie wiem, po co to całe przedstawienie, pułkownika – dodał Chryja, idąc w stronę dowódcy po zboczonym krwią śniegu. – Moglibyśmy ich zdmuchnąć z zasadzki. Gdyby ten rudy padalec okazał się szybszy albo gdyby któryś z nich uciekł...

– Też mi żal tego jabłka – mruknął Mads, kłękając nad półprzytomnym, majaczącym z bólu Tuistaninem. – Hej, Kreichlann! – powiedział głośniejszym głosem, uderzając go w policzek. – Kreichlann, obudź się, chłopie. Mam dla ciebie ważną wiadomość. Wszelkie kłopoty już się skończyły. Od tej pory czeka nas już tylko owocna współpraca. Niezbyt długa, co prawda, ale zawsze współpraca... Ejże, co z tobą? Już zemdlałeś? – Mads podniósł się ciężko, kręcąc głową. – Wciągnijcie go na siodło i ruszamy w drogę. Przesłuchamy go wieczorem.

Cios zadany Tuistaninowi przez Otluka okazał się mocniejszy, niż ktokolwiek się spodziewał. Już po godzinie Kreichlann obudził się z głośnym jękiem, a ten zaraz przerodził się w ochrypy wrzask, w porę powstrzymany przez Borsuka, który wcisnął jeńcowi knebel w usta. Mads nakazał postój. Przykazał Pokrzewce i Otlukowi, by się zajęli pojmanym, a sam wspiał się na pobliską skałę, by przyrzeć się armii wroga.

Śledził uchodzące na północ Smoszczury od sześciu dni, ale odnosił wrażenie, że nigdy się nie napatrzy do syta na pozostającego w ciągłym ruchu molocha. Nie potrafił oszacować, jak liczna była tuistańska horda, tym bardziej że do pochodu ciągnącego z Brzasku nieustannie dołączały mniejsze grupy z innych miast i krain, zgadywał jednak, że uchodzących są setki tysięcy. Płynęli przed siebie czarna, żelazną rzeką, w powolnym, lecz jednostajnym rytmie. Traktem sunęły niekończące się rzędy wozów, których otaczały chmary jeźdźców, głównie lekko uzbrojonych mężczyzn i kobiet. Nawet owe grupy zachowywały ścisłą dyscyplinę, podobnie jak szwadrony lekkiej i ciężkiej kawalerii, ubezpieczające Smoszczury po bokach. Monotonie tego obrazu zakłócał widok oddziałów piechoty, maszerujących w równym szyku, oraz stad bydła. Ziemia drżała od rytmu ich kroków, a powietrze przynosiło ryk trąb i rogów. Zimny wiatr nieustannie poruszał dumnymi sztandarami rycerstwa, przez co Tuistanie wyglądali, jakby kroczyli ku nowej wojnie, nie zaś uchodzili z przywłaszczonych sobie ziem.

Mads rozpoznawał herby większości znacznych rodów Smoczego Imperium, szybko więc doszedł do wniosku, że pochód dzieli się na kilkanaście niezależnych hufców z największych miast tuistańskich. Ten z Łoskotu podążał na czele, za nim zaś sunął ten z Dzielnicy Centralnej, najliczniejszy i obciążony największą liczbą wozów. Ostatnia z dużych formacji, która przybyła z wichrogórskiej Jesiennicy, zamykała ów monstualny pochód. Mads nie potrafił sobie wyobrazić siły, która mogłaby zagrozić takiej masie, nie dziwił się więc, że Tuistanie w zasadzie nie zwracali uwagi na ich oddział. Musieli wiedzieć o ich istnieniu – raz czy drugi nad głowami oddziału Voortena przemknęła wszak smysz, stworzenie będące skrzyżowaniem gada z nietoperzem, wykorzystywane przez Smoszczury do zwiadu – trudno jednakże, by potężny byk przejmował się obecnością komara.

– Pułkownik – odezwał się Chryja, który wyrósł obok niemalże bezszelestnie. – Pokrzewka jest już gotowy.

– Zaraz przyjdę – mruknął Mads.

Jego wzrok przesakkiwał od sztandaru do sztandaru, od proporca do proporca. Ciągłe, jakby nie potrafił przestać się zadreć, Voorten świdrował spojrzeniem potężną armię. Jakby jakaś jego cząstka nadal nie pogodziła się z porażką i szukała słabego punktu. Prychnął w myślach, zły na siebie, i już chciał się odwrócić, gdy gdzieś na tle czarnego cielska pochodu ujrzał krótkotrwały rozbłysk, zbyt jasny i zbyt gwałtowny, by mógł mieć naturalne pochodzenie. Mads przygryzł wargę i pokręcił głową.

To ty, zmijo? – wycedził w myślach.

Smocza Strażniczka Oriana, najbardziej przerażająca kobieta, jaką zrodziły Rozkrzyczane Krainy, zapewne zajmowała w strukturze armii tuistańskiej niebezpiecznie wysoką pozycję. Mads parokrotnie widział już podobne osobliwe rozbłyski, które sugerowały, że ktoś sięga po Moc, by się teleportować, ale nie miał pewności, czy to rzeczywiście Oriana, czy może inna ze Strażniczek. Oczywiście mógł też jedynie zgadywać, po co to robią.

Po prawdzie niewiele go to interesowało. Gdyby miał taką możliwość, rozszarpałby Oriane na strzępy, ale wiedział, że to nie nastąpi. Smocza Strażniczka oszukała go i zadała mu straszliwy cios, a potem zajęła się sprawami własnego narodu. Trudno, by dłużej poświęcała mu choć myśl, a nawet jeśli tak było, z pewnością dotarły już do niej plotki o jego śmierci pod gruzami świątyni.

Wędrowała więc wraz ze swymi rodakami, odległa, nieosiągalna, otoczona tysiącami zbrojnych.

Równie odległa jak Hunna.

Chryja mruknął coś cicho, dzięki czemu Mads przypomniał sobie o jego obecności. Zerknął przez ramię. Topornik z Ostrohorów stał krok za nim i również wpatrywał się w maszerującą armię.

– Dokąd oni leżą? – spytał. – Gdybym miał zgadywać, postawiłbym, że idą na Ostrohory, ale...

– Ten trakt niebawem skreśli ku Głuchoborom – burknął Mads niechętnie. Nie miał ochoty na rozmowę.

– Rozgałęzia się – odrzekł topornik z uporem. – Północna odnoga wiedzie ku morzu.

Mads miał ochotę zrugać Chryję, rozkazać, by ten zostawił go w spokoju i podzielił się swymi idiotycznymi domysłami z resztą

idiotów z oddziału, ale w porę ugryzł się w język. Nie miał prawa tego robić. Ci ludzie nie podróżowali z nim z własnej woli – wysłała ich Elinaare – ale byli przecież jego dawnymi towarzyszami broni i nie zasługiwali na to, by znosić humory dowódcy.

Mads westchnął więc ciężko, zacisnął zęby i z trudem przywołał na twarz wymuszony uśmiech.

– Jest węższa i gorzej utrzymana – powiedział prawie opanowanym tonem. – Smoszczury będą musiały zwolnić, a poza tym lada dzień zima się skończy i przyjdą roztopy. Nie wiem, Chryja. – Westchnął. – Niczego nie wiem. Chodźmy więc i spróbujmy się czegoś dowiedzieć.

Rozbili obóz między drzewami, a jeńca ktoś zrzucił z siodła i parokrotnie obwiązał liną. Tuistanin był śmiertelnie blady, a pod okiem, gdzie Mads trafił go jabłkiem, rozlewał się czarny siniec. Oczy mężczyzny błyszczały od gorączki, ale na widok dowódcy grupy rozbłysła w nich nienawiść.

– Srodze się zawiedziesz, jeśli myślisz, że cokolwiek ci zdradzę! – wychrypiał. – Sądzisz, że zdołasz mnie złamać? Ty czy którykolwiek z tych obdartusów?

Mads nie zwrócił na niego uwagi. Podszedł do Żmijki i przez moment gładził go po pysku, spoglądał w mądre końskie oczy, po czym odroczył derkę i podszedł do więźnia, który nie spuszczał z niego spojrzenia.

– Myślisz, że coś ze mnie wyciśniesz? – syczał. – Ze mnie, rycerza Pani?

Mads rozesłał sobie derkę i usiadł. Tluhir wyciągnął się na własnej i drzemał, Borsuk oglądał brzuch strzała, a Vask przesuwiał ostrza noży nad płomieniami ogniska, tuż przy wiszącym nad nim bulgoczącym kociołku Pokrzewki. Rudowłosy młodzieniec z kolei raz po raz nalewał sobie porcje mikstury do czarki, dmuchał na nią i upijał ją pospiesznie łyk za łykiem, parząc sobie wargi.

– Pokrzewka, jak tam? – spytał Mads.

– Coraz lepiej, pułkowniku – odparł chwastownik i jednym haustem opróżnił naczynie. Zacisnął powieki, a gdy znów je uniósł, błękit jego tęczówek zaczął się rozmywać i rozlewać na białka.

– Co to... – zduszonym głosem odezwał się pojmany rycerz. – Co to za czary?

– Zaraz tam czary – odrzekł obojętnie Mads, opierając łokcie na kolanach. – Pokrzewka ci tylko we łbie trochę zamerda, żeby się dało z tobą sensownie pogadać.

Ktoś, chyba Vask, zarechotał, ale reszta nawet nie zwróciła uwagi na tę wymianę zdań. Pojmany rycerz był wszak bodaj siódmym bądź ósmym jeńcem, którego przechwycili.

– Co? – Kreichlann próbował się dźwignąć, ale jego oblicze przeszył paroksyzm bólu. – Weźcie... Weźcie go ode mnie... Smoczyco, władczyni moja i przewodniczko, uchroni mnie, swego obrońcę, przed pohańbieniem...

– Jakim znowu pohańbieniem? – spytał, krzywiąc się, Mads. – Pokrzewka to swój chłop jest. Ciesz się, że cię Krzemień nie przesłuchuje. Ten to, mus ci wiedzieć, lubi wbijać różne przedmioty tam, gdzie słońce rzadko dociera.

Vask znów zarechotał, a Pokrzewka pochylił się nieco do przodu. Wpatrywał się teraz w jeńca przenikliwie, jakby chciał go rozszarpać samym tylko wzrokiem. Kreichlann zaś, wzdrygając się na całym ciele, uparcie odwracał spojrzenie. Konwulsje jednakże stawały się coraz słabsze, aż nagle, jakby zapomniał o strachu, rozluźnił się, wyprostował i powoli obrócił głowę ku Pokrzewce. Jego twarz była całkowicie pusta.

– Komu służysz, Tuvlun? – spytał cicho Mads.

– Panu memu, władcy Smoczego Imperium i przybranemu synowi Smoczyco, pani naszej – wymamrotał rycerz, ledwie otwierając usta. – Królowi-Wieszczowi, który w przyszłość spogląda i...

– Konkretniej – przerwał mu Mads. – Pod czym sztandarem jedziesz?

– Earla Villeda Glimtaugha zwanego Nieprzeniknionym, jednego z dwunastu earłów Dzielnicy Wschodniej.

Voorten pokiwał głową. Widział przed chwilą proporce Glimtaugha, choć w sporym oddaleniu, słyszał też to i owo o nim samym. Dzielnicą Wschodnią Tuistanie nazywali Głuchobory, ale ziemie Glimtaugha graniczyły również z Pohorami. O starym Villedzie powiadano, że zsiadał z konia tylko po to, by się wyszczać. Całymi tygodniami uganiał się za bandami Pohorców, których z nieznanym nikomu powodów darzył szczególną nienawiścią, a ci rewanzowali mu się, urządzając liczne zasadzki, Glimtaugh z każdej jednak wychodził obronną ręką.

– Dlaczego opuściliście eee... Grań? – Mads przypomniał sobie nazwę zamku Glimtaugha.

– Bośmy rycerzami błogosławionej matki Smoczycy – wymamrotał Tuvlun. – A ta przykazała, byśmy bez wahania wypełniali wolę Króla-Wieszcza.

Pokrzewka, w pełni skupiony na jeńcu, drgnął nagle i podpełzł do niego niczym dzikie zwierzę. Przesuwał teraz głowę nad ramieniem Tuistanina, jakby go obwąchiwał, nadal nie spuszczać zeń spojrzenia zalanych błękitem oczu.

– A dlaczego wyjechaliście z Brzasku? – spytał Mads.

– Gdyż taka była wola Króla-Wieszcza.

– Co za brednie – warknął Voorten. – Skup się, Pokrzewka. Przebij się przez tę paplaninę.

Rudowłosy Pogórzanin, wściekle blady i zgoła niepodobny już do siebie, po gadziemu zmrużył oczy, a z jego wykrzywionych ust wyrwał się głuchy, ledwie słyszalny syk. Wówczas jeniec się skulił, jakby ktoś kopnął go w brzuch.

– Dlaczego wyjechaliście z Brzasku? – powtórzył Mads. – Dlaczego porzuciliście całe to przeklęte, smoczym łajnem wysmarowane imperium?

– Na rozkaz... Na rozkaz Króla-Wieszcza – wychrypiął Kreichlann.

Nad zaimprovizowanym obozowiskiem zapadła cisza, przerywana jedynie chrapliwym oddechem jeńca. Wojownicy, z mieszaniną przestachu i niedowierzania, przyglądali się Pokrzewce, który z radosnego, nieco gapowatego towarzysza wyprawy nagle przeistoczył się w bezlitosnego ciemżyciela i wisiał teraz nad jeńcem niczym zjawa z koszmaru.

– A co konkretnie wam Król-Wieszcza przykazał? – naciskał Mads.

– To... to wiedzą jedynie earlowie.

– I wam nic nie powiedziano?

– Nie... Earlowie... na audiencji u króla... złożyli przysięgę...

– A nie pojawiły się żadne plotki?

– Były plotki. – Jeniec mówił z coraz większym trudem. – Jedni gadali, że elfy idą... że szykują rzeź... Inni, że znów się ziemia zatrzęsie i ogień będzie padał z nieba. Jeszcze inni... że wywrócono zarazę...

– A więc na wszelki wypadek spakowaliście manatki i daliście dyla, co? – prychnął Mads. – Będąc u szczytu potęgi! Ujarzmiliście cały kontynent, a potem stwierdziliście, że trzeba zwiewać, bo jeszcze wydarzy się coś złego?



– Nie mamy Mocy... Mówią, że pani się odwróciła... Że jednak umarła...

– A dokąd zmierzacie?

– To wiedzą jedynie earlowie... i Król-Wieszcz...

Mads indagował jeńca jeszcze przez dłuższą chwilę, aż się zniechęcił i dał znak Pokrzewce. Chwastownik wyprostował się i odetchnął ciężko, a Tuistanin oklapł niczym lalka, której przecięto sznurki.

– Gówno – stwierdził Voorten, trąc nieogolony policzek. – Gada dokładnie to samo, co poprzedni, czyli nic. Dopóki nie dorwiemy jakiegoś earla, nie dowiemy się niczego.

Czuł, jak w serce wlewa mu się doskonale znajoma, trująca obojętność. Wstał pospiesznie, by nikt nie wyczytał tego z jego miny ani spojrzenia, a wówczas jego wzrok padł na Otluka.

– Chodź – rzucił do niego. – Skontaktujemy się z Elnaare, a potem... Potem ruszymy w drogę.

Ujął głowę towarzysza, przytknął do niej czoło i pozwolił, by ogarnęła go szarość. W tej szarości, z niemałym trudem, odnalazł Elnaare. Ta zaś, ledwie wyczuła jego obecność, natychmiast zaczęła mówić.

„Mads, jak się cieszę! Słuchaj, natrafiłam na coś, co może okazać się ważne. Może nie tyle dla nas, ile dla ciebie. Mads, słuchasz mnie?”

Słuchał. Wysłuchiwał każdego z jej słów, a owa nieznośna nadzieja, która wrosła w niego niczym świerczek między skalne bloki, z każdą chwilą stawała się coraz silniejsza. Gdy zakończył rozmowę i odwrócił się ku towarzyszom, w jego oczach pojawił się nowy błysk.

– Chryja – powiedział ochryple. – Załatwiliście już tego jeńca?

– Nie – odparł topornik. – Rozkazu nie było.

– Ano nie było. I całe szczęście. Na siodło go wciągnijcie i ruszamy w drogę. Pokrzewka, dasz radę to powtórzyć wieczorem?

– Dam, pewnie, że dam – wymamrotał chłopak. Na jego blade policzki wracał już rumieniec, ale nadal wydawał się mocno zdezorientowany.

– Dobra – oznajmił Mads, idąc ku koniom. – Do jutra młody jest zwolniony z wszelkich prac obozowych, a wy macie spełniać wszystkie jego zachcianki, łącznie z masażem stóp, parzeniem herbatki z malinami i śpiewaniem kołysanek przed snem. Borsuk, Tluhir, jedźcie przodem. Znajdźcie mi szeroką łąkę. Vask, Chryja,

miejcie oko na jeńca, a ty, Otłuk, nigdzie się jeszcze nie wybieraj. Musimy się najpierw naradzić z Bielikiem. Możecie natomiast już zbierać suchy chrust, bo dziś w nocy – zakończył z siodła – zapalimy pięć ognisk ustawionych w krzyż.

## Rozdział trzeci



Ciemne chmury, które powoli nadpełzały od strony Gór Strzaskanych, przyniosły drobny, niepozorny wręcz śnieżek, ale ten w raptem pół godziny przeistoczył się w szalejącą zamieć. Gdy Elinaare wreszcie dotarła do szpitalika, jej twarz była czerwona od wiatru, a płaszcz pokrywała gruba skorupa zamrożonego śniegu. Drzwi do kaplicy, którą zamienili na szpitalik, pchnęła z prawdziwą ulgą, a z jeszcze większą wciągnęła w nozdrza zapach ziół, krwi, potu i dymu z drewna owocowego.

– Nie musieliście tu za mną przychodzić – fuknęła na dwóch zbrojnych, którzy wraz z nią otrzepywali się w sieni ze śniegu.

– Ale... pułkownik Krzemień kazali, by... – zaczął jeden, ten śmielszy, Elinaare przerwała mu jednak, ze zniecierpliwieniem kręcąc głową.

– Doceniam troskę pułkownika i waszą ofiarność – powiedziała ostro. – Ale dajcie wy mi trochę spokoju, co? Szpital to najbezpieczniejsze miejsce w całym Brzasku, a ja przyszedłam tu porozmawiać z przyjacielem. Nie chcę, byście się za mną snuli.

Powiedziawszy to, powiesiła mokry płaszcz na kołku, odgarnęła wilgotne włosy z czoła i ruszyła do wnętrza.

Główna świątynia Smoczycy miała zniszczony dach po walce smoków, ale w Brzasku znajdowało się jeszcze kilka innych świątyń, z których właściwie każda idealnie nadawała się na szpital. Imponujące wrota oraz pomniejsze drzwi na tyłach dawały możliwość wietrzenia wnętrza. Dzięki paleniskom w alkowach i przy ołtarzu głównym, gdzie kiedyś kapłani rozpalali ogień ku czci Smoczycy, w środku zawsze było ciepło, a drewniane ławy dla wiernych po zsunięciu zamieniały się w prymitywne, ale funkcjonalne łóżka.

Z początku w Elinaare kiełkował sprzeciw, gdy widziała dawne przybytki wiary wykorzystane w podobny sposób. Nie miała pojęcia, skąd to się brało – wszak zwątpiła w Smoczycę już kilka miesięcy po jej śmierci, gdy spostrzegła, że Moc udzielana jej przez boginię z wolna zaczyna słabnąć. Wnet przestała również wierzyć w potęgę swego państwa, całkiem skupiona na poszukiwaniach Dunstana, a do Madsa i Drugiej Burzy dołączyła z czystym umysłem i wolnym sercem, całkowicie wyrzekając się dawnych zobowiązań. Mimo to wciąż odwracała głowę od bezczeszczonych posągów i niszczonej świątyni, jakby wiara w Smoczycę nadal płynęła w jej krwi.

Jednakże na widok ołtarza, który został uprzątnięty, pozbawiony ozdób i zamieniony w stół operacyjny, uśmiechnęła się w duchu. Wszak Smoczyca, co zwykli mieszkańcy Rozkrzyczanych Krain niechętnie przyjmowali do wiadomości, była również boginią życia.

Na pewno, gdyby żyła, nie miałyby nic przeciwko podobnej profanacji, pomyślała dawna kapłanka, wchodząc w głąb szpitala.

Od zdobycia Brzasku upłynął tydzień i wielu pacjentów Kostura zdołało opuścić szpital o własnych siłach, ale do miasta wciąż docierali nowi, jak choćby podkomendni Bielika, którzy odnieśli rany w ostatnim ataku na konwój tuistański. Ślepy uzdrowiciel oraz jego pomocnicy zajmowali się również potrzebującymi wśród uchodźców, z których wielu padło ofiarą odmrożeń lub znajdowało się w stanie skrajnego niedożywienia. W powietrzu nadal unosił się więc duszny szpitalny zapach.

Elnaare kroczyła powoli między rzędami łóżek, starając się stąpać jak najciszej. Uśmiechała się do chorych o bladych twarzach i oczach błyszczących od gorączki, gładziła spocone czoła śpiących, przykrywała tych, którzy we śnie zrzucili z siebie koce, czasem przystanęła, by zamienić parę słów z dochodzącym do siebie pacjentem. Pielęgniarze, felczerzy, balwierze, a nawet kilku prawdziwych medyków, którzy uwijali się w milczeniu między łózkami, pozdrawiali ją pełnymi szacunku skinieniami.

Elnaare skierowała się tam, skąd dobiegły ją gderliwe pomrukiwania Kostura. Usiadła na kamiennej ławeczce pod ścianą i przyglądała się, jak uzdrowiciel, za nic mając pełne bóleści stęknięcia jakiegoś rannego żołnierza, obmacuje jego opatrzone ramię.

– Obrzęk znikł – mruknął do mężczyzny. – Nie wiem, na co ty się jeszcze skarżysz.

Mimo opryskliwego tonu starannie poprawił opatrunek, a potem oparł na nim sękatę dłoń i przymknął powieki, by wlać w ranę nieco Mocy, która uśmierzała ból. W końcu oderwał się z westchnieniem od pacjenta i pomagając sobie laską, w kilku krokach dotarł do ławki, na której przysiadła Elnaare.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – spytała kobieta z uśmiechem.

– Złośliwy los odebrał mi wzrok – Kostur wskazał swe oczy żyłastym palcem – ale inne zmysły tylko na tym zyskały. Nikt zaś nie kroczy po tej posadzce tak jak ty, córeczko.

– Czyli jak?

– Powoli – odparł starzec. – Z mimowolnym, wyuczonym szacunkiem. A jednocześnie ciężko. Jakby coś cię przygniatało. Słyszałem, że delegacja głuchoborska dała ci trochę w kość?

– Trochę. – Elnaare wsunęła rękę pod ramię uzdrowiciela. – Stary Gulvard przybył tutaj kreślić granice i opiewać własną wielkość, a Malhorna interesuje głównie los Voortena.

Miała wrażenie, że wyszeptane w rozmowie z Kosturem imię poniosło się echem po sali. Zacisnęła zęby i podjęła ciszej:

– Coś mi mówi, że gdyby mógł, pognałby w ślad za nim. Istvan myśli tylko o tym, by wrócić na Pohory, a Skalmir ma tu chyba jakiś własny interes, ale nikomu go nie zdradził. Próbuje natomiast zwrócić uwagę pozostałych na przyczynie ucieczki Tuistan, którymi nadal nikt się nie przejmuje. Podczas porannej narady niczego nie ustaliliśmy, bo każdy próbował przekonać pozostałych do swoich racji. W pewnym momencie straciłam cierpliwość i wróciłam do pracy, bo... – Westchnęła ciężko. – Nie bierz tego do siebie, Kostur, ale świat bardzo by zyskał, gdyby to kobiety zasiadały na tronach i podejmowały decyzje.

– Ależ to oczywiste! – rzekł starzec z rozbawieniem. – Bardzo by mi się taki świat podobał. Miałbym w nim zdecydowanie mniej roboty.

Elnaare pokiwała głową i oboje siedzieli przez moment w milczeniu, wpatrując się w płomień buchające z najbliższego paleniska. Płonące drewno syczało i strzelało, czasem jęknął któryś z chorych lub pielęgniarz szepnął coś cicho do kolegi.

Była Smocza Strażniczka mocniej przywarła do starca. Ten uśmiechnął się z życzliwością i pogładził ją po dłoni.

– Znalazłaś jakieś ciekawe rzeczy w tych papierzyskach, które wczoraj dostarczono do stolicy? – spytał.

– Mnóstwo ciekawych rzeczy – mruknęła Elnaare, unosząc głowę.

– Coś, co pomoże rozwikłać zagadkę wielkiej ucieczki Smoszczurów?

– Jeszcze nie wiem – odrzekła z wahaniem. – Możliwe. Na pewno natknęłam się na coś, co pomoże rozwiązać inną zagadkę. Czy wiesz, co trzeba było zrobić, by zostać Smoczą Strażniczką?

– Jakoś nigdy się nad tym nie zastanawiałem. – Kostur znów zachichotał. – Ale zważywszy na to, co wiem o społeczeństwie Tuistan, w pierwszej kolejności zapewne należałoby się urodzić w bogatej rodzinie.

– I tu się mylisz. – Elinaare pokręciła głową. – Przynajmniej częściowo. Pieniądze i protekcja przydawały się, gdy rodzina chciała wepchnąć syna do stanu kapłańskiego. Ba, bywało, że Król-Wieszcz nadawał prebendę mężczyznom już dorosłym, jako wyraz wdzięczności za zasługi. Z kobietami było inaczej. Smoczą Strażniczką mogła zostać jedynie ta, której przytrafił się Ognisty Sen.

– No, teraz to mnie naprawdę zainteresowałaś, córciu – oznajmił Kostur z udawaną powagą.

Elinaare kuksnęła go w ramię.

– Tu się nie ma z czego śmiać – powiedziała po chwili. – Ognisty Sen mógł się bowiem skończyć tragedią dla całej rodziny. Mówiono nam, że... – Urwała, sięgając pamięcią w przeszłość. – Mówiono, że Smoczyca osobiście wybiera swoje Strażniczki. Musiało w tym być trochę prawdy, choć nie wiem, czym się kierowała. W każdym razie Ognisty Sen następował jakieś pół roku przed pierwszym krwawieniem miesięcznym i był swoistym oznaczeniem. Wokół śpiącej dziewczynki wybuchał krąg płomieni, który czasem przygasał i zostawiał jedynie poczerńiałe ślady, a czasem przenosił się na zasłony, dywany, ubrania i... Cóż, reszty się możesz domyślić. Jediną osobą, której ogień nigdy nie czynił żadnej krzywdy, była przyszła Strażniczka, którą następnego dnia zabierano do świątyni w Brzasku. Nigdy już nie wracała do domu. Rozpoczynała służbę dla Bogini, a jej rodzina, jeśli przeżyła Ognisty Sen, otrzymywała finansową rekompensatę i surowy zakaz nawiązywania kontaktu z odebraną córką.

Kostur kiwał powoli głową, jakby opowiedziana przez Elinaare historia wcale go nie zaskoczyła. Blask płomieni z paleniska odbijał się od jego zapadłych, zarosniętych policzków.

– Mam dziwne wrażenie – powiedział po chwili – że tuistańscy rodzice nie przepadają za spaniem w jednym pomieszczeniu z własnymi dziećmi.

– Moich to nie uratowało – oznajmiła chłodno Elinaare.

– Przykro mi.

– Nie opowiadam ci o tym dlatego, że liczę na współczucie. – Wzruszyła ramionami. – Mój Ognisty Sen miał miejsce trzydzieści lat temu, a dzięki metodom szkoleniowym Matek Strażniczek po roku zaledwie nie pamiętałam nawet imion własnych rodziców. Wspominanie rodziny uchodziło za wyraz słabości, wszak po Ognistym Śnie stawałyśmy się wybrankami Smoczyca i tylko jej byłyśmy winne lojalność. Wystarczyło kilka lat w Smoczym

Zakonie, byśmy się stały wyzutymi z wszelkich uczuć i posłusznymi niewolnicami.

– Co takiego się stało, córciu, żeś się na gadzinę wypięła, co?

– Urodziłam Dunstana. – Elinaare uśmiechnęła się lekko. – Przekonałam się, że jedyną rzeczą silniejszą niż nakazy Smoczycy jest macierzyństwo. To właśnie dlatego Smoczym Strażniczkom zabraniano mieć dzieci. Gdyby nie Dunstan, do tej pory byłabym taka jak Oriana.

– Ciekawym, do czego ta opowieść prowadzi. – Kostur się wyprostował. – Bo nie wydaje mi się, byś przyszła umilić wieczór staremu ślepcowi, co?

– Obiecuję, że tak właśnie będę robić, gdy to wszystko dobiegnie końca – szepnęła Elinaare. – Będę siadać obok ciebie i opowiadać ci bajki w nadziei, że mi się uda cię rozbawić, a potem czekać, aż sam uraczysz mnie jakąś historią. A na razie... Cóż, znalazłam coś ważnego. Na tym wozie były akta Smoczycy Strażniczek. Całego Zakonu, sióstr zarówno obecnie działających, jak i zaginionych czy nieżyjących. Dla mnie to istna skarbnica wiedzy, bo Smocze Strażniczki nie miały prawa i powodu interesować się tym, z jakich rodzin pochodziły ich towarzyski.

– I to jest dla nas ważne? – Kostur wydał wargi. W powietrzu rozszedł się nieprzyjemny zapach, gdy mijał ich pielęgniarz z wiadrem pełnym nieczystości.

– Akta Oriany są niezwykle ciekawe. – Elinaare wyprostowała się, wysuwając rękę spod ramienia starca. – Wynika z nich, że od samego początku próbowała ofiarnością zakasować nas wszystkie i podczas gdy my poprzestałyśmy na wyrzeczeniu się własnych rodzin, ona postanowiła swoją zniszczyć. Nie przyszło jej to jednakże łatwo, bo jej rodzonym bratem jest, wyobraź sobie, sam earl Brunhard, Mówca Ligi Handlowej i zwierzchnik najpotężniejszej organizacji w całym Smoczym Imperium. Nie wiem, czy ktokolwiek wśród rządzących zdaje sobie sprawę z ich pokrewieństwa. Przekazałam tę informację Voortenowi w nadziei, że być może zdoła ją jakoś wykorzystać, ale... Ale zaraz tego pożałowałam.

Kostur nakrył jej dłoń własną.

– Niech no zgadnę, córciu – odezwał się. – Drań wymyślił coś, czego się nie spodziewałaś? I nie posłuchał cię, gdyś kazała mu tłuc łbem o kamień, póki nie oprzytomnieje?

Elinaare zacisnęła powieki, by powstrzymać nagły przypływ emocji.



– Zabiję go – powiedziała sucho. – Gdy wróci, zabiję go i rozszarpie.

– A można wiedzieć, co takiego teraz robi?

Elinaare odetchnęła powoli.

– To, na czym zna się najlepiej.

\*

Lekka jazda wychynęła ze śnieżycy niczym gromada upiórów, nieustępliwa, przerażająca i niemalże bezszelestna, a dwa uderzenia serca później rzuciła się do ataku.

Mads Voorten gnał na czele oddziału.

W jego niebieskich oczach lśniło żelazo. Kłębiły się w nich mgły spowijające świat podczas ataku na Mglicę. Połyskiwał księżyc opromieniający szarżę na obóz tuistański podczas Bitwy nad Rozpadliną. Dudniła ziemia niczym podczas ataków pod Grzywaczem. Bryzgała krew na ściany twierdzy Szelağ. Ryczała Wieczna Zamięć, krzyczeli uciekający Wilcy, waliły się mury Brzasku. Szczekała stal, krzyczały umierające smoki. Śmierć kosiła zamaszystymi ruchami nieprzebrane zastępy walczących.

Mads znów pędził do boju. Znów był Ostrzem Burzy.

Miejsca na nabranie rozpędu nie mieli wiele, ponieważ podprowadzili konie możliwie najbliżej wrogiego obozowiska, chcąc jak najdłużej pozostać niezauważonymi, ale przestrzeni wystarczyło im w zupełności. Konie Wiatru, lekkie i zwinne, przeskakiwały nad trupami wartowników zgładzonych przez zwiadowców, którzy czuwali dokładnie tam, gdzie zdradził im Tuvlun, i nabierając pędu, gnały w stronę targanych wiatrem namiotów oraz samych Tuistan.

Pierwsi wrogowie podrywali się już znad ognisk, z niedowierzaniem wpatrując się w nacierających. Niektórzy zdolali złapać za broń i nawet zaczęli się skrzykiwać, ale gwałtowny atak zmiatał bez litości każdą kolejną grupkę obrońców. Jeźdźcy z wprawą prowadzili swe rumaki przez labirynt namiotów, rażąc wroga pchnięciami włóczni lub cięciami mieczy, inni zaś szyli z łuków i wypuszczali bełty z małych kusz. Zaskoczenie wydało się całkowite, a wrzaski bólu i przerażenia zlewały się z rykiem wiatru w straszliwą symfonię.

Mads nie zwalniał. Wyrzucił włócznię, która pękła na czyimś napierśniku, i płynnym ruchem dobył miecza, a potem popchnął Żmijkę ku sercu obozowiska.

Wiedział, że nie ma ani sekundy do stracenia.

Na postojach Tuistanie formowali ze swoich wozów idealne czworoboki, zostawiając luki w każdym z boków. Na zewnątrz i wewnątrz owych przejść stał wóz, którym w każdej chwili można było zablokować wjazd. Atak mógł się więc zakończyć fiaskiem dosłownie w każdej sekundzie.

– Burza! – ryknął Mads.

– Wiatr! – rozległo się w odpowiedzi i razem runęli w stronę ciemniejszej w śnieżycy forticy ustawionej z wozów.

Wokół szalał chaos bitwy. Jeźdźcy przemykali przez obozowisko niczym upiory zagłady, tnąc z siodeł zaskoczonych obrońców. Niektórzy ciskali pochodniami w namioty, które zaraz zajmowały się ogniem, inni uwalniali spętane konie, by spotęgować zamęt. Gdzieś odezwał się już róg alarmowy – jego ochryply zaśpiew urwał się w połowie, gdy obrońcę ciał któryś z napastników, ale gdzieś indziej pieśń podjął inny.

Wokół coraz bliższego wejścia do obozowej twierdzy pojawiła się czeladź. W śnieżycy majaczyli ludzie napierający na wozy.

Dwadzieścia kroków, nie więcej, pomyślał Mads, a głośno zawołał:

– Szybciej, Żmijka! Szybciej!

Ku jeźdźcom pomknęły pierwsze strzały i bełty, ale śnieżna kurzawa utrudniała celowanie. Kilku napastników spadło w błoto obozowiska, inni jednak odpowiedzieli na kaśliwy ostrzał. Mads kątem oka zauważył, jak ktoś, przypuszczalnie Tluhir, podrywa krótki łuk i posyła strzałę za strzałą w ludzi pchających wóz. Dołączyli do niego inni – większość chybiała, ale i tak od wozu odpadło kilku parobków, a ten znieruchomiał.

Mads wskoczył prosto w powstałą lukę.

Po drugiej stronie znajdował się kolejny wóz i gdyby czeladź obozowa zakrzętała się szybciej, zapewne zdołałaby zatarasować nim wjazd, a Mads znalazłby się w śmiertelnej pułapce. Na jego szczęście przystąpili do pchania o kilka uderzeń serca później od swych towarzyszy na zewnątrz.

Na jego nieszczęście było ich znacznie, znacznie więcej.

Mads ostro skrzył koniem i napał na tłum Tuistan. Żmijka wierzgał, tłukł kopytami i targał łbem, a jeździec z furią ciał mieczem. Wnet dołączył do niego Ołuk z wielkim młotem oraz Chryja, który rąbał z siodła żeglarskim toporem. W okamgnieniu oczyścili pole wokół siebie, zostawiając na śniegu kilkanaście skrwawionych ciał.

Mads stanął w strzemionach i się rozejrzył.

Jeźdźcy, niczym wściekła fala uwolniona po otwarciu tamy, wlewali się do wnętrza czworoboku, a inni, nie przestając ciąć i rąbać, omiatali go od zewnątrz. Mads z ulgą zauważył, że jego wojownicy przestrzegają rozkazów – nie wdają się w zaciekle walki, ale przypadają, tną i mkną naprzód. Wiedział jednak, że to dopiero połowa roboty.

– Bielik! – wrzasnął do młodzieńca, który wpadł do obozu na rozhukanym rumaku. – Bierz swoich! Oczyszćcie drugą bramę!

Ten skinał głową i spał konia, wygrywając jednocześnie pojedynczy dźwięk na swoim rogu. Na czele kilkunastu zbrojnych runął w stronę przeciwnej bramy, a Mads zadał we własny róg, by skrzyknąć przybocznych, i skoczył w głąb ogarniętego chaosem obozu.

Tuvlunowi Kreichlannowi, którego Mads z Pokrzewką poddali pod wieczór ponownemu przesłuchaniu, zabrakło sił, by się im sprzeciwić. Oszołomiony Mocą rudowłosego chwastownika opowiedział im wszystko, co wiedział o earlu Brunhardzie, Mówcy Ligii Handlowej, oraz jego zwyczajach. Choć niewielki obóz tonął w zamęcie, Kreichlann doskonale wiedział, dokąd się udać.

Od razu też poznał samego Brunharda, który wypadł na śnieg tylko w spodniach, trzymając w jednej dłoni miecz, a w drugiej tarczę. Mówca ryczał głośno, ściągając ku sobie najbliższych wojowników, ale Mads i reszta byli już blisko. Roztrącili formujący się mur obrońców samym tylko impetem szarży, w biegu rozrąbując ciała, tarcze i pancerze.

– Brać sukinsyna! – wrzasnął Mads.

Brunhard, najwyraźniej obojętny zarówno na zimno, jak i na strach, skoczył ku nacierającym jeźdźcom, ci jednak żwawo umykali przed wściekłymi ciosami tuistańskiego miecza. Tluhir obrócił w dłoniach włócznię i lekko uderzył earla tępym końcem w potylicę. Ten bezwładnie zwałił się w błoto.

Chryja i Otluk zeskoczyli ze swoich wierzchowców, po czym sprawnie wciągnęli nieprzytomnego Brunharda na siodło luzaka i przytroczyli go doń jak worek ziemniaków. Vask ciskał naokoło nożami, Borsuk szył z łuku, a pozostali jeźdźcy przemykali między namiotami, gromiąc najbliższych obrońców, Mads słyszał już jednak pokrzykiwania oficerów i widział, jak Tuistanie przegrupowują się do kontrataku.

Efekt zaskoczenia właśnie mijał.

– Mamy go! – zawołał Chryja, a Mads skinął głową i poderwał róg.

Tym razem zagrał dwa razy, co było sygnałem do odwrotu.

\*

Huk upuszczanej tacy odbił się echem od ścian byłej świątyni, budząc kilku chorych. Kostur burknął coś ze złością pod nosem i poderwał się, wspierając o lasce. Jak spod ziemi wyrósł obok niego Thum, który ujął starca pod ramię i poprowadził go między rzędami łóżek. Elinaare nakryła się jakimś zapomnianym kocem – dzięki paleniskom w świątyni było ciepło, ale kamienna ściana ziębiła – i z tkliwością przyglądała się uzdrowicielowi, który zatrzymywał się przy każdym pacjencie i długo, z bezgraniczną cierpliwością, badał jego stan.

Spod któregoś łóżka wypełznął Kupka. Niezgrabny kundel również lubił przesiadywać w szpitalu – co zdaniem Elinaare świadczyło o jego wysokiej inteligencji – a najszcześniejszy czuł się na ludzkich kolanach. Ziewnął teraz przeciągle, zamrugnął na widok Elinaare i przydreptał do niej, po czym wsparł się przednimi łapkami o jej łydkę. Kobieta pokręciła głową i podniosła popiskującego pieska z podłogi.

– Wybacz, że musiałaś tyle czekać, córeczko. – Kostur sapnęła, siadając obok kobiety po zakończonym obchodzie. Thum bezszelestnie oddalił się w półmrok. – Ale pomyślałem sobie, że skoro ten bałwan i tak wszystkich pobudził, to przynajmniej przyjrę się chorym.

– Nie mam nic pilnego do zrobienia – odparła Elinaare z westchnieniem. – A martwić się mogę równie dobrze tutaj, przy tobie.

– Chciałbym ci pomóc, córeczko, ale na martwienie się żadnego leku jeszcze nie wymyślono – odrzekł Kostur. – Podobno lepiej człowiekowi się robi, kiedy się wygada.

– Podobno. – Elinaare zapatrzyła się w płomienie. Bezwiednie drapała za uchem psa, który ułożył się jej na kolanach i posapywał z rozkoszą. – Wybacz, Kostur, nie jestem w tym dobra. Chyba za długo służyłam jako Smocza Strażniczka. Wolę słuchać niż mówić.

– To ci trochę pomogę. O Dunstana się rozchodzi, no nie? Boisz się, że Voorten znów go wciągnie w jakieś szaleństwo?

– Oni źle na siebie działają – przyznała z ociąganiem Elinaare. – Dunstana rozpieszcza ambicja i niechętnie akceptuje sławę i autorytet Voortena. Jestem przekonana, że był jedynym, który nie płakał, gdy Mads zaginął pod Grzywaczem. Dowództwo nad armią objął z zauważalną ulgą, a to, że zaraz po bitwie ułożył się z Malhornem, zdecydowanie dodało mu wiary w siebie. Niestety chwilę później pojawił się Hoydn, który zamienił go w swego niewolnika i... Ech... – Elinaare machnęła ręką. – Chłopak niepotrzebnie ulega emocjom. Historia pewnie nazwie go zdobywcą Brzasku, ale sam dobrze wie, że zdobył miasto tylko dlatego, że Mads uwolnił jego wojska spod smoczego czaru, a Istvan rozbił bramy. Teraz dowodzi Wiatrem, gdzie zapewne przez cały czas próbuje udowodnić weteranom, że jest równie twardy jak sam Voorten, a przy okazji osłaniać jego działania. Obawiam się, że własna ambicja postawi go w sytuacji, z której nie będzie już ucieczki. – Przygryzła wargę. – Ambicja albo ten przeklęty Voorten – dodała ciszej. – Przecież to, co on sobie teraz wymyślił...

– Dziwny chłopak z tego Dunstana, przyznaję – rzekł szybko Kostur, jakby chciał odciągnąć Elinaare od myślenia o przedsięwzięciu Madsa. – Skłócony z całym światem i ze sobą samym. Nie umie się dogadać z własną matką, nie umie sobie ułożyć relacji z Voortenem. Na to, córeczko, też leku nie mam.

– Ale to gadanie chyba pomaga. Naprawdę.

– Coś podobnego. – Kostur prychnął z rozbawieniem. – Teraz to ze mnie uzdrowiciel pełną gębą. A rzeknij mi, córciu, bo słyszałam to i owo. Prawda to, że elfy we łbie mu namieszały?

– Nie wiem. – Elinaare uśmiechnęła się gorzko. – Spędził wśród nich większość życia.

– Na łuskę i szpony Smoczycy, córeczko... – Kostur obrócił ku niej bladą twarz. – Prawda li to?

Kobieta pochyliła się i oparła łokcie na kolanach. Wbiła wzrok w świątynną posadzkę.

– Dunstan jest owocem mojego przelotnego związku z pewnym kapłanem o imieniu Tilvis – powiedziała po chwili. – Jak się okazało, człowiekiem jak na tuistańskie standardy dość przyzwoitym, bo gdy tylko odkrył, że ustało mi miesięczne krwawienie, wysłał mnie do Powoju, zabitej deskami dziury niedaleko Martwego Jeziora, bym powiła dziecko i uniknęła plotek. Macierzyństwo... – Przełknęła ślinę. – Poród okazał się koszmarem, a połóg torturą, ale były to dla mnie najpiękniejsze

chwile w życiu, tym bardziej że wiedziałam, iż władze zakonu nie pozwolą mi się nacieszyć maleństwem. Nie miałam wątpliwości, że lada chwila do Powoju przybędzie któraś ze Strażniczek, by odebrać mi Dunstana i przekazać go jakiejś rodzinie, o której miejscu zamieszkania nigdy się nie dowiem, a mnie, gdy dojdę do siebie, zagnać do wymagających obowiązków. Cieszyłam się więc każdą chwilą z moim najdroższym, najśladszym synkiem, aż zjawily się elfy. Słyszałeś o Widmowym Zagonie?

– Piąte przez dziesiąte – odpowiedział wymijająco starzec.

– Była to, z tego, co mi wiadomo, jedyna akcja elfów przeciwko Tuistanom od czasów podbicia Rozkrzyczanych Krain. Z niejasnych powodów przeszli przez Martwe Jezioro i spalili kilka ludzkich osad, w tym Powój, po czym uprowadzili ludzkie dzieci. Sześćdziesięcioro czworo dzieci. W tym Dunstana.

Milczała przez moment. Kupka pochrapywał.

– Kilka lat później, niedługo po tym, jak podjęłam ostateczną decyzję o wyrzeczeniu się Smoczycy, odnalazłam syna na drugim brzegu Martwego Jeziora. A właściwie nie ja go odnalazłam, tylko Mads. To on się domyślił, kim jest tajemniczy młodzieniec, którego nazywają Bielik.

– Kilka lat później? Może kilkanaście, co?

– Kilka. Pięć albo sześć. Czas w królestwie elfów płynie inaczej, Kostur. Mój synek powinien właśnie się uczyć stawiać litery i dosiadać konia, a nie prowadzić oddziały do boju.

– I nikt ci tego, córca, nie wytłumaczył? – Kostur zmarszczył krzaczaste brwi. – Nikt ci nie powiedział, dlaczego te szpiczastouchy cholery porwały ci dziecko? A ten tam... Jak mu było... Ów elf, który dołączył do nas w drodze do Brzasku... Gwaine go nazywali! No właśnie, jego nie pytałaś?

– Pytałam, a jakże. – Elnaare wykrzywiła usta. – Co ciekawe, Gwaine uczestniczył w Widmowym Zagonie. Prowadził zwiad i osłaniał odwrót, ale widział ludzkie dzieci. Niestety, Kostur, nie miał bladego pojęcia, dlaczego to robi. Jak to mówią wojskowi?

– Wykonywał rozkazy – prychnął Kostur.

– No właśnie – stwierdziła Elnaare z nieprzyjemnym uśmiechem. – Tylko wykonywał rozkazy.

– Pozostaje żałować – stwierdził Kostur z westchnieniem – że nie ma jak się z tymi elfami porozumieć. Dobrze byłoby ich wypytać o parę rzeczy, no nie, córciu? Osobiście chciałbym wiedzieć, czy te paskudy rzeczywiście właśnie zmiierzają do nas, by rozwalić ten świat na dobre. To by, na smród z pyska Smoczycy, ułatwiło parę

spraw. Voorten kiedyś z nimi gadał, prawda? Jak on to zrobił? Jakiegoś Lustra potrzebował czy czegoś?

Elinaare zeszywniała, tknięta nagłą myślą.

– Lustra – szepnęła.

Przez chwilę siedziała nieruchomo, po czym przełożyła psiaka na kolana uzdrowiciela, a sama zerwała się, ucałowała starca w rzedniejące włosy i bez słowa wybiegła ze świątyni.

\*

– Szybciej! – darł się Voorten, osadziwszy Żmijkę w miejscu.

Zerknął przed siebie i upewnił się, że prowadzony przez Chryję luzak z jeńcem znika właśnie w kłębach śnieżycy. Wszędzie dookoła przemykali jeźdźcy, którzy przebili się przez blokady tuistańskiego obozowiska. Żmijka tańczył w miejscu, wiatr świstał i targał płaszczem Voortena, który strzelał wzrokiem to tu, to tam.

– Szybciej! – syknął przez zęby.

Pospiesznie wsunął miecz do pochwy i wolną ręką złapał róg, wciąż wpatrzony w niewyraźne już obozowisko wroga. W śnieżycy jaśniały kule ognia – być może ogniska, być może płonące namioty bądź plandeki wozów. Mads, mrużąc zalzawione oczy, niestrudzenie wypatrywał uciekających jeźdźców.

Było ich coraz mniej, za to za ostatnimi gnała już tuistańska konnica. Co więcej, za sobą Mads słyszał już szczęk oręża i krzyki.

Nadchodziło najtrudniejsze. Z łatwością wyeliminowali strażę i wpadli do obozowiska, nie bez trudu wdarli się do czworoboku i z niego wyrwali, ale ucieczka w lasy od samego początku wydawała się największym wyzwaniem. Wiatr był znakomicie wyszkoloną, doświadczoną formacją, a Voorten bezbłędnie wykorzystał efekt zaskoczenia, ale przecież właśnie przedzierali się przez szyki armii o wiele od nich potężniejszej, a do tego słynącej z karności. Mads wiedział, że jeźdźcy, którzy jako pierwsi wyrwali się z obozowiska, ścierali się właśnie ze strażami po drugiej stronie, zapewne o wiele mniej zaskoczonymi niż zaatakowane niedawno Smoszczury.

Nad głową pułkownika śmignęły strzały i bełty. Odruchowo pochylił głowę, już zawracając Żmijkę.

– Czas na nas – syknął. – Szybciej, psubraty! – ryknął do ostatnich jeźdźców i popędził konia.

– Wynosimy się stąd! – wrzasnął mu ktoś do ucha. Głos był znajomy i Mads, który już unosił róg do ust, zamarł.

Bielik przemknął obok niego, łopocząc płaszczem, po czym obrócił się w siodle i wypuścił strzałę w nadciągających Tuistan.

– Szybciej! – ponaglił ostatnich towarzyszy.

W sercu Madsa zapłonęła wściekłość – przecież Bielik, po rozbiciu obrońców przeciwnej bramy, miał natychmiast wyprowadzić resztę kawalerzystów z obozowiska. Nie istniał żaden powód, by nadal trzymał się tyłów, gdzie było najgoręcej.

Żaden powód poza...

Pieprzony szczeniak! – warknął w myślach Voorten i trącił Żmijkę piętami. Pędził w śnieżycę w ślad za łopoczącymi płaszczami towarzyszy broni i zadami ich wierzchowców. Nad głową nadal śmigły mu strzały, coraz liczniejsze, i Mads ze wszystkich sił zwalczył odruch pochylenia się nad grzywą Żmijki. Zamiast tego wyprostował się i przytknął zimny ustnik rogu do warg, a potem zagrał trzy krótkie sygnały.

Z oddali odpowiedział mu potężny ryk, który zdawał się rozdzierać śnieżycę i wstrząsać ziemią. Żmijka zarżał w biegu, jakby w odpowiedzi, i jeszcze przyspieszył, a śnieżna kurzawa przybrała na sile. Uderzała w nadjeżdżających wściekłymi falami, z których każdej towarzyszyło głucho uderzenie. Między rozpedzonymi końmi przebiegali wartownicy, którzy w panice uciekali do obozu. Mads zerknął za siebie i przekonał się, że linia ścigających ich jeźdźców, wyraźnie widoczna na tle pożarów w obozowisku, chwieje się i rozpada.

Dobra robota, gadzino, pomyślał z uniesieniem.

Trzy dźwięki zagrane na rogu były sygnałem dla przycającej w śnieżycy Lharsin, która wyłoniła się teraz z ukrycia, rycząc i tłukąc skrzydłami. Rumaki kawalerzystów Wiatru, w większości nawykłe do ryku smoka, umykały w ciemność, a strażę szły w rozsypkę.

– Jestem Lharsin! – ryczała smoczyca. – Najdzielniejsze ze Smocząt!

Uda nam się, pomyślał Mads.

W tejże chwili nad jego głową niebo przesłonił cień. Żmijka uskokzył z przestrachu w bok, a na Lharsin zwałił się jakiś obcy, gigantyczny kształt.

\*

Jak wielokrotnie wcześniej, tak i tym razem Elinaare miała wrażenie, że Smoczy Dom otula nieprzenikniona, przeklęta cisza.



Wiedziała, co zwykli ludzie mówią o tym miejscu. Mało kto miał ochotę, by przejść przez którąś z ulic okalających Smoczy Dom, a jeśli już to czynił, dodawał sobie odwagi jakimś znakiem odczyniającym złe moce. Ponoć matki straszły niegrzeczne dzieci, że podrzucają je na próg Smoczego Domu, a za najodważniejszego wśród uliczników uchodził ten, który potrafił przynieść kamień spod jego ścian.

Cóż, pomyślała, złowróżbna sława najwyraźniej nadal go nie opuszcza.

Ofiarą rozwścieczonych zdobywców Brzasku padła bowiem większość posągów i wizerunków Smoczycy. Statuy bogini, która strzegła wejścia do Domu, nie tknął nikt.

Elinaare uśmiechnęła się krzywo. Najwidoczniej nawet upojeni żądzą niszczenia żoldacy jej syna wyczuwali w ciszy okalającej Smoczy Dom grozę, którą trzymała ich odeń z daleka. W owej ciszy kryło się bowiem przerażenie młodych dziewcząt, oderwanych od rodzin i ciśniętych w nieznaną sobie, bezwzględny świat. Czaiły się w niej okrucieństwo Starszych, gotowych karać adeptki za najmniejsze przewinienie, oraz bezwzględny chłód, który musiała osiągnąć każda Smoczka Strażniczka, by stać się godną swego miana. Unosiły się w niej lęk ofiar Smoczego Zakonu i groza, szerzone za sprawą Mocy udzielanej przez Smoczycę.

Nawet ona, która spędziła w Smoczym Domu długie lata, stała teraz nieruchomo, gotowa w nieskończoność odwlekać chwilę, w której wykona ku niemu pierwszy krok.

Wreszcie się przemogła.

Ostrożnie, z wahaniem stawiała kroki przez śnieżycę, idąc ku bramie, której nigdy nie zamykano. Zakon zawsze obłudnie głosił, że jego drzwi stoją otworem przed każdym, kto szuka pociechy i opieki. Owej bramy strzegł posąg Smoczycy. Nieznany Elinaare rzeźbiarz przedstawił boginię w nachylonej pozycji; z gadzią obojętnością przyglądała się każdemu, kto wkracza na teren Smoczego Domu. Było w tej pozycji coś, co odbierało resztki pewności siebie, tym bardziej że w oczodołach statuy, ku zgrozie Elinaare, nadal płonęły czerwone ogniki. Kobieta miała wrażenie, że posąg, mimo śmierci Smoczycy i upadku imperium, nie zakończył swej służby i w każdej chwili gotów jest ożyć.

Przeszył ją dreszcz. Mijając figurę, mimowolnie przyspieszyła kroku, żałując w myślach, że nie wzięła nikogo ze sobą. Wiedziała jednak, że mało kto zdobyłby się na to, by jej towarzyszyć. Wojacy

przydzieleni jej przez Krzemienia, stojący u wylotu ulicy, zdawali się sparaliżowani ze strachu.

Tchórze, pomyślała Elinaare, choć bez przekonania.

Szła aleją między nagimi drzewami skutymi szronem, opromieniona blaskiem dwóch cierpliwych lamp. Kierowała się ku drzwiom u szczytu schodów. Te, drewniane i wzmocnione żelaznymi guzami, niczym się nie wyróżniały i nikt postronny by się nie domyślił, że wystarczyło jedno ich trzaśnięcie, by odciąć przestraszoną, małą dziewczynę od jej dotychczasowego życia. Znów się wzdrygnęła.

I wtedy uświadomiła sobie, że jednak nie jest tu sama.

Na szerokich stopniach przed drzwiami stał samotny człowiek w obszernym futrze, które wydawało się na nim dziwnie luźne, a ogromna czapa tylko podkreślała chudość jego nagiej szyi. Odwrócił się ku kobiecie i powitał ją nieładnym, ale życzliwym uśmiechem.

– Miałem dziwne przeczucie, że cię tu zastanę – powiedział.

– Ja natomiast jestem szczerze zaskoczona – oświadczyła Elinaare, podchodząc bliżej. – Co tu robisz?

– A czemu pytasz? – Skalmir uniósł postrzępione brwi. – Czyżbym nie miał prawa tu przebywać?

Elinaare zatrzymała się u dołu schodów i przygryzła wargę.

– Oczywiście, że masz prawo – przyznała z niechęcią. Sama wszak kilkakrotnie powtórzyła podczas narad, że Brzask nie należy do nikogo, a zarazem stanowi własność ich wszystkich; mimo to towarzyszyło jej irracjonalne przekonanie, że nikt poza nią nie ma prawa wejść do Smoczego Domu.

Nawet mimo tego, że miejsce to kojarzyło się jej wyłącznie z koszmarem, jakiego doświadczyła przed laty.

– Tylko że... – Zawahała się.

Skalmir stał nieruchomo i czekał na dalsze słowa, aż nabrał pewności, że te nie padną. Wówczas odwrócił głowę i spojrzał na ogromne, ciemne okna świątyni.

– Wyczuwam w tym miejscu potężne zło – powiedział obojętnym tonem.

– Nie potrzeba wichrogórskiego talentu, by dojść do takich wniosków – stwierdziła Elinaare. – Tu wykształcono... Cóż, to chyba nie jest najlepsze słowo. Tu uformowano setki Smoczych Strażniczek, Skalmirze. Czuję, że po upływie nawet stu lat ludzie nadal będą obchodzić to miejsce szerokim łukiem.

– Nie w tym rzecz. – Czarodziej zerknął na nią z mieszaniną rozbawienia i zaintrygowania. – Twoje pytanie było uzasadnione. Jesteś ostatnią Smoczą Strażniczką w Brzasku i, cóż... w zasadzie masz prawo rozporządzać dostępem do tego miejsca. Chciałem jedynie wyjaśnić ci swoją motywację. Wyczuwam w tym miejscu niewypowiedziane zło. Zaburzenie równowagi, na które nie natknąłem się nigdy wcześniej, a uwierz mi, że widziałem już niejedno.

– Pracowały na to całe pokolenia Starszych – zaczęła Elinaare, ale Skalmir pokręcił głową:

– Nie. To coś znacznie większego. I świeższego.

– Świeższego? – Kobieta weszła po schodach i stanęła obok drzwi. Przesunęła dłońią po starym drewnie i żelaznych guzach, a potem ponownie spojrzała na Wichrogórczanina. Światło latarni zamieniało jego wychudłą twarz w mozaikę cieni.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała. Jej serce niespodziewanie ścisnął niepokój.

– Nie wiem – odrzekł mag. – Powiedziałbym więcej, gdybym mógł, ale... – Wzruszył chudymi ramionami i wskazał wrota. – Nie mogę wejść do środka.

– Bo w tych drzwiach zaklęto część magii Smoczycy – wyjaśniła Elinaare. – Tylko kapłanka może je otworzyć, co – uśmiechnęła się krzywo – chyba rzeczywiście czyni mnie spadkobierczynią tego domu koszmarów. – Oparła dłoń na klamce. – To jedyne miejsce w Brzasku, które nie zostało splądrowane przez nasze wojska. Jeśli więc gdzieś znajduje się Lustro, to właśnie tutaj.

– Lustro? – Wichrogórski mag wpatrywał się w nią intensywnie.

Była Smocza Strażniczka skinęła głową, ciesząc się w duchu, że odbywają tę rozmowę. Naciśnięcie klamki wydawało jej się teraz bowiem równie trudne jak przed chwilą zrobienie kroku w stronę Smoczego Domu.

– Mam na myśli ów legendarny artefakt, za pomocą którego ludzie komunikowali się z elfami.

– Wiem, czym jest Lustro.

– Tak, naturalnie, że wiesz. Otóż przyszło mi do głowy, że być może któreś z nich znajduje się tutaj, w Smoczym Domu. – Elinaare westchnęła. – Wciąż nie mamy pojęcia, dlaczego Tuistanie nagle postanowili porzucić ujarzmione przez siebie tereny. A co, jeśli skontaktowali się z elfami i otrzymali od nich ostrzeżenie? Przekonujące ostrzeżenie?

– Cóż – Wichrogórzanin obdarzył ją kolejnym ze swych nieprzyjemnych, acz życzliwych uśmiechów – istnieje tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Elianaare skinęła głową, w myślach policzyła do trzech i nacisnęła klamkę.

\*

Mads zareagował bez zastanowienia i skierował Żmijkę prosto na zaatakowaną Lharsin, a jego koń – jak zazwyczaj – zaledwie kilka sekund później musiał ratować go z opresji.

Bestia, która spadła na Lharsin, była bowiem z całą pewnością smokiem, i to takim, jakiego Mads nigdy jeszcze nie widział.

Potwór przypadł do Lharsin z impetem. Splecione w śmiercionośnym uścisku smoki przetoczyły się, wzbudzając śnieżną kurzawę. Mads, który rozpedził już Żmijkę do cwału, wznosił miecz w nadziei, że uda mu się ciąć napastnika w biegu, ale wtedy z zamieci wystrzelił długi ogon, zakończony jadowym pazurem.

Żmijka w ostatniej chwili wybił się do skoku.

Czas zwolnił. Mads wyraźnie usłyszał stuknięcie, gdy pływący w powietrzu koń zawadził kopytem o łuskowaty ogon, a potem świat zadygotał, gdy Żmijka z najwyższym trudem wylądował na zamrzniętej ziemi. Voorten, próbując odzyskać panowanie nad koniem, odwrócił głowę.

Ogon wznosił się coraz wyżej, jak gdyby potwór przygniatający Lharsin chciał ją dźgnąć niczym gigantyczny skorpion. Był już na tyle wysoko, by mógł pod nim przegalopować jeździec.

I tak też się stało. Zawracając konia, Mads ujrzał rozpedzonego Bielika, który stanął w strzemionach, a potem ze wszystkich sił chlasnął ogon mieczem.

Ciałem obcego smoka wstrząsnął spazm. W tejże chwili Lharsin kłapnęła szczękami i zacisnęła kły na łapie przeciwnika. Ten zdołał ją wyrwać, ale na śnieg buchnęły strugi gorącej krwi.

Zatrzepotały ogromne, poczwórne skrzydła i wrogi smok zaczął się wznosić. Mads spał konia, podniósł się w strzemionach i chlasnął mieczem, ale jego ostrze przecięło powietrze.

Ziemia zadygotała, gdy Lharsin, przewróciwszy się odruchowo na brzuch, uderzyła o nią ogonem.

– Rozszarpie cię! – zaryczała, rozpościerając ogromne, acz nierówne skrzydła. – Zabiję! Popamiętasz mnie, ty...

– Stój! – Mads wrył konia tuż przed smoczym brzuchem i z całej siły smagnął ją płazem miecza po pysku. Lharsin, przytomniejąc, potrząsnęła łbem. – Stój! Nigdzie nie lecisz! Pamiętasz rozkazy?

– Rozkazy? – Smoczyca zamrugnęła ślepiami. – Pamiętam! Juści, że pamiętam, ale ten skur...

– Wynoś się stąd! – Mads zerknął przez ramię na obozowisko. – Wynoś się, bo Smoszczury lada moment oprzytomnieją! Wynoś się, póki czas!

Lharsin zaryczała, że złością targnęła łbem, ale zaczęła uderzać miarowo skrzydłami, szykując się do wzbicia w powietrze.

– Bielik! – Mads rozglądał się, ale w spotężniałej nagle śnieżycy nie zdołał wypatrzeć upartego młodziana. – Bielik, na truchło Smoczycy...

I wtem go dostrzegł. Bielik pochyłał się w siodle ze strzałą w plecach.

\*

Elinaare wiedziała, że ze wszystkich koszmarów, jakich doświadczyła w życiu, ten wstrząśnie nią najbardziej.

Nie miała żadnych powodów, by kochać Smoczy Dom. Spędziła w nim upiorne lata pod okiem Starszych, które robiły wszystko, by zgnieść w młodych adeptkach uczucia i zastąpić je lojalnością wobec Smoczy. Jej młodość upłynęła wśród niekończących się ćwiczeń fizycznych, wyczerpujących zajęć z posługiwania się Mocą, uciążliwych medytacji oraz bolesnych kar. Nie było w tym miejsca na przyjaźń czy bez troskę. Smoczy Dom odebrał Elinaare największy skarb życia: młodość. I nie dał jej nic w zamian.

Mimo to na widok okopconych ścian i podłóg zrobiło jej się niedobrze.

Korytarze i sale Smoczego Domu przypominały wnętrze gigantycznego pieca, w którym przez jakiś czas szalał nieposkromiony ogień. Żywiół pochłonął podłogi i meble, wgrzył się w belki stropu, doprowadzając tu i ówdzie do zawalenia piętra, całkowicie zniszczył schody i wypaczył okna. Ściany i sufit powlekała smolista czerń, w której Elinaare dostrzegała ciemniejsze, tłustsze plamy. Domyślała się, że to pozostałości po ludzkich ciałach.

W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach spalenizny, od dawna wystygłej. Kobieta miała wrażenie, że wyczuwa w nim woń palących się ludzi.

– Co tu się stało? – spytał Skalmir. Jego głos wydawał się dziwnie stłumiony.

– Czary Strażniczek opierają się na potędze ognia i umysłu, dwóch największych darach Smoczycy – odpowiedziała niewyraźnie Elinaare i pochyliła się, by ze zwęglonych, mizernych szczątków jakiejś konfraterki wydostać diadem.

Otrzeptała go o połę płaszcza i obejrzała w nikłym świetle latarni parkowych, które wpadało przez niedomknięte drzwi. Kiedyś, w poprzednim życiu, nosiła identyczny.

– Wygląda na to, że użyto tu tej pierwszej – dodała. – W stopniu, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam.

Po plecach sphywał jej dreszcz za dreszczem. Skalmir milczał, słyszała jego przytłumiony oddech.

– Po śmierci Smoczycy nasza Moc stopniowo przygasiała – ciągnęła. – Niewykluczone, że lojalniejszym siostronom zostało jej więcej, ale wygląda mi na to, że zużyto jej tu mnóstwo. Ogromne wprost ilości.

– Gdybym nie znał waszego zakonu – powiedział powoli Skalmir – rzekłbym, że doszło w waszych szeregach do bitwy.

– Bez wątpienia doszło tu do bitwy. – Elinaare zrobiła kilka kroków i wzdrygnęła się, gdy jej obcas rozgniół z chrzęstem jakiś węgielek. – Ale nie siostróbójczej. Mój były zakon stawiał czemuś czoła i zapłacił za to najwyższą cenę. Być może – odkaszlnęła – Strażniczki zmierzyły się z wrogiem, którego zdołały jedynie odepchnąć, lecz nie pokonać. Być może raport ocalałych sprowokował Tuistan do wyniesienia się z Rozkrzyczanych Krain.

A Orianę do poszukiwań innych źródeł Mocy – dodała w myślach.

– Sprawdźmy to – powiedział Skalmir obojętnie, jakby patrzył na wiejski dziedziniec, a nie miejsce kaźni. – Może dowiemy się więcej.

Elinaare skinęła głową.

Przeszukiwali wypalony, martwy Smoczy Dom przez resztę nocy, ale nie odkryli niczego poza jednym.

Lustra tam nie było.

# Rozdział czwarty



— Meldunek! – ryknął Mads, zrywając stwardniały od śniegu kaptur i zeskakując ze zdyszanego Żmijki.

Choć wydawało się to wręcz niemożliwe, śnieżycą z każdą chwilą przybierała na sile. Widoczność, jeszcze podczas przebijania się przez drugi z pierścieni obrony ograniczona do kilkunastu kroków, teraz skurczyła się do ledwie paru. Mads widział tylko najbliższych towarzyszy, podobnie jak on skulonych w siodłach i wyczerpanych, a jego głos tonął w szumie wichru targającego koronami drzew. Voorten widział zaledwie kilkunastu towarzyszy z oddziału, a dręczące go myśli rozpedziła inna, świeża i przerażająca: pogubimy się w tej kurzawie...

W zamieci rozbrzmiewał łoskot kopyt. Prychały konie, krzyczeli ludzie, świstał wiatr. Łopotały płaszcze.

Mads się rozejrzał, po raz nie wiadomo który. Nigdzie nie dostrzegł Bielika.

Oczyma wyobraźni widział już zwarte szeregi Tuistan, wypoczętych, karnych i żądnych zemsty, jak zanurzają się w las na zboczach, zmierzając ich śladem.

– Meldunek! – zawołał, zdzierając sobie gardło.

Żmijka prychnął, jakby wyśmiewał wysiłek swego jeźdźca, ale w tejże chwili z kurzawy wyłonił się Czochor, przypominający bardziej śnieżnego gnoma niż człowieka. Twarz przewiązał sobie szalem, który całkiem już zamarznął, a z brwi i włosów zwisały mu sople.

– Wasza miłość! – ryknął z siodła, pochylając się, jakby nie mógł zeskoczyć na ziemię. – My...

– Meldunek! – huknął Voorten. – Przebiliśmy się w większości? Trzeba po kogoś zawracać?

– Nie wiem! – krzyknął Czochor niemalże z rozpaczą. – Nic w tej ćmie nie widać!

– Trudno! Dadzą sobie radę! Skręcamy na północ, by...

– Nie! – zaprotestował Czochor, co było tak zaskakujące, że Mads na chwilę oniemiał. – Nie możemy iść za Smoszczurami, wasza miłość! – Wichrogórski porucznik wpatrywał się w dowódcę załzawionymi oczami. – Padniemy! Padniemy wszyscy! Nikt z nas nie ocaleje!

Wiatr nieco przycichł, jakby żywioły uznały, że reszta oddziału musi usłyszeć te słowa. Mads kątem oka ujrzał, że niektórzy jeźdźcy odwracają ku niemu głowy.



– Jesteśmy w siodłach od siedmiu dni! – krzyczał Czochor. – Mamy za sobą kilka bitew. Ludzie są głodni i zmarznięci, o koniach nie wspomnę. Tam ciągnie się przełęcz. – Z trudem wyciągnął przed siebie ramię. – Przejdziemy na drugą stronę wzgórz, gdzie wichura jest mniejsza! Wiem o pewnej opuszczonej wiosce! Zmieścimy się tam wszyscy!

Wiatr cisnął Madsowi w oczy garść lodowych igieł.

– Znajdziemy ich... – wychrypiał. – Znajdziemy ich jutro. Czochor, idź przodem! Wiązać konie! Naprzód!

\*

Burza śnieżna, ta sama, która w nieodległych górach usiłowała zatrzymać oddział zawziętych kawalerzystów, na nowo wtargnęła do Brzasku, przeganiając z ulic nielicznych ludzi i błyskawicznie piętrząc trudne do przebycia zasy. Elinaare jednak nie zwróciłaby uwagi nawet na trzęsienie ziemi, które zaczęłoby kruszyć mury stolicy. Klęczała naprzeciwko ogniska rozpalonego na kamiennej posadzce i wpatrywała się w płomienie, które pożerały wszelkie bodźce docierające ze świata zewnętrznego. Skupiała myśli na jednej jedynej rzeczy.

Na tym, czego nie robiła od wielu lat.

– Pani – szeptała ledwie słyszalnie. – Jestem twą niewdzięczną służką. Odwróciłam się wszak od ciebie niedługo po twojej śmierci, a potem ze wszystkich sił wspierałam wrogich tobie ludzi. Nigdy jednakże do końca nie zdusiłam w sobie miłości do ciebie i podziwu wobec twojej siły. Płakałam po twojej śmierci, nie spałam po nocach, gdy jej wspomnienie wracało do mnie we śnie, odwracałam głowę, gdy widziałam twe niszczone świątynie. Byłaś moją boginią. Byłaś moją nadzieją i źródłem mej siły, a wszelkie zło, które jest ci przypisywane, pochodzi od tych, którzy wypełniali twą wolę.

Wpatrywała się w płomienie, syczące i obojętne. Odpowiadała jej wyłącznie cisza.

– Dziś ujrzałam coś, co wstrząsnęło mną do głębi. Ktoś zadał cios tym, które pozostały wierne twojej pamięci. Ktoś wtargnął do ich domu, by niszczyć i palić. Kto to był, pani? Kto się powazył? Kto miał na tyle Mocy? Czuję się...

Głos uwiązał jej w gardle, a oczy, płonące nieustępliwością i siłą, zaszyły łzami.

– Czuję się, jakby ktoś odarł mnie z szat, a potem cisnął w błoto. Splugawiono twą cześć. Wymierzono nam policzek. Kto to uczynił? Kto wbił nam sztylet w plecy?

Naraz złapała się na tym, że mówi o sobie jako o Strażniczce. Jako o członkini Smoczego Zakonu. Nie miała pojęcia, że widok Smoczego Domu wstrząsnął nią tak bardzo.

– Wesprzyj nas, Pani. Dodaj nam sił w walce z tym, który postanowił zetrzeć nas na proch. Ześlij nam swe błogosławieństwo. Niech twój ogień płonie dla nas, niech twa Moc nas otacza, niech twój śpiew wytycza nam kierunek.

Eliinaare modliła się, nie bacząc na ból w kolanach. Wiatr gwizdał potępieńczo. Zdawało jej się, że w syku płomieni pobrzmiwa krzyk ginących smoków.

\*

Kamienne ściany górskich chat były zimniejsze od lodu, ale i tak wydawały się niemalże kojąco ciepłe w porównaniu z szalejącą na zewnątrz śnieżycą. Czochor miał rację – po drugiej stronie wzgórz wichura była mniej dokuczliwa – ale dla wymarżniętych, zdrożonych i nierzadko rannych jeźdźców Wiatru nie stanowiło to właściwie żadnej różnicy. Byli tak wymęczeni siedmiodniową poniewierką i walkami, że niektórzy zsuwali się z siodła i resztką sił rozkulbaczali konie, po czym padali na zimną polepe i z miejsca zasypiali.

Mads, Czochor, Chryja oraz garstka tych, którzy jeszcze jako tako trzymali się na nogach, przez dobrą godzinę uwijali się po wyludnionej podgórskiej osadzie, pomagając oporządzić się tym, którym nie starczyło na to sił. Zdejmowali siodła, opatrywali rany, rozpalali ogień i przygotowali prosty posiłek, aż w końcu Mads, upewniwszy się, że nie ma już nic do zrobienia, klepnął półprzytomnego Czochora w ramię, kazał mu iść w cholerę, a sam, powłócząc nogami, ruszył w stronę chaty, w której ułożono Bielika oraz tuistańskiego jeńca.

Był ledwie żywy z zimna i zmęczenia, mimo to wcale nie spieszyło mu się na spoczynek. Rozejrzał się jeszcze raz po wiosce, ale w każdej z chat nadających się na schronienie płonęło już ognisko. Nie pozostawało mu nic do zrobienia.

Musiał stanąć twarzą w twarz z Bielikiem.

Wszedł cicho do chaty i starannie zamknął rozpadające się drzwi, umocowane do ściany jednym przerdzewiałym zawiasem.

Przez szczeliny nawiało do izby śniegu, a wysłużone, drewniane okiennice dygotały pod naporem wiatru, ale ogień na środku pomieszczenia trzaskał rażno i Tluhir szykujący posiłek zdjął całe wierzchnie okrycie z wyjątkiem koszuli. W kącie chrapał zmęczony Borsuk, a obok niego drzemał Vask. Otluk siedział z zaczerwienioną twarzą przy ogniu i kołysał się w przód i w tył.

Na posłaniu pod przeciwległą ścianą leżał na brzuchu Bielik.

Był trupio blady, rude kędziory lepiły mu się do spoconego czoła, a oddech miał płytki, nierówny, ale Madsowi wystarczyło to, że przeżył. Siłując się z zeszywniałym od zmrożonego śniegu płaszczem, poczuł ulgę tak wielką, że zakręciło mu się w głowie. Nabrał tchu i poszukał wzrokiem Pokrzewki.

Chwastownik siedział zaledwie kilka kroków od niego, ale i tak minęła dłuższa chwila, nim Madsowi udało się go odnaleźć. Przed uderzeniem na tuistański obóz Pokrzewka zażył bowiem miksturę ziołową, dzięki której zlewał się z otoczeniem, co było jedynym sposobem zapewnienia mu bezpieczeństwa. Po wypiciu naparu stawał się właściwie niewidzialny i zagrożeniem dla niego pozostawały tylko zbłąkane strzały czy bełty. Pokrzewka co prawda udawał śmiertelnie obrażonego i utrzymywał, że stał się zahartowanym kawalerzystą, ale Mads i pozostali weterani nie mieli złudzeń. Tak szaleńczy atak mógł się zakończyć śmiercią nawet najtwardszych spośród nich.

Voorten nie chciał myśleć o nadchodzącym poranku, kiedy to będzie musiał policzyć zabitych.

– Co z nim? – spytał od niechcienia Pokrzewkę, biorąc w drżące ręce pustą miskę. Jego głos był niski, ochryply.

– Z Bielikiem? – Chwastownik się ocknął. Pułkownik siedział ledwie krok od niego, mimo to twarz chłopaka pozostawała rozmazana i niewyraźna. – Wyżyje – wymamrotał. – Twardy chłop.

– Może trza by go zawieźć do Brzasku. – Mads spojrział przez ramię. – Do Kostura, który...

Urwał, uświadomiwszy sobie, że Bielik się w niego wpatruje.

Mads miał Elinaare za najbliższą przyjaciółkę, przez co jej syn również powinien być mu bliski, ale Dunstan z nikim się nie spoufalał. Nigdy nie nawiązał serdeczniejszych więzi z matką, a do Voortena odnosił się oschle, wręcz wrogo. Mads wiedział, że w chłopaku kotłuje się wściekła ambicja, co rusz rozniecana kolejnymi upokorzeniami, wcale jednak nie pomagało mu to w budowaniu relacji. Osobiście nie przepadał za Bielikiem i czuł się o wiele lepiej, gdy wiedział, że ten przebywa daleko od niego.

Na to, jak się wobec niego zachowywać przy kompanach z oddziału, gotowej recepty jeszcze nie miał.

Czego pożałował, patrząc w zło, rozgorączkowane oczy młodzieńca.

– Nieźle żeś chlasnął tego bydlaka – powiedział od niechcienia, biorąc od Tluhira miskę pełną strawy. – Gdyby...

– Jesteś z siebie zadowolony, Voorten? – spytał Bielik cichym, suchym głosem.

Mads siorbał zupę, nie patrząc na chłopaka.

– Coś mi mówi, że zebrało ci się na głębsze przemyślenia – odezwał się w końcu. – No, wysłów się, chłopcze. Powiedz, co cię gryzie.

– Nie – szepnął młodzieniec i dźwignął się na łokciach. – Ja zadałem pytanie jako pierwszy. Powiedz mi, Voorten, o co ci właściwie chodzi.

Mads dopił zupę i przez chwilę starannie wycierał miskę kawałkiem chleba.

– Cóż – powiedział cicho, odwracając się ku chłopakowi. – Pomyślmy. Uderzyliśmy w trzysta koni na największą armię, jaką kiedykolwiek widziały Rozkrzyczane Krainy. Wdarliśmy się do ich obozowiska, siejąc nielichy zamęt, porwaliśmy zwierzchnika Ligii Handlowej sprzed jego własnego namiotu, wydostaliśmy się z czworoboku wozów, przebiliśmy przez zewnętrzny pierścień straży i umknęliśmy pościgowi. Zgoda, straciliśmy część oddziału, a reszta ledwie żyje z zimna i ze zmęczenia, ale mamy kluczowego jeńca, który być może zdradzi nam, o co chodzi w całym tym bałaganie. Dodam, że gdybyśmy uderzyli chwilę później, po osłabnięciu śnieżycy, straty byłyby większe, a jeńca pewnie byśmy nie wyrwali.

Umilkł. Nie miał ochoty na tę rozmowę. Pragnął w zasadzie jedynie położyć się i zasnąć, ale zdobył się na to, by raz jeszcze odwrócić głowę ku Bielikowi, który zdołał, ignorując ból, przekręcić się na bok i oprzeć na łokciu.

– Dowódca oddziału – wycedził Voorten – nie jest pasterzem stada kóz ani kapłanem strzegącym sierocińca. Przyrównać go można raczej do rzemieślnika, który ma wykonać pewną robotę, trudną i niewdzięczną, ale konieczną. Jego oddział zaś to narzędzia, bez których tej pracy nie wykona. Bywa, że ów rzemieślnik popsuje sobie te narzędzia albo je zgubi. Bywa, że całkiem spieprzy sprawę i ktoś inny będzie musiał po nim poprawić. Ale musi się podjąć roboty.

Przez pobladała, spoconą twarz Bielika przemknął grymas. Aluzja do braku doświadczenia wyraźnie rozbudziła jego gniew.

– Tyle to wiemy my wszyscy – wychrypiał. – Każdy z nas szedł na tę wyprawę ze świadomością, że może nie wrócić, więc oszczędź sobie tego pieprzenia. Mnie ciekawi, Voorten, co ci siedzi we łbie. I do czego jeszcze nas popchniesz. Czy znów będziemy szarżować po wieczną chwałę, by rozślawić imię Madsa Voortena po wsze czasy?

– Tu cię boli – mruknął pułkownik. – Dobra, to się da załatwić. Pokrzewka – odwrócił się do chwastownika – mógłbyś ułożyć jakąś balladę o tym, jak to dzielny Bielik smoka dziabnął? Trochę sławy się chłopakowi należy!

Twarcz Pokrzewki nadal była rozmyta, ale Mads zauważył, że chłopak poruszył się nerwowo, jakby chciał się odsunąć od ognia. Tluhir również odszedł w kąt, gdzie nakrył się derką, a przy ogniu pozostał jedynie Otluk, który najwyraźniej nie nadażał za rozmową.

Wiatr zatrzęsł okiennicami. Bielik opadł na posłanie, ale nadal był przytomny.

– Nie odpowiedziałeś mi – powiedział cicho. – O co ci chodzi?

– W tej chwili głównie o to, by nie stracić panowania nad sobą – warknął Voorten. – Sprecyzuj pytanie.

– Moja matka dołożyła wszelkich starań, by cię uznano za zmarłego – szepnął Bielik. – Skrycie wyniosła cię z tej przeklętej katedry i ukryła w jakiejś kamienicy, byś doszedł do siebie, a potem, gdy okazało się, że nic ci właściwie nie dolega, posadziła cię na konia i wysłała z Brzasku na zwiad, a ja na jej polecenie... – Rozkaszał się, po czym, krzywiąc się z bólu, otarł usta. – Ja na jej polecenie wyżywałem się na jeńcach, niby w akcie zemsty. Sporo roboty w ten teatrzyk włożyliśmy, wiesz?

– Nie prosiłem o to.

– Nie. O to poprosiła Elinaare. A wiesz... – Znów przerwał mu atak suchego kaszlu. – Wiesz w ogóle, o co jej chodziło, prawda?

– Nie musisz mi przypominać – burknął Mads, spoglądając na młodzieńca z narastającą niechęcią. – Dokładnie to przegadaliśmy.

– Nie chcę ci niczego przypominać. Chcę się upewnić, czy sam dobrze myślę. Moja matka postanowiła osiągnąć dwa cele. – Przez twarcz Bielika przemknął grymas. Voorten nie wiedział: niechęci czy bólu. – Jako martwy przestaniesz być wreszcie obiektem zainteresowania dla owej Smoczej Strażniczki Oriany, za to jak

nikt inny poprowadzisz zwiad w ślad za armią Smoszczurów. Zapewne też – uśmiechnął się krzywo – uznała, że powinienes być blisko pewnego posagu, który...

– Zamknij pysk albo znajdę strzałę, którą wyciągnął ci Pokrzewka, i wbiję ci ją na powrót w tę samą dziurę!

– Voorten, ja to rozumiem. – Bielik westchnął. – Moja matka, fingując twoją śmierć, tak naprawdę oddała ci wielką przysługę. Twoja rola dobiegła końca, tak jak cała Druga Burza, i teraz możesz odjechać w dal w pogoni za swą miłością.

– Do czego ty zmierzasz? – Mads wyprostował się, zaciskając pięści. – Chyba nie jesteś na tyle głupi, by mi powiedzieć: jedź, Voorten, i szukaj posagu, bo do niczego innego się nie nadajesz. Ja tymczasem cię tu zastąpię, bo...

– W żadnym razie. – Bielik prychnął wzgardliwie. – Chcę ci powiedzieć coś innego, Voorten. Zastanów się, czy chcesz jechać dalej za Smoszczurami i posągiem, czy dowodzić Wiatrem. Bo tych dwóch rzeczy pogodzić się nie da.

– O czym ty, Bielik, pierdolisz? – Mads poderwał się tak gwałtownie, że Otluk aż podskoczył.

Młodzieniec ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

– Był tu Czochor. Powiedział mi, że chciałeś, by Wiatr pozostał po przeciwnej stronie wzgórz. By dalej szedł za Tuistanami. Zginęlibyśmy w tej śnieżycy, wiesz?

– Odbiło ci, Bielik! – warknął Mads. Złapał pierwszą z brzegu derkę, owinał się nią mocno i zacisnął powieki, modląc się, by sen nadszedł jak najszybciej.

By nie musiał rozmyślać o tym, co właśnie usłyszał.

\*

Dźwięk kroków za plecami Elinaare ucichł.

– Spytałbym, co robisz – odezwał się niespodziewanie znajomy głos – ale odpowiedź sama się nasuwa.

Kobieta uniosła głowę. Wynędzniała twarz Skalmira zalewały plamy cienia, ale jego oczy jaśniały bystro.

– I cóż poczniesz z tym odkryciem? – burknęła, z niemalym trudem prostując zeszywniałe kolana.

Wichrogórzanin wzruszył wychudłymi ramionami.

– W mojej ojczyźnie modlitwa nie uchodzi za nic zdrożnego. Wręcz przeciwnie, traktujemy ją jako swoisty dialog z bóstwem bądź demonem, który jest nam w tej chwili najbliższy, i bardzo

poważnie traktujemy to, co nam ów dialog przyniesie. Niewykluczone bowiem, że to przekaz. Wskazówka. Rada.

Elinaare wygładziła szatę na kolanach.

– Jestem Tuistanką, a do tego była Smoczą Strażniczką, a więc mogłam się modlić tylko do Smoczycy. Nie martwi cię to?

– A przekazała ci jakąś radę?

– Nie.

– A więc nie ma o czym mówić – rzekł mag. – Choć, przyznam szczerze, żałuję. W sytuacji, w której się znaleźliśmy, każda rada byłaby na wagę złota. Nasze odkrycie jest bowiem... Cóż, niepokojące.

Elinaare ujęła pogrzebacz i zaczęła roztrącać dopalające się bierwiona. Te szybko przygasały na kamiennej posadzce i do komnaty zaczął znów się wkradać półmrok. Cienie na obliczu Skalmira stawały się coraz głębsze.

– Wybacz, jeśli dotknąłem jakiejś wrażliwej struny – odezwał się po chwili.

– Nie, nic z tych rzeczy – zapewniła cicho Elinaare. – Po prostu naprawdę nie wiem, co zrobić.

Wiatr zaświstał gdzieś w korytarzu, witraże w oknach zdrzżały trącone podmuchem. W ogołoconej ze sprzętów komnacie porzuconego skrzydła pałacowego błyskawicznie robiło się zimno.

– Może to dziwne, ale dopóki szłam naprzód, najpierw z Voortenem, a potem z Bielikiem, przynajmniej wiedziałam, w którym kierunku zmierzam – powiedziała. – Było mi rażniej nawet wtedy, gdy zdawałam sobie sprawę, że umysłem mojego syna zawładnął smok, bo przynajmniej jasne było, że muszę próbować jakoś go ocalić. A teraz? Wróg się wyniósł, my zdobyliśmy miasto, o które lada chwila skoczymy sobie do gardeł, do tego czyha na nas zagrożenie, o którym nie mamy pojęcia! – Z błyszczącymi oczyma odwróciła się ku magowi. – Co ich przestraszyło? – spytała głośno, a jej słowa odbiły się echem w pustym korytarzu. – Co wypaliło Smoczy Dom od środka, a potem zmusiło najpotężniejszy naród Rozkrzyczanych Krain do ucieczki?

– Nie wiem – rzekł Skalmir. – To ty jesteś Tuistanką. I Smoczą Strażniczką do tego. Czego się baliście jako nacja?

– Niczego – odparła Elinaare ze zdecydowaniem. – Absolutnie niczego. Być może z wyjątkiem...

Spojrzała na parapet. Za oknem szybko przyrastała warstwa śniegu.

– Z wyjątkiem osierocenia – dodała ciszej.

– Czy elfy umiałyby was osierocić? – spytał Wichrogórzanin.

– Wysłały Jaszczura, by zabił Smoczycę – rzekła była Strażniczka z goryczą. – To długowieczne plemię, a poza tym czas w ich królestwie płynie wolniej. Mogły niespiesznie zaplanować zemstę, ale... – Pokręciła głową. – Ile wiesz o elfach, Skalmirze?

– Za mało. Nie znam nikogo, kto wiedziałby o nich wystarczająco dużo. Nawet przed waszym najazdem w zasadzie nie utrzymywaliśmy z nimi kontaktów, gdyż... – Wichrogórzanin wydał spierzchnięte wargi. – Cóż, nie mieliśmy o czym rozmawiać. Elfy rodzą się z umiejętnością władania Mocą, co jest dla nich równie naturalne jak oddychanie. Myśmy musieli się tej sztuki uczyć, co kosztowało nas mnóstwo czasu i jeszcze więcej wysiłku. Jesteśmy przy nich jak tępi wieśniacy, którzy na grzbiecie wieprzów ścigają się z wybitnymi jeźdźcami. Wiem natomiast – czarodziej nabrał tchu – że ogień nie jest ich żywiołem.

– No właśnie. – Elinaare trąciła stopą zwęgloną belkę. – Poznałam ich podczas Drugiej Burzy. To istoty powściągliwe i milczące. Czasem aż trudno uwierzyć, że są jak my, z krwi i kości. Prowadzą nocny tryb życia, czczą księżyc. To my, ludzie, jesteśmy chorobliwie zafascynowani ogniem.

– A więc kto zaatakował Smoczy Zakon? Ludzie?

– Ludzie lub ktoś, kto ukochał sobie ogień – odrzekła Elinaare. – Niewiele nam to daje. Poza...

Nagle zassała powietrze, gdy pośród natłoku myśli pojawiła się nowa, o dziwo kojąca i niosąca ulgę.

– Poza coraz większą pewnością, że nie mam już na to wszystko ochoty – dodała. – Wynoszę się stąd.

– Tak po prostu? – Skalmir uniósł brew.

– Tak po prostu – odparła Elinaare ze zdecydowaniem.

– Głuchoborzanin cię wyśmieje.

– Wyśmiewa mnie od chwili, kiedy wjechał do Brzasku, i jakoś nie wpływa to na moje życie. – Elinaare wzruszyła ramionami. – Dopilnuję, byście się jakoś dogadali, przekażę nasze ostrzeżenie i zagwarantuję przyszłość wszystkim weteranom, a potem... Cóż, potem zadecyduję o sobie.

Wichrogórzanin milczał przez moment, a jego wydatna grdyka podjechała w górę i opadła.

– Zostań – powiedział cicho. – To twój...

– Nie – przerwała mu Elinaare. – Nie chcę tego słuchać. Nie mów mi o obowiązkach, odpowiedzialności, dziedzictwie ani tym



bardziej, o zgrozo, o przeznaczeniu. Kapryśny los uczynił mnie przywódczynią tej armii, ale nie jestem królową i nie reprezentuję żadnego państwa. Jeszcze przed chwilą mieniłam się Tuistanką oraz była Strażniczką, ale tak naprawdę, Skalmirze, jestem tylko bezdomną, znużoną i samotną matką.

– Chciałem powiedzieć, Elinaare, że to twój rozdział. – Skalmir nie spuszczał z niej spojrzenia.

Kobieta wywróciła oczami.

– Cóż za bzdury.

– To opowieść – upierał się wichrogórski mag. – A ty otrzymałaś w niej własny rozdział. Ten, który dotyczy nieznanego zagrożenia...

– W czasach, gdy byłam Strażniczką, w moje ręce trafiło wiele opowieści. Te, które mi się nie podobały, wrzucałam w ogień. Bywaj, Skalmirze.

Odwróciła się i odeszła, powiewając połami ciężkiego, męskiego płaszcza, a czarodziej długo jeszcze stał w kącie opustoszałej komnaty niczym upiór z koszmaru dręczącego człowieka przed świtem.

\*

Noc w górskiej wiosce była równie niespokojna jak w byłej stolicy tuistańskiego imperium.

Wiatr, który nadal nie wytracił swego gniewu, klekotał okiennicami. Do izby co chwila ktoś wchodził, na zewnątrz pokrzykiwali wartownicy, a o brzasku do wsi dotarły dwie grupki jeźdźców, którzy zgubili drogę podczas zawiei. Mads, choć wycieńczony walką i ucieczką, co chwila się budził, aż w końcu zaklął wściekle, poderwał się, potknął o nogę Otluka, złapał płaszcz i wyszedł w mroźne, górskie powietrze.

Było jeszcze ciemno. Wichur ze świstem przemykał między chatami i targał koronami świerków, które oddzielały wieś od łańcucha wzgórz, ale jego moc przygasła i między jednym a drugim podmuchem Mads wyraźnie słyszał rozmowy swoich towarzyszy. Wojownicy wychodzili z chat, by zająć się końmi. Gdzieś gotowano owsiankę, gdzieś rozbijano lód w beczce, ktoś głośno przeklinał źle założony opatrunek. Łopotwały płaszcze, w oknach migotały płomienie ognisk. Obok Madsa przeszło kilku zgarbionych, zziębniętych wartowników, którzy pozdrowili go głośno i z szacunkiem.

Voorten odmruknął coś w odpowiedzi i machnął ręką.

W głowie kotłowały mu się myśli ponure i niesprecyzowane, mimo to trudne do zniesienia. Skronie pulsowały bólem.

– Czochor – warknął głucho. – Gdzie jest Czochor?

Jakiś żołnierz z nogą w łupkach, który stał wsparty na włóczni, machnął ręką.

– Tam, przy lesie, pułkowniku. Smoczycę ruga.

Voorten skrzywił się paskudnie.

– Czochor z własną chabetą dogadać się nie może, a chce rozkazywać smoczycy... Przecież na tym trzeba się znać... Zawołaj mi go który, i to już!

Jego mocny, ochryply głos niósł się po wiosce. Wojownicy przerywali rozmowy, odwracali się ku niemu, kilku wyjrzało z chat.

– Siodłajcie konie, chłopaki! – krzyczał Voorten. – Przyszykujcie nosze dla rannych i rozwieście między luzakami! Macie jeszcze czas na ciepłe śniadanie, ale za pół godziny wszyscy jesteśmy w siodłach! Chryja, dawaj jeńca do chaty Bielika! Pokrzewka, herbatkę sobie zaparzyłeś? Pospiesz się, chłopie, bo przydasz się zaraz!

Nie umiał tego w żaden sposób wytłumaczyć, ale naraz zrobiło mu się trochę raźniej. Widok ludzi, którzy bez słowa odwracają się, by wypełnić jego polecenie, ożywił w nim owo unikalne poczucie więzi, która istniała między nim a oddziałem.

Znów poczuł się częścią czegoś większego.

Tym bardziej zapiekło go wspomnienie słów Bielika.

Gdy wrócił do swej chaty, był wściekły i zgorzkniały jednocześnie. Ponuro wpatrywał się w Pokrzewkę, który mieszał gorące ziółka w glinianym kubku i popijał je ostrożnie, gdy ktoś otworzył szeroko drzwi i wepchnął do środka ogromnego człowieka odzianego w łachmany.

Ten padł na zimną polepę o krok od Voortena, który nawet nie drgnął.

– Zamknij drzwi, Chryja – warknął do topornika, który wślizgnął się do chaty jako drugi.

– Co ty znowu, Voorten, urządzasz? – wymamrotał blady Bielik, próbując się oprzeć na łokciu.

– Pozwól, Bielik, że ci przedstawię naszego gościa – warknął Mads. Nachylił się nad jeńcem i złapał go za rzadziejące włosy na potylicy. – Oto earl Brunhard, Mówca Ligii Handlowej, który dołączył do nas tej nocy. Vask, Otluk, pomóżcie no mi.

Razem posadzili oszołomionego Tuistanina i parokrotnie obwiązali go liną, choć był już skrępowany. Vask przykucnął kilka kroków obok jeńca z nożem w garści, Tluhir z włócznią stanął za nim, a Chryja oparł się o ścianę, nie wypuszczając topora z ręki.

Jeniec był w kiepskim stanie. W nocy nie poddał się bez walki, a i później nie zaniechał stawiania oporu i podjął przynajmniej jedną próbę ucieczki, przez co jego twarz przypominała teraz krwawy befszytk. Jedno oko ginęło mu w opuchliznie, a w nozdrzach i na nieogolonej brodzie zastygła krew. Ubrany był w byle szmaty, bez których zapewne nie przeżyłby nocy – z obozowiska porwano go przecież półnagięgo – mimo to teraz jego zdrowe, lewe oko błyszczało dziką wściekłością.

Tak przynajmniej było do chwili, gdy dostrzegł Voortena. Wtedy wściekłość ustąpiła miejsca zaintrygowaniu.

– No tak – wymamrotał. – Mogłem się tego w sumie domyślić.

Mads, który spodziewał się zaciętego oporu ze strony jeńca, wychylił się ku niemu i przechylił lekko głowę.

– Podziel się więc swymi domysłami, jeśli można prosić, wielmożny earlu.

Chryja, słysząc znienawidzoną mowę tuistańską, splunął siarczyście na polepę. Brunhard nawet nie zwrócił na to uwagi.

– Nie uwierzyłem w twą śmierć pod Grzywaczem, Voorten. Coś mi mówiło, że zbyt twardy z ciebie gracz, by po prostu dać się zarabnąć. Gdy więc dotarły do nas plotki, jakoby przywały cię gruzy świątyni, również pozwoliłem sobie zachować dystans. I słusznie, jak się okazuje.

– Cieszę się, że chociaż ktoś mnie docenia. – Mads rozsiadł się wygodnie i oparł łokcie na kolanach. – A czy masz może, wielmożny earlu, jakieś domysły co do tego, po cośmy cię wywlekli w śnieżycę?

– Cóż. – Tuistanin uśmiechnął się bez wesołości. Jeden ze strupów na jego wardze pękł i rana wezbrała krwią. – Noszę miecz, ale jestem przede wszystkim kupcem, Voorten. Rozumiem więc, że chciałbyś ze mną pohandlować i postanowiłeś sobie to ułatwić.

– Pohandlować. – Mads wydał wargi. – Tak, w pewnym sensie masz rację. Chcę pohandlować. Poproszę cię, byś odpowiedział na kilka moich pytań, a w zamian oddam ci życie.

Na obitej twarzy Brunharda nie pojawił się nawet najmniejszy grymas.

– Trudne czasy nastały. W istocie, układamy się o cenną rzecz, ale dopuszczasz chyba możliwość, że się nie zgodzę? Jestem i będę lojalnym sługą Króla-Wieszcza, Voorten, a to zobowiązuje. I mocno utrudnia układy z watażką stojącym na czele hordy buntowników.

Każdy z ludzi Madsa liczył tuistańskiego w mniejszym lub większym stopniu. Słyszając ostatnie słowa jeńca, Vask zasyczał głucho i wyciągnął z pochwy długi nóż, a Chryja nachylił się i strzelił earla w ucho. Arystokrata jednakże nawet nie drgnął, wpatrzony w Voortena.

– Dopuszczam – przytaknął Mads. – Dlatego mój przyjaciel chwastownik właśnie popija pewne ziółka, dzięki którym budzi się w nim osobliwa Moc. Tuvlun Kreichlann, który został nią potraktowany, przyznał się nam chętnie do obcowania z kozami, co nie zdziwiło nas tak bardzo jak to, że nie on stanowił stronę dominującą. Znałeś Kreichlanna, prawda?

– Znałem... znam. – Głos Brunharda stał się bardziej ochryply. – Co z nim?

– Niewiele.

– Chwastownik, tak? – Earl przeniósł wzrok na Pokrzewkę, którego spojrzenie stawało się coraz bardziej mgliste. – Skąd pewność, że mój umysł okaże się równie podatny na sugestię jak umysł Kreichlanna?

– Nie mamy żadnej – dobrodusznie przyznał Voorten. – Dlatego też jesteśmy gotowi na drugą ewentualność, czyli klasyczne tortury. Lista ochotników, by się ich podjąć, jest dość długa, licząc więc, że rozsądny z ciebie człowiek.

– Rozsądny – powtórzył Brunhard. – I na tyle bystry, by wyczuć twoją determinację. Chcesz wyciągnąć ze mnie kilka odpowiedzi, tak? Dobrze, Voorten. Mów, o co ci chodzi.

– Jesteś, Smoszczurze, jednym z najbliższych współpracowników Króla-Wieszcza – zaczął powoli Mads. – Twe imię wymienia się jednym tchem z imionami najwyższych generałów, kapłanów i Smoczyc Strażniczek, tym bardziej że trzymasz rękę na finansach Smoczego Królestwa. Nie ma możliwości, by Król-Wieszcza nie wprowadził cię w swój plan. Opowiadaj więc o wszystkim, nie owijając w bawełnę. Chcę wiedzieć, dlaczego opuściliście Brzask i dokąd zmierzacie.

– Decyzja o opuszczeniu królestwa została podjęta przez Króla-Wieszcza – powiedział powoli Brunhard. – Nikt nie wie, co nim powodowało.

Mads przewrócił oczami i głośno westchnął.

– Spodziewałem się po tobie czegoś więcej – rzekł. – A już na pewno nie tego, że będziesz powtarzał te same bzdury co Kreichlann i inni przed nim. Skup się, Brunhard. Czemu. Wyszliście. Z Brzasku.

– Wyszliśmy – powiedział po chwili Tuistanin. – Czyli w zasadzie to, co ci zdradzę, nie ma większego znaczenia. Dobrze. Wiedz więc, że od lat moc Króla-Wieszczka systematycznie słabła. Działo się to od śmierci Smoczycy...

– Wiem – przerwał mu Mads. – Gdyby nadal widział przyszłość, przewidziałby na przykład mnie.

Drzwi do chaty skrzyknęły i do środka wślizgnął się Czochor, półprzytomny ze zmęczenia, jakby nie spał przez całą noc. Oparł się o ścianę i przymknął oczy.

– Nasz władca zamilkł – ciągnął earl. – Z rzadka wydawał edykty, a władzę w państwie pozostawił mnie, earlom i Smoczemu Strażniczkom.

Skrzywił się, wypowiadając ostatnie słowa.

– Kiedy zdecydował o porzuceniu Smoczego Imperium, wszyscy uznaliśmy, że oszalał. Nim jednak ktokolwiek zdołał zaprotestować, decyzję Króla-Wieszczka poparły Strażniczki.

Mads zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je ze świstem.

– A wy jak stado baranów uznaliście, że będziecie posłuszni, tak? Że porzucicie swe zamki, miasta i włości? Że machniecie ręką na drogi, mosty, młyny i pola uprawne? Odwróćcie się od tego, co budowaliście przez całe stulecie, spakujecie manatki i ruszycie w dal, bo tak postanowiła pozbawiona Mocy marionetka, za którą wstawiła się banda wściekłych bab?

Zarośnięty policzek Brunharda zadrgał.

– Jesteśmy narodem wędrownym. Przybyliśmy do tych waszych Rozkrzyczanych Krain, pomieszkaliśmy tu jakiś czas, aż nadeszła pora, by wyruszyć w dalszą drogę.

Mads spojrział na jeńca z niedowierzaniem.

– Słyszałem w życiu wiele bzdur, ale ta przebija wszystko. Zaczynaj mówić z sensem, Brunhard, albo poproszę Pokrzewkę, by wziął się do roboty. Dlaczego. Opuściliście. Brzask.

– Bo. Padł. Rozkaz – wycedził Brunhard w odpowiedzi. – Przekonujący i poparty przez Smocze Strażniczki. Dla nas to dużo.

Voorten znów wywrócił oczami.

– A czy ów rozkaz został czymś uzasadniony?

– Wizją zagrożenia, z którym nie damy sobie rady.

– Czyli nic konkretnego wasz zacny król wizjoner wam nie powiedział?

– Pojawiły się rozmaite... cóż, plotki. – Brunhard się zawahał. – Wiesz, jestem kupcem. Plotki to woda na mój młyn, bo doświadczenie mówi, że jedna na dziesięć niesie w sobie wartość, a jedna na sto przynosi bogactwo. Otóż mówiono, że Smocze Strażniczki stoczyły bitwę. Nie mam pojęcia, kto był ich przeciwnikiem, ale pojawił się ponoć w samym środku Smoczego Domu. Strażniczkom udało się go pokonać, choć zginęły przy tym niemalże wszystkie spośród tych, które wzięły udział w walce. Mówi ci to coś?

W zdrowym oku Brunharda błysnęło ożywienie. Pochylił się ku Voortenowi, jakby nagle zapomniał o swych więzach, a interesowała go tylko prawda.

– Kiedy to było? – spytał Mads.

– Jakiś tydzień po porażce pod Grzywaczem. Dwa dni później Król-Wieszcz podzielił się swą wizją na spotkaniu rady, a nazajutrz wyruszyli gońcy. Nie zastanawiałaś się może – jeniec skrzywił się szyderczo – dlaczego nie zebraliśmy wojsk i nie rozpedziliśmy tej całej hołoty Bielika?

Mads nie zareagował, pochłonięty własnymi myślami.

– A czy może – zaczął powoli, marszcząc brwi – dotarła do ciebie plotka również o tym, czym będzie owo zagrożenie, z którym nie dacie sobie rady? Czy Król-Wieszcz albo Strażniczki nie zająknęły się aby o elfach? O ich ultimatum?

– O elfach? – Brunhard wydawał się szczerze zaintrygowany pomysłem. – Cóż, pojawiły się i takie plotki, ale czemu miałyby cię to interesować?

Plotki? – pomyślał Mads i z niemalym trudem cofnął się myślami do swej ostatniej rozmowy z Orianą. Ich konfrontacja była dlań emocjonalną torturą, o wiele boleśniejszą od wszelkich fizycznych. Miał wrażenie, że doskonale pamięta każde słowo, które wówczas padło.

Tak, przemknęło mu przez myśl. Wykrzychałem jej to. Powiedziałem jej, że uciekają przed gniewem elfów, co ją zainteresowało, ale... Ale nie skomentowała tego słowem. Ani słowem. Skoro więc wysoko postawiona Smocza Strażniczka nie potwierdziła, że zagrożeniem są elfy, a zwierzchnik Ligii Handlowej uważa to za plotki, to może... może zagrożeniem jest zupełnie coś innego?

– Dlaczego elfy? – domagał się odpowiedzi Brunhard, ale Voorten zbył go machnięciem dłoni. Coś mu się bowiem przypomniało.

– Powiedz mi jeszcze jedno – wyrzekł z namysłem. – Czym się teraz zajmują Smocze Strażniczki?

Jeniec otworzył usta, ale przerwały mu odgłosy zamieszania dobiegające z zewnątrz. Rżały konie, a ludzie krzyczeli i przeklinali. Tu i ówdzie rozlegały się trzaśnięcia drzwiami.

Mads zerwał się odruchowo i złapał za miecz. Kątem oka ujrzał, jak Bielik siada na posłaniu. Czochor otworzył oczy.

– Pilnować go! – rzucił do przybocznych i skoczył ku wejściu. Po drodze klepnął Czochora w ramię.

Obaj wypadli na śnieg i rozejrzeli się wokół, a wtedy Mads złapał porucznika za łokieć i pociągnął pod okap dachowy.

Przeźren między chatami się wyludniła – większość wojowników zdołała zaciągnąć konie z powrotem do szop i znaleźć jakieś schronienie, ale wielu kulilo się przy ścianach. Wszyscy z lękiem spoglądali na zasnute szarymi chmurami niebo, po którym sunął wijący się kształt przywodzący na myśl gigantycznego węża. Jego skrzydła, długie i ciągnące się wzdłuż cielska, falowały niczym płetwy ryby przyczajonej przy dnie.

– Smoczę – wymamrotał Czochor.

Stworzenie leciało wysoko, co chwila niknąc wśród postrzępionych chmur. Jeśli dostrzegło obóz Wiatru, nie zwróciło nań uwagi.

– To chyba nie to samo bydlę, co wczoraj rzuciło się na Lharsin? – spytał niepewnie Czochor.

Mads pokręcił głową.

– Ma inne skrzydła, a poza tym nadlatuje... Na rozprute bebechy Smoczycy, nadlatuje z północy!

– I leci prosto na armię Smoszczurów. – Czochor westchnął. – Coś się kroi, wasza miłość.

– Coś się kroi – potwierdził Mads, zbyt pochłonięty myślami, by zwrócić uwagę na irytujący go tytuł. – Posłuchaj...

Drzwi skrzypnęły. Na zewnątrz wyjrzał Bielik, wsparty na włócznie Tluhira. Na jego widok Mads zacisnął zęby, ale poskromił emocje.

– Posłuchajcie mnie obaj – zaczął. – Bielik, przemyślałem to, co mi wczoraj powiedziałeś. Wnioski mam dwa. Po pierwsze, pies cię jebał. Po drugie, masz rację. Misja Wiatru się kończy. Nie sędzę, by Brunhard miał nam coś konkretnego do powiedzenia, a więc

niczego już się nie dowiemy. Ludzie są zmęczeni, głodni i poranieni, a do tego wielu nabawiło się odmrożeń. Bielik, oddaję ci dowództwo. Zabierz ich wszystkich do Brzasku. Niech Kostur się nimi zajmie, a Elinaare zadecyduje, co dalej.

– A ty? – spytał nieufnie Bielik.

– A ja jadę dalej. I biorę Brunharda.



# Rozdział piąty



Lharsin, rozciągnięta na całą długość leśnej polany, robiła imponujące wrażenie i Mads, choć miał po temu okazję niejednym razem, ściągnął wodze Żmijki, by się jej przyjrzeć.

Smok, który dopadł ją podczas nocnej bitwy, był od niej zdecydowanie szybszy i być może sprytniejszy, ale Lharsin przewyższała go zarówno siłą, jak i masą. Napastnik wgrzyzł się w bok smoczyicy i wyrwał nieco łusek – Mads wyraźnie widział kilkanaście ziejących na skórze ranek – ale najwidoczniej nie zdołał wyrządzić jej większej krzywdy, bo pogrążona była w głębokim, nieprzerwanym śnie i pochrapywała z lubością. Z każdym oddechem wokół jej prawego nozdrza rozrastał się i kurczył zielonkawy bąbel, a z lewego zielona ciecz wylewała się swobodnie, tworząc na śniegu parującą kałużę.

Żmijka zarżał wesoło jak na powitanie starego przyjaciela.

– I co się cieszysz – mruknął Mads. – Zobacz, jak się roztyła.

Zsunął się z siodła i klepnął konia w zad, a ten prychnął niby z udawanym oburzeniem.

– Chwila postoju – rzucił Voorten do reszty grupy. – Muszę jeszcze rozwiązać pewną umowę.

– To... – Earl Brunhard, który wpatrywał się w Lharsin z niedowierzaniem, odkaszlnął głośno. – To twoje bydłę?

– Wynajęte – mruknął Mads. – Dwie krowy lub pięciu martwych Smoszczurów na dobę.

– Pan pułkownik ma niezłe kontakty – stwierdził Chryja, a Vask zaśmiał się ponuro.

Voorten obszedł ostrożnie zieloną kałużę, a potem z całej siły kopnął smoczycę w pysk. Ta łypnęła prawym okiem, a jej żrenica natychmiast zgęstniała, gdy Lharsin skupiła wzrok na przybyszu.

– Panie pułkowniku! – zagrzmiała, unosząc głowę z chrzęstem łusek. Zielony bąbel pękł i rozbryzgnął się na jej pysku.

– Pobudka – burknął Mads. – Lharsin, dzięki za pomoc podczas bitwy. Nie ma na świecie tyle krów, bym zdołał wyrazić wdzięczność.

Smoczyca zamknęła i uniosła powieki.

– Zostałam obwołana najdzielniejszą spośród smoczego pomiotu – zagrzmiała. – I przeżyłam szlak bojowy Wiatru, biorąc udział w każdej bitwie! Jakże miałam więc zrezygnować z ostatniej okazji, skoro obiecano mi pieśń?

– Rety, gadzino, gdzieś ty się tak nauczyła gadać? – westchnął Mads.

– Zżarłam ostatnio paru Głuchoborzan – bąknęła Lharsin. – Przypadkowo w sumie. Może to przez to?

– Może. Smaczni byli?

– Średnio. Mam straszne wiatry – przyznała smoczyca i uniosła lekko ogon, ale musiała się rozmyślić, bo opuściła go z powrotem. – Dokąd teraz?

– Dokąd sobie zażyczysz – odrzekł Mads. – Bo nasze drogi właśnie się rozchodzą.

Smoczyca uniosła łeb i zatrzepotała powiekami, a potem rozłożyła skrzydła, postrzępione i pełne dziur.

– Jakże to?! – zagrzmiała. – Czyżby brakło na świecie męźnych gotowych stawić nam czoła?

Voorten pokręcił głową.

– Paru jeszcze zostało, ale damy im spokój. Tak się, widzisz, złożyło, że chwilowo straciłem zainteresowanie tą wojną. Przed jakąś godziną oddałem dowództwo nad Wiatrem Bielikowi, który zawrócił na Brzask. Jeśli chcesz, leć z nimi. Ja... Cóż, mam do załatwienia pewną prywatną sprawę, która wymaga sporej dyskrecji. Zdecydowanie nie jest to robota dla smoczy.

– Nie godzi się! – Lharsin machała skrzydłami i zarzuciła łbem. – Nie można tak! Nie opuszczę pana pułkownika!

– Lharsin, ja naprawdę nie mam na to czasu... – zaczął Mads, mrużąc oczy, bo każde machnięcie skrzydłami słało w jego stronę tumany śniegu, ale smoczyca nie dała mu skończyć.

– Pan pułkownik nadał sens memu życiu! Będę walczyć u twego boku aż...

– Gadzino, zamknij pysk i posłuchaj!

– ...aż serce wyzionę!

– Ducha.

– Ducha też – zgodziła się smoczyca i na powrót zwinęła z łopotem skrzydła, a później ułożyła łeb na śniegu, przekonana, że postawiła na swoim.

Pokrzewka, który wciąż nie doszedł do siebie po porannej porcji ziół, patrzył na nią półprzytomnie, Brunhard z niedowierzaniem, a Tuvlun Kreichlann z nienawiścią. Reszta oddziału, która doskonale pamiętała, jak upartym stworzeniem jest smoczyca, uśmiechała się szeroko.

– Dobrze – rzekł Mads. – Niech będzie po twojemu. Wypatruj więc jak dawniej pięciu ognisk rozpalonych na krzyż.

- Kiedy? – spytała ostro Lharsin, podejrzewając podstęp.
- Dziś w nocy – odpowiedział Mads bez zająknięcia.
- Gdzie?
- Na wschodzie.
- Jedziecie na północ.
- Potem skręcamy. Zresztą nie wiem, czy dziś się wyrobimy, ale jutro rozpalimy je na pewno. Jutro albo pojutrze, bo... Zresztą się zobaczy – rzekł Mads i podszedł bliżej. Przysiadł na pazurzastej łapie smoczyca. – Sama wiesz, jak nieprzewidywalna jest wojna.
- Mocno nieprzewidywalna – przyznała Lharsin. – Kto by się tam zeszedł nocy Pirian spodziewał.
- Pirian? – zdziwił się Mads.
- Ta chuda, którą Bielik chlasnął po ogonie – mruknęła leniwie smoczyca. – Od początku za nią nie przepadałam.
- To wy się znacie?
- Trochę. Wiemy o sobie.
- Mads, który jeszcze chwilę temu pragnął zakończyć rozmowę, teraz spojrzął na smoczycę z zainteresowaniem.
- Jak to możliwe? – spytał.
- Pochodzimy z tego samego łęgu – rzekła Lharsin powoli, jakby nie mogła pojąć, że ktoś nie rozumie tak podstawowych kwestii. – To chyba oczywiste, że wszystkie Smoczęta są sobie świadome. Znamy swe imiona i charaktery, swe talenty i wady. Rzecz jasna nie powiem ci, gdzie które z nas przebywa, o czym myśli i czym się zajmuje, ale gdy się natknę na kogoś z mego rodzeństwa, wiem, czego się po nim spodziewać.
- Mads przelknął ślinę.
- I... dopiero teraz mi o tym mówisz?
- Znaczą się – Lharsin uniosła wyżej łeb – że u was, ludzi, inaczej to wygląda?
- No, zdecydowanie inaczej – bąknął Mads. – Choć w sumie to już nieważne. Bywaj, Lharsin. Do zobaczenia.
- Do zobaczenia! – Smoczyca energicznie skinęła łbem, aż zakolysał się smark ściekający jej z nosa. – Mogę wiedzieć, czego mam teraz oczekiwać?
- Nie. To... eee... tajemnica wojskowa.

\*

Spotkanie z Lharsin, ku zdziwieniu Madsa, tylko pogłębiło pustkę w jego sercu. Nie przypuszczał, że tak bardzo zżył się z niemądrą

smoczyca, ale miał przeświadczenie, że rozstanie z nią – a wcześniej odprawienie Wiatru do Brzasku – jest równoznaczne z przekroczeniem granicy, zza której się nie wraca.

Bielik miał rację. Nie sposób jednocześnie dowodzić oddziałem i kontynuować misję.

Mads podjął więc decyzję. Jedyłą słuszną.

Ruszył, by odzyskać Hunnę.

Świadomość, że oto zmierza jej na ratunek, przepełniła go dziwnym uczuciem. Od momentu, gdy wyciągnięto go spod gruzów katedry, odpychał wszelkie wspomnienia, wypierał z głowy obraz ukochanej, robił wszystko, by myśleć o czymkolwiek innym lub nie myśleć wcale. Nie próbował przypominać sobie jej twarzy przed zaśnięciem, nie chciał pisać do niej listów w notesie ze skórzaną oprawą.

Udawał, że Hunna nie istnieje, co uchroniło go przed popadnięciem w skrajną rozpacz, ale jednocześnie przepełniło jego serce nieznośną goryczą, bardzo trudną do ukrycia przed resztą towarzyszy. Teraz, gdy podjął ostateczną decyzję, ogarnęła go niezwykła lekkość, niemalże ulga.

Jadę do ciebie, wyszeptał w myślach.

Po ciebie, dodał.

Nie przejmował się tym, że jego plan jest w zasadzie samobójczy, bo wiedział, że i tak zbyt długo balansuje na krawędzi. Był zmęczony, wręcz wyczerpany wojną o innych i czuł ulgę na myśl, że wreszcie może zawalczyć o coś własnego.

Uniósł głowę ku szaremu niebu, zasnutemu płynącymi nisko chmurami, niemal zahaczającymi o wierzchołki świerków, a potem zacisnął powieki.

I po raz pierwszy od chwili, gdy odzyskał świadomość, przywołał obraz Hunny.

Wiele z bezcennych wspomnień już dawno wyparowało, przepadło bezpowrotnie niczym grudki złota wrzucone w wartki nurt strumienia, ale Mads wciąż pamiętał wystarczająco dużo, by jego serce zerwało się do galopu. Pamiętał oczy, jasne, niebieskie, niczym wody płynące spod lodowca. Pamiętał włosy, białe niczym tundra zasypana śniegiem, pamiętał usta, w ciągu dnia chłodne i zaciśnięte, lecz chętne i gorące podczas chwil zapomnienia w namiocie. Pamiętał dłonie, drobne, ale mocniejsze niż u niejednego mężczyzny, oraz głos, jedwabisty, wręcz stworzony do śpiewu, ale w chwili potrzeby przeszywający i ostry.

Pamiętał wreszcie, jak wymawiała jego imię, cicho, niepewnie i z zachwytem, niczym ogrodnik, który ujmuje w dłonie pierwszy drżący kwiat zrodzony po mroźnej zimie.

Nagle złapał się na tym, że pogwizduje wesoło.

– Coś nam poweselał pułkownik! – zawołał ktoś z entuzjazmem, chyba Borsuk.

Mads natychmiast przywołał się do porządku. Nie załatwił jeszcze wszystkich spraw. Wciąż pozostało parę nici do przecięcia.

\*

Wzrok Elinaare błędził po rysach twarzy posagu.

Oczy uwiecznionej w kamieniu kobiety wydawały się jej niebieskie niczym wody strumienia spod lodowca, a jej włosy, teraz grafitowo szare, z jakiegoś powodu zdawały się białe niczym tundra przysypana śniegiem. Była Smocza Strażniczka patrzyła na lekko zmarszczone czoło, drobny nosek i mocno zaciśnięte usta, nie mogąc powstrzymać uśmiechu zadumy. Kunszt rzeźbiarza zaklął w posagu nieokiełznaną moc i Elinaare wcale się nie dziwiła, że uwieczniona przez niego kobieta rozciągnęła nad Madsem swą władzę.

Żałując, że się nie poznałyśmy, Hunno, pomyślała, otulając się szczelniej płaszczem. Coś mi mówi, że znalazłybyśmy niejedną wspólny temat. Nie mam też wątpliwości, że świat potrzebuje takich jak ty, bo mężczyznom rządzenie nie bardzo wychodzi.

Jej myśli pomknęły ku niedawno opuszczonej naradzie. Ogłosiła wówczas oficjalnie, że ustępuje ze stanowiska namiestniczki, a ludzi służących w armii Bielika nagradza prawem do wybrania sobie domu w Brzasku. Zmusiła jeszcze uczestników narady, by przydzielili skrawek ziemi jej synowi i zagwarantowali, że będą się opiekować tłumami uchodźców, a następnie wyszła, nie chcąc ani przez chwilę uczestniczyć w awanturze, którą bez wątpienia wywołała swą rezygnacją. Bo niby dlaczego miało ją teraz interesować, któredy pobeigną granice?

Gdyby zamiast mężczyzn na owej radzie zasiadały kobiety, rozmowa szybko dobiegłaby końca, pomyślała. Bo żadnej zdrowej na umyśle kobiecie nie zależy, by jej mąż czy syn zginął w bijatyce o miedzę.

Pomyślała o swym synu, który wedle słów Madsa właśnie zdażał na czele Wiatru w stronę Brzasku. Miała zamiar wyjechać mu

naprzeciw i podzielić się swoją decyzją, a potem... cóż, może go przekonać, żeby również odwrócił się od świata wielkiej polityki?

Miała przeświadczenie graniczące z pewnością, że nie będzie to łatwe – jej syn był człowiekiem targanym ambicjami i nie ludziła się, że ot tak, na prośbę matki, odpuści okazję, by w jakiś sposób zadecydować o losach świata po odejściu Tuistan. Mimo to liczyła, że zdoła go od tego odwieść. Armia, którą przywiódł pod Brzask, kurczyła się z dnia na dzień i tego poranka, gdy przekazywała jej dowódcom ostatni rozkaz, składała się z kilku setek weteranów, którzy nie mieli żadnego pomysłu na życie, ale raczej nie chcieliby umierać za ambicje jej syna. Nawet weterani z Wiatru, najwierniejszego z oddziałów, zasłużyli wreszcie na chwilę spokoju. Przecież wojna dobiegła już końca.

Zresztą o co niby mieli walczyć? Co właściwie Dunstan sobie umyślił? Co planował? Elinaare żywiła nadzieję, że nie zechce sięgnąć po władzę. Jako wychowany przez elfy syn kapłana Smoczycy i Smoczej Strażniczki nie miał wielkich szans zawładnąć sercami ludzi i jakiegokolwiek próby realizacji jego ambicji politycznych zakończyłyby się krwawą masakrą. Nawet Mads Voorten nie porwałby teraz ludzi do walki o własne interesy, a co dopiero Dunstan, który na szlaku bojowym nieodmiennie pozostawał w jego cieniu.

W katedrze, której dach zniszczyły pogrążone we wściekłej walce Lharsin i Hoydn, hulał lodowaty wiatr. Elinaare otuliła się mocniej płaszczem i jeszcze przez chwilę patrzyła na kamienne oblicze Hunny, która spoglądała gdzieś ponad jej ramieniem, być może ku odległej przyszłości, której nie było jej dane ujrzeć. Wreszcie była Strażniczka pochyliła lekko głowę w geście pożegnania i odwróciła się, by wyjść.

Przestępowała właśnie nad grubą, drewnianą krokwią, gdy niespodziewanie zakręciło jej się w głowie. Potknęła się i w ostatniej chwili, ratując się przed upadkiem, wsparła się dłońmi o resztki ławy zmiażdżonej gruzem. Świat nagle zaala lepka, nieprzyjemna szarość, ale kobieta się uśmiechnęła.

„Elinaare – szepnęła Mads. – Jesteś tam?”

„Jestem – odparła w myślach była Smocza Strażniczka. – Mam ci bardzo wiele do opowiedzenia, wiesz? Właśnie rzuciłam to wszystko!”

„Co takiego?”

„Brzask. Wojnę. Odpowiedzialność. Rozwiązałam armię i jadę na spotkanie z synem”.

„Jak to: rozpuściłaś armię? Na cuchnący oddech Smoczycy, młody się wścieknie!”

„Niewiele z tej armii zostało, a po jego powrocie do Brzasku nie byłoby tu już chyba nikogo. A Dunstan... Cóż. – Elinaare westchnęła. – I tak się wścieknie. Liczę, że zdołam się jakoś z nim porozumieć. Że ułożymy sobie wspólnie życie, że... Nie wiem. Zobaczmy. Wszystko jest lepsze od siedzenia w tym mieście i zamartwiania się sprawami, których nie mam prawa uważać za własne”.

Odpowiedź Madsa napłynęła po dłuższej chwili.

„Wygląda na to, że oboje dajemy sobie spokój z tą wojną”.

„Co chcesz przez to powiedzieć?” – spytała Elinaare, choć jej serce nagle ściągnął chłód.

„Przestań się wygłupiać. – Mads roześmiał się gorzko. – Przecież doskonale wiesz. Wiesz, po co mi earl Brunhard i co sobie wymyśliłem”.

„To samobójczy plan”.

„I jedyny, jaki mi pozostał. Zaraz wdrażam go w życie, ale nie chciałem tego zrobić przed... przed pożegnaniem się z tobą. – Jego głos, choć przekazywany w myślach, zadrżał lekko. – Żegnaj, Elinaare. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Dziękuję za twą przyjaźń i wiarę we mnie. Przekaż Dunstanowi wyrazy ogromnego szacunku. Ma chłopak dobrze poukładane we łbie, to mu trzeba oddać. I uważaj na siebie”.

Chciała mu odpowiedzieć, ale nagła, zdradziecka rozpacz zdławiła jej słowa, a Mads, jakby sam nie umiał sobie poradzić z emocjami, gwałtownie przerwał połączenie. Szarość zaczęła odpływać, by – jak się zdawało Elinaare – odsłonić kształty zrujnowanego wnętrza katedry. Nie dostrzegła go jednak.

Świat bowiem przesłoniły jej łzy.

\*

Mads wyprostował się i oderwał czoło od czaszki Otluka. Klepnął osiłka w ramię i uśmiechnął się do niego szczerze.

– Tyle – mruknął. – Chodź. Mamy do załatwienia jeszcze jedną sprawę.

Zmarznięty śnieg chrząścił pod butami, gdy wracali do obozowiska. Wnet między drzewami zamajaczyły konie, a pośród nich reszta towarzystwa. Wszyscy przyglądali się Kreichlannowi, który mechanicznymi ruchami rozmasowywał wolne od więzów



nadgarstki. Gdy Mads stanął między Chryją a Borsukiem, Tuistanin stał już na pieńku pod grubym konarem i nakładał sobie na szyję zwisającą z niego pętlę.

– Nieźle, nieźle – burknął Voorten. – Pokrzewka, zaczynasz mnie przerażać.

Rudzielec nie zareagował i nadal wpatrywał się w bladego więźnia, nieludzko wytrzeszczając oczy. Kreichlann poprawiał sobie pętlę na szyi. Na jego obliczu nie było śladu ludzkich uczuć.

– Pokrzewka zrobił sobie jakiś nowy wywar? – spytał cicho Mads.

– To chyba wciąż skutek działania tego, co wyżłopał rano – odparł Chryja, wpatrzony w chłopaka z niezdrową fascynacją. – Na smocze rzygi, pułkowniku, ciarki mnie przechodzą, jak na to patrzę.

– To zapamiętaj sobie, by go na przyszłość nie denerwować – oświadczył Mads, a potem podszedł do Pokrzewki i bezceremonialnie klepnął go w łopatkę. – No, młody. Koniec przedstawienia.

Chwastownik zamrugał gwałtownie i łapczywie wciągnął powietrze, jakby nagle się przebudził. Kreichlann również zaczął wracać do życia – zamrugał i się rozejrzał, nagle przytomniejąc. Widząc to, Mads wyjął włócznię z rąk Tluhira, zakręcił nią nad głową i z całej siły przywalił pojmanemu Tuistaninowi w biodro. Ten, zaskoczony uderzeniem, spadł z pniaka, a pętlą, którą założył sobie na szyję, natychmiast wgryzła mu się w gardło. Wytrzeszczył oczy, twarz mu posiniała. Na oczach wpatrzonych weń beznamyślnie kawalerzystów miotał się i rozpaczliwie kopał w powietrze.

– Przestańcie – wychrypiał wstrząśnięty Brunhard. – Przestańcie natychmiast, wy nędzne pojeby!

Mads przyglądał się agonii jeńca jeszcze przez chwilę, wreszcie skinął Vaskowi. Okrajec przeciął linę zawiązaną wokół pnia i jeniec zwałił się na śnieg, gdzie leżał przez moment, dysząc, rżąc i obmacując sobie gardło. W końcu podniósł głowę, a wtedy Mads zakręcił włócznią i grzmotnął go jej tępym końcem w szczękę. Tuistanin znów padł.

– Dziwne to było, nie? – zagadnął cicho Voorten, kucając przed nim. – Siedzisz sobie na luzaku i złorzeczysz nam w myślach, a tu nagle podchodzi do ciebie rudy gówniarz z dziwnymi oczami. Zaczyna ci się robić nieswojo, a gdy wraca ci świadomość,

dyndasz na sznurku przed Voortenem. Poszczałeś się, co, Kreichlann? Przyznaj się.

Tuistanin się rozkaszał, a potem splunął krwawą śliną. Napał dłońmi na śnieg, jakby chciał wstać, ale Mads stuknął go końcem włóczni między łopatki.

– Leż, Smoszczurze, bo nie skończyłem. Masz pecha, bo wpadłeś w oko chwastownikowi. Dość potężnemu chwastownikowi, wyznam ci w sekrecie. Mnie też się robi dziwnie, jak na niego patrzę. Młody strzelił sobie rano ziółka, by wypalić mózg wielce szanownemu earlowi Brunhardowi, ale obyło się, na szczęście dla earla, bez jego interwencji. Skupił natomiast swą Moc na tobie. Kazał ci się, Kreichlann, powiesić. Nieżle, nie?

Milczał przez moment. Tuistanin rzeźił, nie próbując się już podnieść.

– Wyobraź sobie, co by było, gdyby się na tobie naprawdę skupił. Gdyby przyrządził sobie mocniejszy wywar. Gdyby nie odczekał po jego wypiciu kilku godzin, ale zabrał się do roboty od razu. Możesz to sobie wyobrazić?

Smoszczur wciąż leżał na śniegu i oddychał chrapliwie.

– Tak, wiem. Nie możesz. Nic dziwnego, bo chłopak ma na pewno większą wyobraźnię niż ty. Dobra, Kreichlann, bo się jeszcze przeziębisz z tymi mokrymi gaciami. Usłyszysz zaraz wiadomość, którą masz zanieść Smoczrej Strażniczce Orianie. Nikomu innemu, wyłącznie jej. Jeśli tego nie zrobisz w ciągu dwóch dni, mój chwastownik zmusi cię, byś sobie odgryzł kutasa. Zrozumiałeś?

Jeniec niemrawo pokiwał głową.

– Dzielny chłopak – mruknął Mads.

Pochylił się nad Kreichlannem i wyszeptał mu wiadomość do ucha. Powtórzył ją, upewnił się, czy jeniec wszystko zapamiętał, a potem pomógł mu wstać. Przeprowadził mu luzaka i patrzył, jak tamten powoli, z trudem wspina się na siodło. Patrzył, jak znika między drzewami, a gdy tętent kopyt ucichł na dobre, odwrócił się ku reszcie oddziału.

– Dobra, chłopaki – powiedział cicho. – Wasza robota dobiegła końca.

Podszedł do Tluhira i oddał mu włócznię, a potem przygarnął go do piersi.

– Dzięki – szepnął.

– Jak to? – wychrypiął Pohorzec. – Za co?

Mads puścił go i uściskał prawicę Chryi, który spoglądał nań z narastającą podejrzliwością. Przytulił Vaska, klepnął Borsuka, zmierzwił włosy Pokrzewce i ucałował w oba policzki Otluka, który, o dziwo, jako pierwszy zrozumiał, na co się zanosí, i wybuchnął płaczem.

– Nie maź się, chłopie – szepnął Voorten. – Wracasz do Kostura.

– Panie pułkowniku, nie mam pojęcia, o co tu chodzi, ale na pewno... – zaczął wściekle Chryja, ale Mads przerwał mu głośnym syknięciem:

– Dość. Dość już waszej włóczęgi. Dość już narażania życia. Wojna dobiegła końca. Walczyliśmy razem o Szeląg, przeżyliśmy Wieczną Zamięć, szturm na Brzask i dziesiątki innych bitew. Czas sobie odpuścić, chłopcy. Wróćcie do domów lub, jeśli ich nie macie, zbudujcie sobie nowe. – Nabrał tchu. – Wojna dobiegła końca – powtórzył. – Pozostały tylko osobiste porachunki, a w te nie będę was wciągał. Dziękuję wam, przyjaciele.

Zamilkł i nie patrząc na kompanów, nie słuchając ich protestów, wskoczył na Żmijkę, a potem złapał wodze konia, na którym siedział earl Brunhard.

– A ja?

– A ty – wycedził Mads – jedziesz ze mną.

Po niebie przemknął kolejny smok.

# Rozdział szósty



**E**linaare wyruszyła na północ, śladami uchodzącej armii tuistańskiej.

Zima, która tego roku najwyraźniej nie zamierzała się łatwo poddać, zasypała już ślady pozostawione przez tysiące koni, wozów i ludzi, ale była Strażniczka miała wrażenie, że podmuchy wiatru nadal przynoszą echa huku i chrzęstu przetaczającej się masy ludzkiej. Zganiła się w duchu za te myśli – Tuistanie opuścili Brzask jakieś dziewięć dni temu, a zgodnie z tym, co donosili przybywający do miasta posłańcy Wiatru, każdej doby pokonywali kilkanaście mil. Znajdowali się więc na tyle daleko, że nikt by ich nie usłyszał.

Mimo to kobieta nie mogła się pozbyć przekonania, że groza, którą po sobie pozostawili, nadal przesyca zimne powietrze. Nie ona jedna to czuła – wedle raportów zwiadowców bandy Wilców, które nadal włóczyły się po ziemiach niegdyś nazywanych Dzielnicą Centralną, trzymały się z daleka od Brzasku i całej północy.

Elinaare bardzo to odpowiadało.

Wymknęła się z miasta niespostrzeżenie, zasłoniwszy twarz kapturem. Przeczynała, że uchodźcy będą ją próbowali zatrzymać – przez ostatnich kilka dni robiła wszystko, by otoczyć ich opieką, ale teraz, gdy miasto wraz z Dzielnicą Centralną zostały oficjalnie podzielone, jej rola właściwie dobiegła końca. Elinaare wymogła na Wichrogórczanach, Głuchoborzanach i Pohorcach, by zagwarantowali opiekę, wyżywienie oraz dach nad głową zarówno weteranom, jak i uchodźcom. Nie miała pojęcia, co jeszcze miałyby zrobić.

Śnieg przestał padać, gdy tylko wyjechała z miasta. Spomiędzy chmur od czasu do czasu przezierwały skrawki błękitnego nieba, raz czy dwa zdarzyło się nawet, że śnieżną połąć rozjaśnił blask słońca. Szlak był przejezdny, koń rażno mknął przed siebie, a w jukach znajdowało się dość zapasów na cztery dni.

Wystarczająco, by odnaleźć powracający Wiatr.

W umyśle Elinaare panował spokój, jakiego dawno nie doświadczyła, cień rzucało nań jedynie wspomnienie ostatniej rozmowy z Madsem. Z wielkim smutkiem wspominała też pożegnanie z Kosturem, który przez ostatni tydzień stał się jej bardzo bliski, ale wiedziała, że pomimo swej gderliwości stary uzdrowiciel jest szczęśliwy. Umiał bowiem odwrócić się od

wielkiego świata i ludzi próbujących zdecydować o jego losach. Lekceważąc klótnie i konflikty, po prostu pochylił się nad chorymi i rannymi.

Sama już dawno powinnam zrobić to samo, pomyślała Elinaare.

Nigdy nie czuła się dobrze w roli przywódczyni, zwłaszcza że frakcja, na której czele przyszło jej stanąć, nie miała racji bytu w przyszłym układzie świata. Była Strażniczka cieszyła się, że zdołała zapewnić byt żołnierzom swego syna, gdyż była to ostatnia rzecz, na której jej zależało. A teraz...

Nie miała pojęcia, co ze sobą począć.

Wiedziała w zasadzie tylko tyle, że nie zamierza mieszkać w Brzasku. Stolica Smoczego Imperium kojarzyła się jej tylko z systemem, którego się wyrzekła, a wydarzenia w Smoczym Domu za bardzo nią wstrząsnęły, by mogła tam zostać na dłużej. Nie nadawała się do polityki, żołnierką być nie chciała, na uzdrawianiu nie znała się prawie wcale, opieka nad uchodźcami z czasem miała stracić rację bytu, a myśl o wybudowaniu domu i uprawianiu roli budziła w Elinaare rozbawienie. Nie miała nawet pewności, w której części Rozkrzyczanych Krain chciałaby osiąść. Uzależniła więc wszystko od spotkania z Dunstanem.

W głębi serca miała nadzieję, że uda im się porozmawiać. Że Dunstan nie parsknie ze wzgardą i nie odwróci się od niej przy reszcie oddziału. Że nie wymyśla jej za opuszczenie Brzasku.

Poczuła, jak ogarnia ją zwątpienie, mimo to zacisnęła zęby i popędziła konia. Chciała się znaleźć jak najdalej od miasta.

W południe zatrzymała się na krótki popas – napoiła konia i podała mu kilka garści owsa – po czym znów wskoczyła na siodło. Jechała wśród niewysokich wzgórz porośniętych lasem, wzdłuż starego traktu handlowego prowadzącego ku Głuchoborom i Ostrohorom. Mijała wyludnione wioski i spalone karczmy, widywała porzucone zameczki wśród wzniesień. Bywało, że wzgórze wokół niej potężniały, raz czy dwa mignął w dali zamarznięty wodospad, zauważyła też przepaść, wyszarpiętą przez brutalną siłę Końca. Wiatr trącał lekko gałęzie zamyślonych świerków i smagał jej zaróżowione policzki.

Mimo obaw o przyszłość Elinaare czuła się wreszcie szczęśliwa.

Pomyślała o postoju dopiero, gdy świat zaczął szarzeć. Popędziła konia i wnet znalazła samotną chatę z kamienia, której właściciel, sądząc po rozległych, pustych zagrodach, zapewne żył ze sprzedaży wierzchowców karawanom. Elinaare nie miała pojęcia, jaki los go spotkał, ale drzwi były otwarte na oścież, a wewnątrz

nie brakowało żadnych sprzętów. Nie brakowało też drewna na opał, w potężnym kominku wnet więc zahuczały wesołe płomienie. Była Strażniczka rozsiodła konia, podsypała mu obroku, sprawdziła kopyta i starannie zamknęła drzwi szopy, by nie zmarł przez noc, a sama zasiadła do kolacji, składającej się z kromki chleba, kawałka sera i kubka podgrzanego nad ogniem wina.

Jadła, wodząc wzrokiem po cieniach rzucanych przez ogień. W jej głowie pojawiały się twarze, które wypowiadały urywane słowa. Słyszała rzeczowe zdania Skalmira, wściekle tyrady Gulvarda, zrządzenie Kostura. Słyszała pożegnanie Madsa.

Słyszała też drżące od emocji słowa Dunstana.

Odstawiła kubek z niedopitym winem i oparła czoło na dłoniach. Beztraska, która towarzyszyła jej na szlaku, gdzieś wyparowała, przegnana przez głosy, które zdawały się dobiegać z każdego ciemnego kąta. Nagle kobieta pożałowała, że znalazła się tu całkiem sama.

Jej koń parsknął głośno.

Elnaare uniosła głowę, nagle zaniepokojona. Skądś dobiegał coraz głośniejszy tętent kopyt.

Była Strażniczka złapała sztylet, narzuciła na siebie płaszcz i przypadła do okna. Wyrzała przez szczelinę między okiennicami. Jej wzrok z trudem przywykał do panujących tam ciemności, wkrótce jednak udało się jej wypatrzeć jeźdźca na ogromnym rumaku.

Serce zabiło jej mocno. Wiedziała, że blask rozpalonego przez nią ognia jest doskonale widoczny na zewnątrz, a nadciągający jeździec sprawiał wrażenie, jakby dobrze wiedział, dokąd zmierza. Konfrontacja była więc nieunikniona.

Elnaare mocniej zacisnęła dłoń na sztylcie i sprawdziła, gdzie ma dwa pozostałe. Zaczepnęła tchu i skupiła się, przyzywając swą skromną Moc, ale gdy wyrzała ponownie przez szczelinę, kamień spadł jej z serca. Jeździec właśnie zeskakiwał z konia. Brzęknęła stal, śmignęła wilcza skóra, mignęła długa, jasna broda.

– Byś się wstydziła! – burknął przybysz w stronę okna. – Rozumiem, że nie chciałaś się żegnać z moźnym Gulvardem, ale o mnie to już mogłaś pamiętać!

Elnaare, kręcąc głową, podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież.

– Malhorn – powiedziała z udawaną dezaprobatą. – Można Gulvard ukreći ci jaja, gdy się dowie, że tu przyjechałeś.

– Szczerze powiedziawszy, mam nadzieję, że spróbuje – mruknął olbrzym. – Ja prosty chłopak jestem i lubię dyskusje sprowadzać do kilku ciosów. Gdzie trzymasz konia?

Elinaare uśmiechnęła się pod nosem i wskazała mu obórkę, a potem, już z większą odwagą, odwróciła się ku izbie pełnej cieni i twarzy z przeszłości.

\*

Malhorn jadł z apetytem, co rusz ocierając wąsy, i Elinaare, która oparła się plecami o zimną ścianę, odkryła, że w zasadzie ucieszyło ją jego nieoczekiwane przybycie. Jednocześnie z niecierpliwością czekała na jakieś wyjaśnienia.

– Po co tu za mną przyjechałeś? – spytała, gdy mężczyzna wytarł miskę chlebem, dopił wino i beknął potężnie. – Bo chyba nie chodziło ci o to, by wkurzyć Gulvarda?

– W żadnym razie – zachnął się Malhorn. – Wyjechałem, bo... – Urwał, szukając słów. – Bo chciałem odetchnąć innym powietrzem. I poszukać paru odpowiedzi.

– Innym powietrzem? – podjęła była Strażniczka, niejako wbrew sobie. – Czyżby to w Brzasku zaczęło się psuć?

– Takie odnoszę wrażenie. – Malhorn dłubał wykałaczką w zębach. – Utrzymujesz, że twój udział w dalszych obradach nie miał sensu, bo niby nie reprezentujesz żadnej siły politycznej, ale wystarczyło, byś wyjechała, a rozmowy stały się ostrzejsze. Gulvard oznajmił dziś rano, że nie będzie się układał z zaschniętym czarodziejem i gadającą wroną, po czym potajemnie posłał po posiłki do Łoskotu. Wcale się nie zdziwię, jeśli się okaże, że Istvan i Skalmir zrobili to samo.

– A ja się nie zdziwię, jeśli Pohory i Wichrogóry nagle zjednoczą się przeciwko twoim rodakom – powiedziała Elinaare. – Źle się to wszystko skończy.

– Źle – przytaknął ponuro rycerz i podniósł się, by dorzucić drwa do ognia. Jego ogromny, niedźwiedzi cięń przesunął się po ścianie.

– Mam nadzieję, że nie masz pretensji o mój wyjazd – odezwała się była Strażniczka. – Beze mnie też by zaczęli drzeć koty, prędzej czy później.



– W żadnym razie. – Głuchoborzanin pokręcił głową. Ława skrzypnęła, gdy siadał. – Sam, jak widzisz, również wyjechałem. Na flaki Smoczycy, wcale nie wyjechałem. Ja uciekłem! – Walnął pięścią w stół, aż podskoczyły puste naczynia. – Nie tak to wszystko miało wyglądać – burknął, odwracając głowę.

– Ale można się było spodziewać takiego obrotu wydarzeń – stwierdziła spokojnie Elinaare. – Trzeba chyba czegoś więcej niż stu lat rządów Tuistan, by zdusić dumę w Głuchoborzanach i upór w Pohorcach oraz wypenić chciwość z Wichrogórze.

– Nie o tym mówię. – Malhorn westchnął. – Od początku wszystko się źle układało. Od cholernego zwycięstwa pod Grzywaczem.

Rycerz zacisnął ogromne pięści i na kilka chwil pograżył się w ponurym milczeniu, którego Elinaare wołała nie przerywać. Hufiec głuchoborski przybył na pole bitwy dosłownie w ostatnim momencie i w straszliwej szarży rozpedził wojska tuistańskie, również umęczone zaciekłym bojem z armią Voortena. Obaj przyjaciele – Malhorn i Mads – spotkali się na środku pola bitwy, ale ledwie uścisnęli sobie prawice, rozgorzała między nimi wściekła kłótnia i nikt nie wie, czym by się skończyła, gdyby Voorten nie zaginął podczas trzęsienia ziemi.

– Ironia losu, co? – mruknął rycerz. – Kilka miesięcy temu, gdy wspólnie przeprawialiśmy się przez Martwe Jezioro, marzyłem tylko o zwycięstwie nad Smoszczurami, a teraz? Niech to wszystko smoki obsrają, Elinaare!

Oparł się o ścianę i ułożył nogi w ciężkich butach na ławie. Był teraz zwrócony ku kobiecie, ale jego wzrok błąkał się po ciemnych cieniach, tam, gdzie jeszcze niedawno spoglądała ona sama.

– Voorten mnie zdradził – powiedział. – Za moimi plecami ułożył się, skurwieli, z bandą krasnoludów. Tak, wiem – machnął ręką, widząc, że Elinaare otwiera usta, by coś powiedzieć – bez nich nie dotarłby tak daleko. Mimo wszystko nie mogłem mu tego darować. Pamiętasz wszak, że ze względu na jakieś tam odległe pokrewieństwo z rodem króla Tadmira zostałem oficjalnie uznany za najlepszego kandydata na następcę tronu Głuchoborów? – sarknął. – Jako przyszły władca nie mogłem przecież tolerować zamachów na rację stanu. Musiałem tańczyć tak, jak mi pieprzona Rada Dziedziców zagrała. Nie masz pojęcia, co czułem, gdy wracałem do ojczyzny. Nie dość, że straciłem przyjaciela, to jeszcze moimi ostatnimi słowami do niego były wywrzeszczane ze złością oskarżenia o zdradę. Zwycięstwo pod Grzywaczem nie

przyniosło mi żadnej satysfakcji, zwłaszcza że w Głuchoborach czekało na mnie niezłe bagno.

Malhorn zajrzał do kubka po winie i skrzywił się, widząc, że jest pusty. Elinaare cierpliwie czekała na jego dalsze słowa.

– Przez lata niewoli Rada Dziedziców robiła wszystko, by uchodzić za strażników tradycji i obrońców honoru, ale po prawdzie stała się zgromadzeniem podejrzliwych dziadów, którzy dawno utracili kontakt z rzeczywistością, a odzyskaną wolność poświęcili na nowe kłótnie. Po powrocie wpadłem w szpony kilku zwalczających się frakcji, które usilnie próbowały przeciągnąć mnie na swoją stronę. – Pokręcił głową z wyraźnym obrzydzeniem. – Pod Łoskot ruszyłem z prawdziwą ulgą, bo po tygodniach uczestnictwa w knowaniach tych staruchów mordowanie Smoszczurów wydawało mi się czymś czystym i szlachetnym. Niestety, oblężenie przyniosło kolejne rozczarowanie, bo Tuistanie przebili się przez nasze siły i po prostu oddali nam twierdzę. Nie udało mi się więc nad nimi zatryumfować, do tego pojawiły się pogłoski, że krasnoludy przejęły Szeląg i Dolinę Gościnną, w czym pomógł im cholerny Voorten. Ktoś tam się zorientował, że z Voortenem łączyło mnie braterstwo broni, połączył to z moją rzekomą nieskutecznością na polu walki, a potem raz jeszcze przyjrzał się genealogii. Potem wystarczyło podzielić się wnioskami z tym i owym i nagle intrygi w obrębie Rady Dziedziców zaczęły przybierać nieco inny kształt. Już nie jestem wygodną marionetką, którą chętnie posadziliby na tronie. I, przyznam szczerze, nie mam nic przeciwko nagłej zmianie nastroju. Nie masz pojęcia, ile one ważą.

– Co takiego? – spytała Elinaare.

Malhorn prychnął.

– Te sznurki, za które pociągają członkowie Rady Dziedziców. Przez cały czas wlekę je za sobą. Nawet tu, wiele mil od Spiżycy i Łoskotu, nadal czuję ich ciężar. Bywa, że o nich zapominam, ale wtedy znów czuję na sobie wzrok Gulvarda i mam wrażenie, jakbym wciąż tkwił w Głuchoborach.

– Po co cię wysłali do Brzasku? – zainteresowała się była Strażniczka.

– Nie wiem! – Malhorn poderwał się z miejsca, a jego cień spotężniał na ścianie. Rycerz zaczął się niespokojnie przechadzać po izbie. – Zapewne Rada Dziedziców chciała mnie na jakiś czas odsunąć, by mieć więcej swobody przy dalszych knowaniach.

Może już namaścili kolejnego następcę tronu? Na cuchnące wąpia Smoczycy, któż to może wiedzieć?

Od gór uderzył wiatr. Okienne zaklekotały, ogień w kominku buchnął rozniecony świeżym podmuchem. Konie rżały w szopie.

– Cholerny Voorten. – Malhorn opadł na ławę. – Pieprzony suczy syn. Gdziekolwiek dotrze, namiesza tak, że nie ma co zbierać.

– Zawsze robi to, co jego zdaniem słuszne. – Elinaare wzruszyła ramionami.

– Co do tego nie ma wątpliwości – prychnął olbrzym. – Szlachetny Mads Voorten walczy w imię większego dobra. Bo przecież gdyby nie skumał się z karłami, nie dotarłby pod Grzywacz. Gdyby nie wyrwał nam Szelagu, nie uwolniłby kompanów z krasnoludzkiej niewoli. Szkoda tylko, że za każdym razem to ja jestem tym mniejszym dobrem. Szkoda, że wszystko skupia się na mnie. On żyje, prawda? – Spojrzał bystro na Elinaare. – Powiedziałaś, że nie ma grobu – dodał.

– To mogło oznaczać wiele rzeczy. – Była Strażniczka uśmiechnęła się lekko.

– Jestem zbyt zmęczony na te wasze gierki. – Rycerz westchnął. – I zbyt dobrze znam Voortena. Ten człowiek nie umiałby tak po prostu zginąć.

– Masz rację – odrzekła Elinaare z namysłem. – Mads przeżył zawalenie się katedry. Oberwał jakąś belką i stracił przytomność, ale Kostur poskładał go do kupy. Dwa dni później wyjechał ukradkiem z Brzasku i ruszył za Tuistanami. Zataiłam to przed całym światem, by przypadkiem nie dotarło to do uszu Oriany.

– No, oto Voorten, jakiego znam. – Malhorn uśmiechnął się krzywo. – Śledzi Smoszczury, tak? I tę całą Oriane?

– Śledził – szepnęła Elinaare.

Olbrzym spojrzał na nią pytająco.

– Bo teraz to już chyba naprawdę jest po wszystkim – dodała kobieta zdławionym głosem. – Skontaktował się ze mną wczoraj. Wiesz, przez Otluka. I... pożegnał się.

– Czemu? – wychrypiął Malhorn, pochylając się do przodu. – Ranny jest?

Była Strażniczka pokiwała głową.

– Od lat, Malhorn. Ma czarną dziurę ziejącą w miejscu serca. – Westchnęła, wsłuchując się w niespokojne wycie wichru i rżenie koni. – Pewnie by mnie rozszarpał, gdyby wiedział, że ci o tym mówię, ale... Co mi szkodzi.

– Czekaj. – Malhorn zamrugał spiesznie. – Tylko mi nie mów, że Voorten to ofiara nieszczęśliwej miłości, bo jakoś mi to, na smród Smoczycy, do niego nie pasuje.

– Voorten nie uznaje półśrodków – odparła Elinaare. – We wszystko wskazuje głową naprzód. Jeśli zaoferuje ci przyjaźń, pozostanie przy tobie do końca życia. Jeśli walczy, to do upadłego. Jeśli kocha... Cóż. Dopowiedz sobie resztę.

Malhorn pokręcił głową.

– Znasz tę kobietę?

– Nigdy się nie spotkałyśmy, choć doskonale wiem, jak wyglądała – odparła Elinaare. – Wiem też, że miała na imię Hunna i była Piołanką, należała do jednego z plemion zamieszkujących Pustać. I to chyba ona podarowała Madsowi Żmijkę. Nie wiem, w jakich okolicznościach się spotkali, ale domyślam się, że łączyło ich niezwykle uczucie, a potem się rozstali, gdy Mads ruszył, by walczyć w Burzy. Nigdy już później się nie spotkali.

– Miała. Była. Należała – powtarzał Malhorn. – Wietrzę jakiś tragiczny koniec.

– I tak, i nie – odrzekła Elinaare. – Po klęsce Burzy Voorten trafił do niewoli. Wpadł w szpony Smoczej Strażniczki Oriany, która ze wszystkich sił próbowała go złamać. Voorten stawiał jej opór przez długie miesiące, a potem perfidnie ją upokorzył. Wówczas udała się na Pustać, znalazła ową Hunnę i zamieniła w posąg. Wtedy po raz pierwszy złamała opór Voortena. Mads znalazł się całkowicie pod jej kontrolą, został jednak uwolniony z niewoli przez przedstawiciela Ligi Handlowej, organizacji od zawsze skłóconej ze Smoczym Zakonem. Liga wysłała go z misją nad Martwe Jezioro i... resztę opowieści właściwie znasz, bo tam się spotkaliście.

– A owa Hunna? – spytał Malhorn. – Nadal jest posągiem?

– Nadal – przytaknęła Elinaare. – Oriana parokrotnie wykorzystwała go, by wpłynąć na Madsa. Zagroziła, że go rozbije, przez co ten zrezygnował z roli przywódcy Drugiej Burzy i zrozumiał, że już nigdy nie stanie na czele powstania. Potem ściągnęła go pod Brzask na czele Wiatru i hufca Pohorców, choć w tym wypadku jej motywów już nie zrozumieliśmy. Przymuszczała, że Mads samą swoją obecnością doprowadzi do konfliktu wśród powstańców, co ułatwiłoby Smoszczurom ewakuację.

– Nieglupia ta baba – przytaknął Malhorn.

– Może rzeczywiście zależało jej właśnie na tym, tym bardziej że na czele armii powstańczej stał mój syn, wielki rywal Madsa. – Elinaare westchnęła. – Do żadnych konfliktów jednak nie doszło. Voorten od razu oddał się w ręce Oriany, licząc, że wyrwie się podczas szturmu i ocali posąg Hunny.

– I co potem? – podchwycił rycerz. – Odczaruje ją? Przywróci jej życie?

– Sama nie wiem – odparła kobieta. – Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Wiem tylko tyle, że Oriana, chcąc z niego zadrwić, zostawiła w katedrze perfekcyjnie wykonaną kopię posągu Hunny, a ten zabrała ze sobą. Teraz już wiesz, dlaczego Mads, gdy tylko odzyskał siły, natychmiast ruszył w pościg.

– Cholerny samobójca – westchnął z żalem Malhorn.

– Mówiłam ci, cały Voorten. Wojna, przyjaźń, miłość... Wszystko, czym się zajmował, robił z pasją. Z szaloną, niepowstrzymaną pasją.

– A czemu... czemu się pożegnał?

– Bo znalazł jeszcze jeden sposób na odzyskanie Hunny. Jeszcze bardziej szalony od oddania się w ręce Oriany. Nie, Malhorn. Ten pomylenieć przeżył obie Burze, przeżył Grzywacz, niewolę krasnoludzką, szturm na Szeląg i zdobycie Brzasku, ale teraz...

Elinaare nabrała tchu.

– Teraz to chyba sam zrozumiał, że zbliża się jego kres.

Malhorn zacisnął dłoń w rękawicy.

– Tyle miałbym mu do powiedzenia. Na spróchniałe kły Smoczycy, tyle chciałbym się od niego dowiedzieć.

– Dowiedzieć? – Elinaare uniosła brew. – Od kiedy to głuchoborski książę, namaszczoney na następcę tronu, ma ochotę pobierać u kogokolwiek nauki?

– Przestań się ze mnie natrząsać! – prychnął Malhorn i pochylił się, by oprzeć łokcie na kolanach. – W przeciwieństwie do Gulvarda uważnie słuchałem ciebie i Skalmira. I też chciałbym wiedzieć, dlaczego Smoszczury, zamiast wyjść przeciwko nam całą siłą, po prostu zwinęły kram! Voorten był jedynym, który gadał z elfami. Naprawdę jestem ciekaw, czy te rzeczywiście szykują się do inwazji. – Zatarł dłonie i spojrzał na byłą Strażniczkę. – Bo jakoś mi się to we łbie nie mieści – przyznał. – Nie chciałem się wtrącać podczas waszych narad, bo Gulvard nagadał bzdur za nas obu, ale... Posłuchaj, przecież widzieliśmy elfy. Oboje je widzieliśmy. Były dziwne i obce, ale jakoś nie wyglądały mi na

rzeźników, którzy przeszliby przez Rozkrzyczane Krainy, mordując wszystko, co żyje.

Elinaare w milczeniu pokiwała głową.

– Pamiętam Voortena w Tumie – powiedziała. – Był wówczas przekonany, że tak właśnie postąpią.

– Ale to było, zanim poznaliśmy je lepiej – upierał się rycerz. – Zresztą coś mi mówi, że sama nie jesteś co do tego przekonana.

– Nie, nie jestem – przyznała kobieta. – Nie wydaje mi się, by Tuistanie uciekli przed elfami.

– Poza tym, gdyby tak było, z południa już przybywaliby posłańcy ze strasznymi wieściami – dodał Malhorn. – Tymczasem trwa cisza.

Elinaare przymknęła oczy.

– Nie lubię ciszy.

Strzełiło któreś z palących się polan, żarzące się drewnieko znieruchomiało tuż obok stopy Malhorna. Okiennice znów zadygotały. Wiatr świstał w szczelinach, konie rżały i tłukły kopytami.

Malhorn zorientował się pierwszy. Wyprostował się, rozejrzał, odruchowo chwycił za miecz leżący na ławie i wysunął go z pochwy. Zalśniła żywa stal.

– Słyszysz? – spytał głuchym głosem, wpatrzony w okiennice.

– Co słyszysz? – Elinaare uniosła się bezszelestnie jak myśl.

– Konie się niepokoją. Ktoś się zbliża.

Przez oczami Strażniczki nagle stanęła zmiażdżona barierka i przewrócona cembrowina studni. Po jej plecach spłynął zimny dreszcz.

– Ktoś – powtórzyła zmienionym głosem. – Albo coś.

Oboje wypadli na zewnątrz. Zimny wiatr poderwał poły ich płaszczy i niemalże zdusił płomień pochodni Malhorna. Noc była ciemna i bezgwiezdna, a pochodnia nie dawała wiele światła, mimo to oboje dojrzeli kształt zbliżający się od strony gór.

Ogromny, monstualny.

A potem wiatr przyniósł chrapliwe posapywanie.

– Co to, kurwa, jest? – wychrypiał Malhorn.

Rycerz bezwiednie zrobił krok naprzód, jakby chciał osłonić swą towarzyszkę, ale wtedy gwałtowniejszy podmuch zgasił jego pochodnię. Ciemności wokół zgęstniały, przez co zbliżające się pochrapywanie stało się nagle donośniejsze i bardziej przerażające. Dołączyło do niego szuranie i zgrzyty, zupełnie jakby

cielsko zbliżającej się istoty wlokło się po ziemi, miażdżąc drzewa i krzewy.

Przejęta zgrozą Elinaare uniosła dłoń i przywołała cząstkę Mocy, dzięki czemu mrok zaczął się oddalać. Malhorn odrzucił syczącą pochodnię na śnieg i zakreślił młynca mieczem.

– Jestem Malhorn ze Spizycy! – huknął, zagłuszając wycie wiatru. – Rycerz z Głuchoborów! Powinieneś wiedzieć, bydlaku, z czyjej zginiesz ręki!

Buńczuczne słowa i niecodzienny błysk żywej stali przyniosły Elinaare nieco otuchy. Nabrała tchu i sięgnęła po więcej Mocy, dzięki czemu ciemność oddaliła się jeszcze bardziej i...

Odsłoniła przerażający koszmar.

Zbliżająca się ku nim istota niegdyś była smokiem, majestatycznym i budzącym zarówno grozę, jak i podziw, teraz jednak próżno było szukać w niej śladów dawnej chwały. Potwór sztywno machał jednym skrzydłem, jakby na przekór kalectwu próbował się wznieść w przestworza, a drugie, dziurawe i poskręcane, włókł za sobą. Z piersi poczwary sterczały dwie ułamane włócznie, a po prawej łapie pozostał jedynie żalony kikut. Potwór odpychał się od podłoża tylnymi łapami i dzięki temu jego rozdęte cielsko, ponabijane złamanymi włóczniami, powoli sunęło naprzód. Szyja, ongiś zabójczo giętka, teraz przechylała się groteskowo z każdym ruchem odnóży, a pomiędzy kłów sączyła się bulgocząca ślina.

Elinaare poznała ową istotę, gdy ujrzała jeden z jej oczodołów, pusty i ociekający ropą.

„Wiem, kim jesteś, rycerzyku”.

Głos, który rozległ się w jej głowie, niski i chrapliwy, tylko utwierdził ją w domysłach. Elinaare zerknęła na Malhorna i po jego zdziwionym spojrzeniu domyśliła się, że on również usłyszał telepatyczny przekaz.

„Nie mam pojęcia, dlaczego... nie zwróciłem na ciebie uwagi. Przecież ty... Ty również... Nie tylko Voorten czy Bielik, ale ty... wy... Strażniczka, och, Strażniczka...”

– Cóż to za bełkot! – zawołał Malhorn i potrząsnął głową. – Spieprzaj! Wynoś się z moich myśli! W tej chwili!

„Nie mogę... Nie chcę... Propozycję chcę ci złożyć... Układ... Wspaniały układ... Wielka przyszłość cię czeka... Ja ci pomogę... Pomogę...”

– Hoydn! – krzyknęła ostro Elinaare. – Wynocha stąd, gadzie!

Z tego, co jej mówiono, Hoydn przeżył starcie z Lharsin, choć smoczyca zadała mu rozliczne rany. Naoczni świadkowie ich pojedynku na dachu katedry twierdzili, że poraniony smok, brocząc krwią, odleciał na północ, ale nikt nie miał czasu ani głowy, by go później szukać. Wyglądało na to, że lądowanie musiało się zakończyć katastrofą, która tylko pogorszyła jego stan. Szaleństwo Smoczęcia zaś znacznie się pogłębiło.

Hoydn obracał łbem to w jedną, to w drugą stronę, nerwowo, spazmatycznie, aż w końcu dostrzegł rycerza. Gwałtownie opuścił ku niemu łeb, ale Malhorn nie cofnął się ani o krok, co wzbudziło mimowolny podziw Elinaare. W porównaniu do Hoydna, którego zapamiętała z oblężenia Brzasku, mieli przed sobą jedynie niezgrabnego, okaleczonego, na poły szalonego potwora, ale i on mógł zabić bez wahania.

„Rycerz, rycerzyk, rycerzátko... Niegdyś nawet bym na ciebie nie splunął, ale teraz... teraz... Tak, jesteś inny. Wyczuwam, wyczuwam je wyraźnie... Tak, przeznaczenie!”

Łeb Hoydna grzmotnął o ziemię i jał się zbliżać w stronę Malhorna niczym monstrualny wąż. Śnieg tryskał na boki.

„Zostań ze mną, słuchaj moich rad... Razem... Razem możemy dokonać wielkich czynów! Wszystkie gdzieś lecą! Wszystkie lecą, jak nie do niej, to do niego, ale przecież nie tędy droga, nie tędy! Wojna rozstrzygnie się tu! Och, wyczuwam, wyczuwam przeznaczenie!”

Smok niespodziewanie rozwarł paszczę i zaryczał, a Głuchoborzanin, stojący zaledwie kilka kroków dalej, zatoczył się, zamroczony zarówno siłą dźwięku, jak i smrodem.

– Malhorn! – krzyknęła Elinaare.

Rycerz się otrząsnął. Warknął głucho i skoczył naprzód. Miecz z żywej stali zakreślił w powietrzu łuk, ciągnąc za sobą srebrzystą smugę, i rozciął jeden z ocalałych smoczycich kłów. Hoydn zasyczał i poderwał łeb, ale Głuchoborzanin ani myślał zwolnić. Ze zwinnością, o którą trudno było posadzić tak rosłego mężczyznę, przypadł do smoczej piersi i ciał z niebywałą siłą, rozpruwając wyblakłe łuski.

Z rany chlusnęła czarna krew. Smok zaryczał wściekle – jego rozchylone szczęki pomknęły prosto w stronę rycerza, ale ten wymknął się w serii sprawnych uników i ciał ponownie, tym razem w zdrową łapę.

„Zdrąjco! Tyle ci zaproponowałem! Tyle chciałem ci dać!”



Ryk smoka był ogłuszający. Elinaare miała wrażenie, że rozsadza jej umysł, i nie chciała nawet myśleć, jak zniósł go Malhorn, który stał znacznie bliżej. Rozszerzonymi z przerażenia oczami patrzyła, jak rycerz znów się zatacza. Zakrwawiony, śmiertelnie blady.

Nagle zrozumiała, że Hoydn, choć ranny i kaleki, zyskał przewagę, a rycerz, choć niebywale szybki, nie jest już zdolny do kolejnego uniku.

W tej samej chwili przypomniała sobie o swej Mocy.

Skupiła ją odruchowo, jak czyniła to wielokrotnie, gdy służyła Smoczycy, ze wszystkich sił próbując zignorować fakt, że pozostało jej owej Mocy tak rozpaczliwie niewiele. Uniosła głowę, a jej oczy dziko rozblęły.

Hoydn ponownie rozchylił paszczę, tym razem by pochłonać zataczającego się rycerza. Elinaare z przesywającym wrzaskiem wyrzuciła dłoń przed siebie. Pchnęła całą swą Moc prosto w smoczą gardziel.

Między połamanymi kłami potwora eksplodował wściekły smoczy ogień.

Powietrze przeszył rozdzierający pisk palącego się żywcem monstrum. Hoydn odrzucił łeb do tyłu i w ostatnim odruchu wbił go w zaspę śniegu między drzewami. Buchnął gęsty dym, ale nie było na świecie takiej mocy, która mogłaby zdusić smoczy ogień. Oszałały z bólu Hoydn miotał głową na boki, miażdżąc pnie drzew, aż Malhorn oprzytomniał na tyle, by znów przypaść do jego cielska i wbić mu miecz w trzewia aż po jelec.

Hoydn wyprężył się w przedśmiertnym spazmie i znieruchomiał.

Malhorn, nagle opadły z sił, cofnął się o kilka kroków, wbił miecz w śnieg i oparł się o jelec. Elinaare podeszła do rycerza i ujęła go pod ramię.

– Cały jesteś? – spytała z troską.

– Taa – mruknął niewyraźnie Malhorn i dłonią w rękawicy rozmazał sobie krew na twarzy. – Co to, do kurwy nędzy, było?

– Hoydn – odparła lodowatym głosem Elinaare, wpatrzona w płomienie, które zamieniły już łeb smoka w poczerniały kikot i pełzały wzdłuż szyi. Śnieg topniał, z sykiem uwalniając obłoki mgły, a w powietrzu rozchodził się ohydny smród. – To samo bydle, które omotało Madsa nad Martwym Jeziorem, a potem mojego Dunstana po bitwie pod Grzywaczem. Owładnięty manią wielkości skurwieli, który ubrdał sobie, że zastąpi Smoczycę. – Z pogardą splunęła na smoczy zewłok. – W przeciwieństwie do

niego miałam jeszcze okazję poznać pełen majestat Pani. I wiem, że brakowało mu do niej tyle, ile parszywemu, ślepemu osłu do rumaka czystej krwi. Wreszcie się, gad, dograł.

– Teraz to ja zapytam. – Malhorn odsunął się nieco od kobiety, przyglądając się jej uważnie. – Wszystko z tobą w porządku?

Elinaare odkaszlnęła, pokiwała głową, a potem wciągnęła chłodne powietrze do płuc.

– W porządku – powiedziała nieco ochryplym głosem. – Po prostu... Wiesz, on opętał mojego syna i... i uzurpował sobie... Nieważnie. Byłam Strażniczką znacznie dłużej, niż nią nie jestem. Trudno się od tego uwolnić. Naprawdę.

Malhorn przyglądał się jej badawczo.

– Chodźmy stąd – powiedział cicho. – Mam dość tego smrodu.

Odwrócili się i ruszyli w stronę chaty.

– O czym on gadał? – spytał Malhorn.

– Miał specjalny dar. – Elinaare zerknęła przez ramię na pałac się zwłoki. – A raczej twierdził, że ma. Uważał, że wyczuwa przeznaczenie. Lgnał do ludzi, którzy rzekomo mieli dokonać wielkich czynów, ale po tym, jak Otluk wyłupił mu ślepie, mocno mu się we łbie poprzestawiało. Po konfrontacji z Lharsin pewnie stracił resztki kontaktu z rzeczywistością, a ów zmysł czy też dar był ostatnim, co nim powodowało.

– I uznał, że teraz to ja jestem wybrańcem przeznaczenia? – Rycerz roześmiał się sucho. – Rzeczywiście, mocno oberwał. Ale ja o coś innego pytałem.

– O co?

– „Wszystkie lecą, jak nie do niej, to do niego”. – Malhorn wpatrywał się w nią przenikliwie. – O co tu może chodzić?

– Nie wiem – odparła Elinaare. – Naprawdę.

Chciała powiedzieć coś jeszcze – o tym, jak bardzo jest zmęczona i ile by dała za kilka godzin zdrowego snu – ale świat nagle zafalował jej przed oczami. Odniosła przemożne wrażenie, że zapada się w jakąś gęstą, nieprzeniknioną ciemność, która nagle pochłonęła wszelkie światła. Poczula jeszcze lodowate zimno na twarzy i przeszło jej przez myśl, że przewróciła się na śnieg.

Potem nie było już nic.

Gdy w końcu zbudziło ją przeraźliwe zimno i zdołała unieść głowę, wciąż panowała ciemność. Obok siebie widziała Malhorna, który powoli zaczynał się budzić, a dalej ciemny obrys sylwetki Hoydna. Ogień, pożerający wcześniej cielsko smoka, wypalił się do cna.

# Rozdział siódmy



Earl Brunhard świdrował Madsa spojrzeniem.

– No i co teraz? – spytał w końcu.

Voorten westchnął i wyciągnął rękę w kierunku stosu gałęzi leżących przy jego derce. Zważył jedną w dłoni i rzucił w płomienie. Strzeliły iskry, buchnął dym.

– Teraz? – spytał półprzytomnym głosem, jakby właśnie budził się z głębokiego snu. – Teraz czekamy.

– Tego to się już zdażyłem domyślić. – Earl uśmiechnął się krzywo. – Na finał jakiejś twojej intrygi, co?

Mads skrzyżował nogi i przysunął się bliżej do ognia, by rozłożyć nad nim dłonie.

– Właśnie tak. Dziwne to trochę, nie? – Spojrzał bystro na Brunharda. – Przez całe życie snujesz intrygi, aż wreszcie sam padłeś ich ofiarą.

– Intrygi? – Brwi Tuistanina powędrowały wysoko na czoło. – Nie wiem, za kogo ty mnie masz, Voorten. Jestem urzędnikiem królewskim, z łaski Króla-Wieszca zwierzchnikiem instytucji bankowo-handlowej odpowiedzialnej za rozwój gospodarczy Smoczego Imperium.

Mads uśmiechnął się krzywo. Earl zachowywał się i przemawiał, jakby siedzieli w skórzanych fotelach przy stole z mahoniem i popijali drogie wino, przekomarzając się w ramach rozgrzewki przed ważnymi negocjacjami. Strzepnął z derki grudkę brudnego śniegu i spojrzał na jeńca.

– To też – przyznał. – A w jaki sposób realizujesz wielkie cele swej instytucji bankowo-handlowej? Nie odpowiadaj. – Machnął ręką, widząc, że Brunhard otwiera usta. – Nie chcę słuchać tych bredni. Mam pewne wspomnienie, które zaprzeczy wszystkiemu, co powiesz.

– Ach, zapewne chodzi o działania, które podjęliśmy swego czasu, by uwolnić cię z lochów Smoczego Zakonu – rzucił earl z przekąsem. – Wedle naszych ocen byłeś najlepszym kandydatem do przeprowadzenia zadania. Lektura akt kazała sądzić, że upór, przedsiębiorczość, inteligencja i doświadczenie pozwolą ci się sprawnie uporać z zadaniem, jakim było przeprowadzenie zwiadu przed założeniem faktorii handlowej w skrajnie nieprzyjaznym środowisku.

– Czyżby? – Mads wydał usta. – A nie było czasem w tych aktach wzmianki o tym, że niejaki Mads Voorten to zaciekły wróg

Smoczego Imperium we wszystkich jego przejawach i nie ma takiej siły, która zmusiłaby go do wiernej służby?

Earl uniósł wzrok ku rozgwieżdżonemu niebu, które przecinała właśnie spadająca gwiazda.

– Cóż, być może ktoś dokonał błędnej analizy...

– Lub po prostu przekabaciliście Króla-Wieszczka i wywlekliście mnie z lochu Strażniczek, by doprowadzić je do szewskiej pasji – przerwał mu Mads. – Potwierdzają to późniejsze wydarzenia. Było nie było, waszego zadania nie wypełniłem.

– Ale nad Martwe Jezero pojechałeś. – Earl prześwidrował go wzrokiem.

– Tak się dziwnie złożyło, że miałem tam własne interesy do załatwienia.

– Własne interesy – powtórzył earl, smakując słowa. – Ciekaw jestem, cóż to takiego. Jakie można mieć interesy we wrogiej głuszy?

Mads powoli obrócił ku niemu głowę. Jego spojrzenie było ziemniejsze od śmierci w samym sercu lodowej burzy.

– A co cię to, Brunhard, obchodzi? – wycodził. – Stałeś się częścią mojej intrygi i będziesz robił dokładnie to, co ci każę, a na razie docień, że cię nie zakneblowałem ani nie nakładłem ci po gębie.

– Doceniam – odezwał się earl po chwili, najwidoczniej po kupiecku przeanalizowawszy sytuację.

– To dobrze. – Mads skinął głową. – Uznałem, że trochę życzliwości ci się należy. W końcu dzięki waszemu zachodowi odzyskałem wolność.

– Jeszcze bardziej doceniłbym parę słów na temat tego, co tu właściwie robię. Czy twoja życzliwość rozciąga się tak daleko?

– Pewnie. – Mads wzruszył ramionami. – Moja przyjaciółka Elinaare zrzadzeniem losu odkryła, że wrogość Ligii Handlowej wobec Smoczego Zakonu może mieć źródła o charakterze rodzinnym.

– A to dopiero! – Tuistanin znów uniósł lekko brew. – Musiałbyś, Voorten, przedstawić szerszy kontekst. To prawda, że nasze organizacje mają za sobą tarcia natury...

– Tarcia? – przerwał mu rozbawiony Mads. – Gdybyście mogli, skoczylibyście sobie do gardeł. Jesteście bandami chciwych, żądnych władzy krętaczy, a różni was tylko tyle, że jedni władają Mocą, a drudzy pieniędzmi.

Złapał jeszcze jedną gałąź i cisnął ją w płomień, mocno, aż buchnęły iskry. Żmijka, stojący w cieniu między drzewami, zarżał cicho, jakby drwił z earla.

– Spójrz tylko na siebie – ciągnął Mads, patrząc na Brunharda z nieskrywanym obrzydzeniem. – Siedzisz na starej derce, związany jak baran, i nie masz pewności, czy przeżyjesz tę noc, a mimo to nie przestajesz mataczyć. Próbujesz wyciągać sekrety, przeinaczasz fakty, podsuwasz mi propagandę... Na cyce Smoczycy, może jeszcze konia mi wycenisz i zaproponujesz korzystne raty?

– To rzadka rasa. Wolałbym, aby podjął się tego specjalista.

– Czyli przyszło ci to do głowy. Zaczynam się cieszyć, że w ten czy inny sposób niedługo uwolnię się od twego towarzystwa.

– Dobrze – rzekł Tuistanin i położył skrępowane w nadgarstkach ręce na kolanach. – To pomówmy wreszcie o tym, w jaki sposób miałbyś się od mojego towarzystwa uwolnić. Bo jakoś nie możesz doprowadzić wątku do końca.

Mads przygryzł wargę. W istocie, nie mógł. Podświadomie obawiał się, że gdy przedstawi swój zamysł, w pełni pojmie jego absurd i straci resztkę nadziei. Odkaslnął, splunął na śnieg i wbił wzrok w roztańczone płomień upojone zimnym powietrzem.

– Rywalizacja między Ligą i Zakonem trwała od dawna, ale odkąd to ty stoisz na czele Ligii, współzawodnictwo stało się ostrzejsze. Ma bardziej osobisty charakter. A zaczęło się to w chwili, gdy Oriana awansowała na jedną z wyższych pozycji w Zakonie.

– A niby czemu? – prychnął Brunhard z wystudiowanym oburzeniem.

– Bo to twoja siostra. – Voorten uśmiechnął się bez wesołości.

Jakaś kłoda strzeliła głośno, ku niebu buchnęły iskry. Tuistanin na uderzenie serca umknął spojrzeniem w bok.

– Jakie to ma znaczenie? – spytał, udając obojętność.

– Niewielkie – przyznał Voorten. – Zainteresowało mnie natomiast to, że w jej aktach przynajmniej w dwóch miejscach znajduje się wzmianka o chronicznej, nieuleczalnej nienawiści, jaką cię darzy. Coś ty jej robił w dzieciństwie, wieprzu?

Z ogorzałego, zarośniętego oblicza Tuistanina odplynęła krew.

– Czy ty... – wychrypiał. – Czy ty chcesz mnie jej oddać?

– Oddać? – Mads udał niedowierzanie. – Nie, skądże. Chcę cię wymienić, Brunhard. Za coś, co jest w jej posiadaniu.

– Oszalałeś! – Roztrzęsiony Brunhard poderwał się z miejsca. Chciał zrobić krok do tyłu, ale całkiem zapomniał o luźnych więzach, które Mads nałożył mu na kostki. Zachwiał się i upadł na śnieg. – Oszalałeś! – powtórzył, zdjęty zgrozą. – Oriana to... To chora z nienawiści suka! To oszalałe bydlę, gotowe chleptać ludzką krew, gdy...

Zerwał się znów i niezgrabnym truchtem ruszył między drzewa, gdzie zastąpił mu drogę Żmijka. Koń zarżał groźnie i naparł na Tuistanina, który zatrzymał się i zrobił krok w tył, po czym klapnął na pośladki. Mads podniósł się z cichym westchnięciem, sięgając po włócznię. Podeszedł bliżej, poklepał konia po pysku, a potem obrócił broń i bez pardonu dźgnął Brunharda tęnym końcem w bok. Tuistanin skulił się z głośnym jękiem.

– Przystań się mazgać – rzucił surowo Mads. – Ucieczkę wybij sobie z głowy, bo mój koń widzi w ciemnościach i rozumie większość tego, co mówię, więc w sumie dobrze, że się nie podjęłaś wyceny. Nieźle byś wtopił. – Nachylił się i złapał jeńca za więzy. Postawił go na nogi gwałtownym szarpnięciem i pchnął w stronę ogniska. Brunhard padł na kolana. – Boisz się siostrzyczki, co? – wysyczał mu Mads nad uchem. – Słusznie, słusznie. Okropna z niej zdzira.

– Ja wiem, o co ci chodzi – wybełkotał earl, unosząc na niego błagalne spojrzenie. – Ty chcesz odzyskać ten posąg... Tę rzeźbę, w której...

– Zamknij się.

– Zdobę go dla ciebie. – W szeroko otwartych oczach Tuistanina pojawiła się szalona nadzieja. – Przysięgam na honor! Na pamięć Smoczycy! Wypuść mnie, a zdobę go dla ciebie! Choćbym miał...

Mads ze wszystkich sił kopnął Brunharda w brzuch. Tuistanin wyrzucił coś i zgiał się w pół, spazmatycznie kaszłając.

– Ani słowa więcej, ty pieprzony zaskrońcu – rzucił zimno Voorten. – Nie ma mowy o żadnych układach czy transakcjach. – Złapał Tuistanina za więzy i powłókł w kierunku ogniska. – Wymienię cię na Hunnę, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię na tym świecie – wycedził. – Jedyne, na co możesz liczyć, to że wsunę ci nóż do buta. Jestem ci to winien, a poza tym mam wielką nadzieję, że wbijesz go tej suce w plecy. Oczywiście dopiero po tym, jak odda mi posąg. Bo w przeciwnym razie zaszlachtuję cię, Brunhard. – Pchnął go, bełkoczącego z trwogi i rozpaczy, na derkę. – I ani się waż... – zaczął, ale nie dokończył.

Między drzewami eksplodowały bowiem oślepiające płomienie.

Mads odruchowo wyciągnął ramię, by osłonić oczy, ale blask znikł równie szybko, jak się pojawił. Pułkownik cofnął rękę i zamrugał pospiesznie, ale widział tylko rozbiegane czerwone plamy. Minęła dłuższa chwila, zanim jego wzrok na powrót przywykł do nikłego światła, rzucanego przez ich niewielkie ognisko.

Wtedy dostrzegł opadające dookoła płyty sadzy. Między drzewami pojawiła się samotna sylwetka.

Szczupła, niemalże wychudzona, tonąca w ciężkim płaszczu z futrzanym kołnierzem.

Serce Madsa zabiło mocniej. Drżąc, wciągnął powietrze w płuca i zrobił krok naprzód, mimowolnie kładąc rękę na rękojeści miecza. Zaraz zatrzymał się, sięgnął do tyłu i wyciągnął wsunięty za pas nóż, po czym upuścił go w śnieg.

– Teraz to już radź sobie sam – mruknął, kierując słowa do Brunharda, który, zwinięty w kłębek na derce, na przemian modlił się i złorzeczył.

Żmijka parsknęła nerwowo.

– Spokojnie, koniku – powiedział Mads. – Wszystko pod kontrolą.

Nigdy w życiu nikogo bardziej nie okłamał.

Oriana wyłoniła się z mroku i stanęła kilka kroków od Voortena. Powoli uniosła ręce, by zdjąć ciężki kaptur. Grube rękawy osunęły się nieco, odsłaniając wychudłe nadgarstki, a gdy opadł kaptur, oczom Voortena ukazało się wymizerowane, wręcz groteskowe oblicze. Po raz ostatni widział Strażniczkę chwilę przed upadkiem Brzasku, ale odniósł wrażenie, że przez tych kilka czy kilkanaście dni jej stan jeszcze się pogorszył. Na wargach czerniły się pęknięcia, a pergaminowa skóra opinała czaszkę tak ciasno, jakby zaraz miała pęknąć, i gdyby nie oczy, migoczące niezmierną energią w głębi czarnych oczodołów, pomyślałby, że ma przed sobą żywego trupa.

Oriana osobiście kokieteryjnym gestem poprawiła Smoczy Diadem i przekrzywiła głowę. Blask płomieni uwypuklał plamy czerni na jej policzkach.

– Rozumiem, że Kreichlann przekazał poselstwo – powiedział powoli Voorten.

– Przekazał – powiedziała Smocza Strażniczka. – Miło mi, że wciąż o mnie pamiętasz.



Mads zdusił plugawe przekleństwo. Zmusił się, by zdjąć dłoń z rękojeści miecza, po czym skrzyżował ramiona na piersi. Czuł, jak łomocze mu serce. Wiedział, że powodem jest trwoga, ogarniająca go zawsze na widok Oriany, ale prócz lęku w jego sercu powoli budził się gniew.

– Tak, pamiętam o tobie – dodał chrapliwie.

Uświadomił sobie, że nachodzi go przemożna chęć, by rzucić się na Smoczą Strażniczkę, by objąć dłońmi jej wychudłą szyję i wycisnąć z niej resztę parszywego życia.

Wciągnął powietrze głęboko w płuca i powstrzymał chęć, by znów zacisnąć dłoń na rękojeści miecza.

– Ciągłe rozpamiętuję naszą znajomość i wydaje mi się, że źle ją zaczęliśmy – podjął. – I jeszcze gorzej ją zakończyliśmy. A właściwie to ja źle ją zakończyłem.

Twarz Smoczej Strażniczki była nieporuszona. Jeśli kobieta zrozumiała cierpki przytyk, nie dała tego po sobie poznać.

– Postanowiłem więc, że wręcę ci pewien dar. – Mads wskazał kciukiem Brunharda, który podniósł się na kolana i wpatrywał w siostrę z przerażeniem. – Zapewne z racji pełnionych funkcji przez pewien czas często się widywaliście, czy to na dworze Króla-Wieszczka, czy na ulicach Brzasku. Niestety earl Brunhard był dla ciebie nietykalny i rozstrzygnięcie waszego konfliktu musiało zostać odłożone na później. Czyli na teraz.

Spękane wargi Oriany uformowały uśmiech, którego Mads nie umiał rozgryźć.

– Brunhard jest twój – powiedział. – Pod warunkiem, że spełnisz jedno moje żądanie.

– Voorten. – Głos Oriany przypominał szelest starych pergaminów. – Skąd pomysł, że ja w ogóle mam ochotę się z tobą układać?

– To akurat logiczny wniosek. – Mads posłał jej spojrzenie zarezerwowane dla ludzi niespełna rozumu. – Jestem, kim jestem: bolesnym wrzodem na dupie twojego króla. Gdybyś nie chciała rozmawiać, zniewoliłabyś mnie magią i już leżałbym spętany gdzieś w waszym taborze.

– Sytuacja się zmieniła – odpowiedziała Oriana. Mówiła powoli, z wyraźną niechęcią, jakby rozmowa z Voortenem stanowiła dla niej nieznośną konieczność. – Nie jesteś już żadnym wrzodem. Co najwyżej pryszczem, który czasem jeszcze swędzi, ale wystarczy się podrapać, by o nim zapomnieć. Bądźmy szczerzy: ów szaleńczy atak na naszą kolumnę był szczytem twoich możliwości.

– Ale zabolął.

– Nie mnie – odparła Strażniczka i zrobiła krok naprzód. Stała teraz tak, by widzieć Brunharda. Ten począł drżeć na całym ciele, a Voorten mógłby przysiąc, że słyszy szczękanie zębami.

– Skąd ci przyszło do głowy – spytała – że zainteresuje mnie ta ludzka szmata?

– Trochę cię znam, Oriano – powiedział Mads, nawet nie kryjąc drwiny. – I wiem, że nie ma dla ciebie rzeczy ważniejszej od zemsty.

– Wiele się zmieniło, Voorten. – Kobieta wciąż spoglądała na jeńca. – Tak wiele, że właściwie już mnie nie znasz. A ten tam – wskazała brata niedbałym ruchem głowy – stał się dla mnie równie obojętny jak ty.

– Podczas naszego poprzedniego spotkania odniosłem inne wrażenie – rzekł Mads.

– Masz o sobie wysokie mniemanie. – Oriana wyduła spękane wargi. Jeden ze strupów pękł i ranka wypełniła się krwią. – Natomiast umiejętności wyciągania wniosków odmówić ci nie mogę. Tego szubrawca możesz sobie zatrzymać, a mnie – popatrzyła Madsowi prosto w oczy – interesuje coś innego.

Voorten zapomniał, jak ogromna potęga kryje się w jej spojrzeniu. Częstka Mocy Smoczycy zlewała się w nim z pychą, okrucieństwem i przekonaniem o niezniszczalności, a wzmacniała je jakaś nowa siła, nieznaną Madsowi, niezmierną i niebezpieczną. Siła, która zżerała ciało Oriany, ale w zamian pozwalała jej teleportować i władać wolą Smocząt.

Oto nie miał już przed sobą swej dawnej oprawczyni, kobiety ambitnej i okrutnej, zranionej przez niego tak bardzo, że myślała tylko o zemście. Spoglądał na zimną półboginię, obojętną na swą cielesność, potężną jak nigdy wcześniej i pochłoniętą sprawami, o których nie miał pojęcia. Jego intryga nagle wydała mu się idiotyczna.

– Oddam ci ten twój posąg – powiedziała nagle znużonym głosem. – A w zamian oddasz mi ją.

Mads cofnął się o krok.

– Ją? – spytał półprzymiśnym głosem. – Kogo? Elinaare?

– Tę renegatkę? – W oczach Oriany błysnęło ożywienie. – Nie, ona też należy do minionego świata. Chodzi mi o Lharsin.

– O... Lharsin? – Mads nie zdołał ukryć zaskoczenia.

Oriana odwróciła się ku niemu. Jej spojrzenie nagle zdało mu się jeszcze potężniejsze niż przed chwilą.

– Tak, dobrze usłyszałeś. – Smocza Strażniczka mówiła coraz szybciej, a na jej wychudłych policzkach pojawił się niezdrowy, ciemny rumieniec. – Jest mi potrzebna. Wiem, że opracowałeś jakiś sposób komunikowania się z nią, więc ściągnij tu tę bestię. I pospiesz się, Voorten. Nie będę czekać.

– Ale... – Mads pokręcił głową. Nieoczekiwane żądanie Oriany wytrąciło go z równowagi i desperacko szukał teraz jakiejś sensownej odpowiedzi. – Ale ja nie mogę tak po prostu... Ona dołączyła do nas z własnej woli i...

– I jest teraz twoją towarzyszką broni. – W oczach Smoczej Strażniczki błysnęła okrutna drwina. – Na wspomnienie Pani, o mały włos zapomniałabym o twojej świętej zasadzie, Voorten. Przecież towarzyszy broni nie wolno zdradzać, prawda? Wydrwiłabym twój altruizm, gdybym sama nie była świadkiem tego, co zrobiłeś pod Szelągami, by wyciągnąć swoich chłopaków z krasnoludzkiej niewoli. Dureń z ciebie, Voorten. Skończony dureń. Przestrzegasz w życiu zbyt wielu zasad.

Zamilkła i oddychała pospiesznie. Mads był niemal wdzięczny, że choć przez chwilę nie musi słuchać jej głosu.

– Jedną z nich będziesz musiał teraz złamać, Voorten – podjęła. – Jeżeli oddasz mi Lharsin, ja przekażę ci Hunnę. Jeśli uznasz, że twoja smoczyca jest ci bliższa, jeszcze tej nocy rozbiję posąg w drobny mak.

– Nie zrobisz tego! – jęknął Mads.

Oriana zacisnęła pomarszczone powieki i pokręciła powoli głową.

– Voorten, jesteś... – zaczęła, ale urwała.

Zamrugła, tym razem szybciej, a potem rozejrzała się z narastającym przestachem, jakby walczyła z wrogiem, nieprzyjemnym doznaniem. Mads również odniósł wrażenie, że coś się gwałtownie zmienia. Kolory przygasaly, a światło rozrzedzało się, jakby zewsząd nadciągały fale gęstej, nieprzeniknionej ciemności. Złapał za miecz, potrząsnął głową i zrobił krok do tyłu, jednocześnie się odwracając, ale żaden z tych gestów nie zdołał odegnać spowijającej go niemocy. Stać go było tylko na to, by zrobić jeszcze jeden krok, po czym runął w śnieg.

Obudziło go coś wilgotnego i ciepłego. Z oddali napłynęło znajome prychnięcie, a potem znów poczuł coś na policzkach. Rozbudzający się powoli umysł podpowiedział mu, że to oddech konia.

Mads zerwał się tak gwałtownie, że zakręciło mu się w głowie. Żmijka uniósł łeb i zarżał cicho, a jego pan złapał za ogłowie i dźwignął się na kolana. Był całkiem odrętwiaty. Nie wiedział, jak długo leżał na śniegu, ale przemarzył na wskroś, a jego ubrania przesiąkły wilgocią.

Żmijka prychnął głośno i trącił go łbem. Mads o mało nie przewrócił się z powrotem na śnieg. W ostatniej chwili oparł się ręką o pień pobliskiego drzewa i raz jeszcze potrząsnął głową.

– Rzuciła na mnie jakiś czar – wychrypiał zamroczony i rozejrzał się wokół. – Pieprzona, podstępna...

Żmijka zarżał głośno, jakby chciał zaprzeczyć tym słowom, i znów trącił go łbem. Mads mrużył oczy i przecierał je dłonią, aż uświadomił sobie, że ognisko, jeszcze przed chwilą rozświetlające blaskiem całą okolicę, przygasło i ledwie się tliło.

Światła wystarczyło jednak, by dostrzegł przemykający między drzewami cień, ogromny i przygarbiony.

Poznał go natychmiast.

– Hej! – wychrypiał. – Brunhard! Stój, ty...

Tuistanin zatrzymał się i zerknął za siebie. Blask słabych płomieni odbił się od ostrza trzymanego przezeń noża.

Tego samego noża, który Mads upuścił w śnieg tuż przed pojawieniem się Oriany.

– Dokąd się wybierasz, co? – wychrypiał Voorten. Podniósł z ziemi miecz i zrobił kilka chwiejnych kroków w stronę jeńca.

Tuistanin znajdował się w odległości kilkunastu kroków, mimo to Mads dostrzegł dziki błysk w jego oczach. Błysk, w którym rozpacz mieszała się z nadzieją i strachem.

Brunhard wzniosł nóż i skoczył w stronę plamy cienia między korzeniami drzew. Cienia osobliwie przypominającego ludzką sylwetkę.

– Stój! – ryknął Mads.

Odrętwienie i zamroczenie opuściły go w jednej chwili. Tknięty szalonym strachem, skoczył ku Brunhardowi, ale ten padł już na kolana, a jego nóż zataczał łuk.

Leżąca przed nim Oriana obudziła się nagle, jakby dzięki swej Mocy wychwyciła zbliżające się zagrożenie. Otworzyła szeroko oczy, tym razem przepelnione zgrozą, i zdołała się dźwignąć na łokciu, ale w tej samej chwili nóż trzymany przez Brunharda wbił się z młaśnięciem w jej chudą pierś.

Ku nagim, czarnym koronom drzew pomknął upiorny wrzask mordowanej kobiety. Jej krzyk uwolnił falę ognistej magii, która

odrzucała Brunharda do tyłu. Mężczyzna zatoczył się i dymiąc, runął na plecy, tuż pod nogi Madsa.

Voorten nie wahał się ani sekundy. Bezlitosnym kopnięciem zmiażdżył earlowi żuchwę, a potem obrócił miecz i wbił go prosto w odsłonięte gardło jeńca. Wyszarpnął ostrze i spojrzał na Smoczą Strażniczkę.

Nad Orianą unosił się rzedniejący blask, wystarczający, by Mads ujrzał rękojeść sztyletu sterzącą z jej piersi. Przyskoczył do kobiety i padł na kolana.

– Na smród z mordy Smoczycy – zaklął bezradnie. – Nie, tylko nie to! Tylko nie teraz!

Powieki Oriany drgnęły. Smocza Strażniczka rozchyliła je powoli, z niemalże heroicznym trudem, a potem znów zamknęła.

Żyła.

# Rozdział ósmy



Oddział lekkiej kawalerii wyłonił się z lasu, przegrupował się na trakcie, którym kilka dni temu przeszła armia Tuistan, i w zwartym szyku ruszył na południe, w stronę Brzasku.

Kilku jeźdźców na czele oddziału trzymało włócznie z furkoczącymi błękitnymi chorągiewkami.

– To Wiatr! – wychrypiała Elinaare i odwróciła głowę w stronę stojącego w progu Malhorna. – To oni!

Głuchoborzanin pomógł kobiecie usiąść na ławce przed chatą, a potem wbiegł do szopy, skąd wyprowadził swego rumaka. Nie zawracał sobie głowy zakładaniem siodła – narzucił zwierzęciu ogłowie z wodzami, wspiał się z zydła na grzbiet i dźgnął piętami końskie boki. Zaraz mknął już ku jadącym stępa kawalerzystom.

Kobieta nie potrafiła cierpliwie czekać. Widok oddziału, któremu przewodził teraz jej syn, obudził w niej falę emocji. Serce biło jej jak szalone, w skroniach szumiała krew. Nagle nie pamiętała już o niemocy, która ogarnęła ją po wyczerpującym starciu z Hoydnem. Nie miała pojęcia, co było jej przyczyną ani jak długo przeleżała na śniegu, ale dolegliwości nie ustąpiły nawet po tym, jak Malhorn zaniósł ją do łóżka. Jej czaszkę świdrował ból i męczyły ją potworne mdłości, przez co nie zmrużyła oka. Parokrotnie wychodziła za próg, by zwymiotować, ale bez skutku. Jej ciałem wstrząsały tylko suche torsje, a gdy wracała na posłanie, czuła się jeszcze gorzej.

Ostatnia fala nudności, która dopadła ją, gdy próbowała wmusić w siebie śniadanie, kazała jej opuścić izbę właśnie w momencie, gdy pojawił się Wiatr. Tego poranka chmury wreszcie się rozstąpiły i śnieżną dolinę zalał złocisty słoneczny blask, który tylko spotęgował ból głowy. Elinaare nie dbała jednak o nic – osłaniając oczy, wpatrywała się w oddalającego się Malhorna, ku któremu odbiło paru zwiadowców. Widziała, jak spotykają się w połowie drogi i zatrzymują, by zamienić kilka słów, a potem cały oddział zawraca i rusza ku chacie.

Serce biło jej jak szalone, mało nie wyskoczyło z piersi. Bezwiednie poprawiła płaszcz, odgarnęła włosy z czoła, zwilżyła wargi i czekała, niepomna już swej słabości.

Obok Malhorna jechał Dunstan.

Wpatrzona w niego, nie słyszała tętentu setek kopyt, prychnania koni, chrzęstu oreża ani poskrzypywania skóry. Nie słyszała łopotu błękitnych proporców ani okrzyków, jakie kawalerzyści

wydawali na widok cielska Hoydna. Całym światem Elinaare stał się bowiem jej syn, wyprostowany w siodle, pobladły, jakby dochodził do siebie po odniesieniu ciężkich obrażeń, lecz mimo to dumny i skupiony. Widziała zarost na jego policzkach, błyszczące oczy i jasny, potargany warkocz na ramieniu. Zauważyła swobodę, z jaką powodował koniem, wyczuła też otaczający go autorytet, niezaprzeczalny i niepodważalny.

Zacisnęła zęby, by opanować wzruszenie. W ciągu kilkudniowej kampanii na czele Wiatru Dunstan osiągnął to, co na próżno usiłował zdobyć podczas wielomiesięcznej kampanii w Dzielnicy Centralnej.

Stał się dowódcą.

Dunstan osadził konia kilka kroków przed nią i zeskoczył na ziemię. W ruchach syna dostrzegła sztywność, zdawało jej się też, że przez jego oblicze przemknął grymas bólu.

Stłumiła odruch wypytania go, czy wszystko z nim w porządku. Był wszak dorosłym mężczyzną, nie potrzebował jej troski, a już na pewno nie w obecności świadków, starych wiarusów.

– Matko. – Dunstan pochylił przed nią głowę.

– Witaj, synu – powiedziała Elinaare.

Poskromiła chęć rzucenia się mu na szyję. W oczach syna widziała najrozmaitsze emocje – od zażenowania i niepewności aż po... Czyżby ulgę?

– To bardzo zaskakujące spotkanie – wyrzekł w końcu młodzieniec, przełknąwszy ślinę. – Spodziewałem się zastać ciebie dopiero w Brzasku.

– Kilka spraw uległo zmianie – odparła sztywno. – Musimy to omówić na osobności.

– Tak też zrobimy – odparł Dunstan. Zerknął nad jej ramieniem i dopiero wtedy zwrócił uwagę na zewłok Smoczęcia.

– Czy to... – spytał zmienionym głosem, ale dalsze słowa uwieźły mu w gardle.

– Tak – odparła cicho była Strażniczka. – To Hoydn.

– Kto go zabił? – wykrztusił wreszcie Dunstan.

– Ja – odparła kobieta. – Ja i księżę Malhorn.

Młody wojownik wciągnął powietrze ze świstem.

– Z koni – rzucił za siebie, a potem obszedł matkę i wolnym krokiem ruszył w kierunku smoczego truchła.

Elinaare patrzyła za nim przez kilka chwil, po czym odwróciła się ku nowo przybyłym. Jeźdźcy zeskakiwali z siodła, przeciągali się i wiazali konie. Niektórzy pozdrawiali ją skinieniami, inni,



śmielsi, podchodzili do Malhorna i kłaniali się przed nim, a ten ścisnął im prawice, wychwalał ich odwagę i poklepywał po plecach. Niebawem zgromadził się wokół niego spory tłum, a wtedy Elinaare dostrzegła towarzyszy Madsa.

Chryja uśmiechał się ponuro, Tluhir unikał jej spojrzenia, Vask kiwał głową, jakby do swych myśli. Blady Pokrzewka wspierał się na ramieniu Borsuka i oddychał ciężko, z wyraźnym trudem. Otluk wyglądał, jakby właśnie przestał płakać.

Elinaare podeszła do nich powoli. Wszyscy jak jeden ukłonili się lekko, na co kobieta potrząsnęła gwałtownie głową.

– Przestańcie – wychrypiała cicho. Jej uniesienie z wolna opadało, a wtedy znów pochwyliły ją nudności. – Przestańcie, ja już... ja już za nic nie odpowiadam. Gdzie Voorten?

– Pułkownik kazał nam spier... – zaczął Chryja, ale ugryzł się w język. – No, wynosić się. Wszystkim. A wcześniej pożegnał się ze smoczyką.

I ze mną, dodała w myślach Elinaare.

– Został sam – dorzucił Borsuk. – Z jeńcem ino. Tym wygadany Smoszczurem.

Kobieta pokiwała głową i opatulila się ciałniej płaszczem.

Czyli postanowił doprowadzić swój plan do końca, pomyślała. Szaleniec. Koszmarny, beznadziejny szaleniec.

– I odjechaliście? – spytała.

– A cośmy mieli zrobić? – Chryja wzruszył ramionami. – Rozkaz padł.

– A pułkownik wprzód nam wyjaśnił, że to wszystko już nie nasza sprawa – dodał Vask. – Że dość już się nawalczyliśmy.

– Tylko że głupio tak jakoś – odezwał się z trudem Pokrzewka.

Chłopak mrużył oczy, oślepiiony porannym, zimowym słońcem. Wspierał się na ramieniu Borsuka i oddychał łapczywie, jakby i on powstrzymywał wymioty. Elinaare ściągnęła brwi.

– Głupio, Pokrzewka, to zdrowiem szastać – powiedziała, siląc się na surowy ton. – Coś mi mówi, chłopcze, że te twoje wywary źle na ciebie działają. Dałbyś sobie z nimi spokój na jakiś czas, co?

– To nie zioła – wyszeptał chłopak. – Nie piłem wywaru od... wielu godzin. Tak mam od nocy... kiedyśmy wszyscy padli...

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zdziwiła się Elinaare. – Jak to wszyscy padliście?

– Padliśmy i tyle. – Chryja rozłożył potężne ramiona. – Jakieś dwie godziny po tym, jakeśmy ogniska Wiatru zobaczyli i spotkali

się z chłopakami. Wszyscy padli tak, jak stali, łącznie z wartownikami.

– Nikt nie wie, co to było. – Vask splunął na śnieg. – Po mojemu jakieś czary plugawe.

– Pierwsi z nas podnieśli łby po godzinie – dodał Borsuk. – Mniej więcej. Ogniska zaczęły się wypalać, a więc pewnie więcej czasu nie upłynęło.

– Po godzinie – mruknęła zaintrygowana Elinaare. – Nie popiliście się aby? Nikt was nie napadł ani nie okradł? Nikt nie doświadczył żadnych snów czy wizji?

Kawalerzyści pokręcili głowami, a po ostatnim pytaniu Chryja prychnął głośno i rzekł:

– Ino chłopak nam się trochę pochorował, ale, o ile pomnę, po zdobyciu Brzasku było mu jeszcze gorzej.

– Boście mi jakiegoś świństwa do kufla nalali i... – Pokrzewka ożywił się nagle, ale umilkł z rozdziawionymi ustami, gdy wyrósł przed nim Głuchoborzanin.

– Wyście Voortenowa kompania – wyrzekł głucho Malhorn.

– Myśmy, książę – odezwał się Vask, który oprzytomniał jako pierwszy i pozdrowił rycerza ukłonem. W jego ślad poszli pozostali, ale rycerz pokręcił głową.

– Słyszałem o waszej robocie w Szelagu – powiedział głucho. Nagle powiało niebezpiecznym chłodem. – W siódemkę zdobyliście twierdzą, o którą moi przodkowie mordy sobie rozbijali. W siódemkę.

Sapnął i zgrzytnął zębami, jakby z trudem panował nad wściekłością.

– Malhorn. – Elinaare położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wy nieszczęsne skurwysyny – wycodził rycerz. – W siódemkę.

– W ósemkę – poprawił go bezczelnie Chryja, patrząc mu prosto w oczy. – Smoka mielim. Głupkowatego, ale zawsze smoka.

Malhorn zacisnął powieki. Elinaare ujęła jego ramię drugą dłonią, ale rycerz strząsnął ją niecierpliwie.

– Szeląg to nasze dziedzictwo, bez względu na to, co wam Voorten nagadał – powiedział ze złością. – Nasze, psia mać, głuchoborskie! Nienawidzę tej waszej kompanii bardziej niż Smoszczurów, ale podziwiać każdego z osobna nikt mi nie zabroni. Udał żeś mi się, łajdaku jeden. Niechże ci łapsko uścisnę.

Elinaare cofnęła się o krok i z lekkim uśmiechem przyglądała się Malhornowi, który wylewnie witał się z kompanią Madsa, nie

przystając zasypywać kawalerzystów wulgarnymi przekleństwami. Wreszcie odwróciła się w stronę trupa Hoydna.

W samą porę, bo Dunstan, który skończył właśnie oględziny okaleczonego Smoczęcia, wymierzył mu potężnego kopniaka, a potem wyszarpnął miecz z pochwy i wbił mu go w czaszkę. Cofnął się, jakby znudzony tym wysiłkiem, a potem oboje, matka i syn, ruszyli ku chacie.

\*

– Co tu właściwie robisz? – spytał Dunstan, który, zdjawszy hełm, usiadł na ławie.

Elinaare zajęła miejsce naprzeciwko syna.

– Nie wiem – odparła, splatając dłonie. – To znaczy nie mam pewności. W Brzasku... Cóż, próbowałam przeprowadzić negocjacje z Wichrogórczan, Pohorców i Głuchoborzan w sprawie podziału Dzielnicy Centralnej, ale... uświadomiłam sobie, że nie mam do tego ani prawa, ani cierpliwości.

– Nie masz prawa? – odezwał się ostro młodzieniec. – Co ty wygadujesz? To myśmy przepędzili Smoszczury, matko! Myśmy wyzwolili Brzask! Myśmy zmusili tych szubrawców do ucieczki!

Chciał się poderwać, ale przeszył go nagły ból. Z pobladałą twarzą nachylił się nad białym blatem ławy, z furją zaciskając pięść.

– To ty tak to widzisz – powiedziała zimno Elinaare. Na niczym nie zależało jej bardziej niż na pogodzeniu się z synem, ale już dawno uznała, że nie będzie mu w niczym schlebiać. Wiedziała, że Dunstan powinien zostać odarty ze wszelkich złudzeń. Dla własnego dobra. – Nikt Tuistan nie zmusił do odwrotu – dodała cicho. – Spytaj księcia Malhorna, który osobiście dowodził oblężeniem Łoskotu. Spytaj Pohorców czy Wichrogórczan, a od nich wszystkich usłyszysz tę samą historię. Tuistanie sami odeszli. Mogli wypowiedzieć nam wojnę, w której zapewne odnieśliby zwycięstwo, ale zrezygnowali z oporu.

– Czy to nie dowód na to, że dopiekiśmy im do żywego? – wyrzekł Dunstan, unosząc głowę.

– Możliwe, choć z tego, co twierdzą trzeźwiejsi dowódcy, raczej mało prawdopodobne. – Elinaare świdrowała syna lodowatym spojrzeniem. – A to, że nadal nie wiemy, dlaczego Tuistanie porzucili swe dominium, wcale nie dowodzi słuszności twojej tezy. To raczej powód mojej niekończącej się zgryzoty. Bo należę do tych nielicznych, którzy przypuszczają, że nad światem zawisło

straszliwe, nieznanie niebezpieczeństwo, przed którym umknęli nawet Tuistanie. Dlatego też ani w głowie mi bawić się w podziały terytorialne i budowanie strategii politycznych.

– Bez względu na to, co siedziało we łbie Królowi-Wieszczowi – Dunstan zacisnął pobielale pięści – doprowadziliśmy armię pod jego bramy! I dlatego należy nam się udział w zwycięstwie!

– Nam? – Elinaare uniosła brew. – Czyli komu? Masz na myśli Voortena, który wypiął się na cały świat i, jak sądzą wszyscy naokoło, stracił życie tamtej nocy? Czy może mnie, Tuistankę i była Smoczą Strażniczkę? A może siebie, również Tuistanina, a do tego wychowanego w świecie elfów? Jesteśmy tylko grupą znużonych bojowników, których połączył los. Nie reprezentujemy żadnego rodu, stronnictwa ani państwa.

– Ale mamy armię! – prychnął Dunstan.

– Mieliśmy – powiedziała cicho Elinaare. – Wielu z twoich ludzi wróciło już do domów, inni dołączyli do hufców swoich władców, a niejeden powiesił miecz na kołku i zastanawia się, co zrobić z resztą swojego życia.

– Gdybyś tam została, nie musieliby o niczym myśleć! – zawołał młodzieniec. – Gdybyś stanęła po ich stronie...

– Za kogo ty mnie masz? – Elinaare odezwała się tak ostro, że Dunstan aż się wyprostował.

Wpatrywał się w matkę szeroko otwartymi oczami, jakby nagle sobie przypomniał, że ta przecież do niedawna była Smoczą Strażniczką, przerażającą kapłanką prawdziwej bogini.

– Za kogo ty mnie masz? – powtórzyła ciszej, kręcąc głową. – O ludzi się martwisz, tak? O swoich dawnych żołnierzy? Wiesz więc, że wynegocjowałam dla nich całą dzielnicę w Brzasku, a do tego sporo ziemi w każdej z trzech części Dzielnicy Centralnej. Chcesz przeczytać traktat?

Gwałtownym gestem sięgnęła do sakwy, wydobyla skórzany rulon i położyła go między nimi.

– Dałbyś im to samo, Dunstan? – spytała szeptem. – Bo tego właśnie potrzebują. Schronienia. Bezpieczeństwa. Przyszłości.

– Myślisz... – zaczął młodzieniec, ale głos go zawiódł, zaczął drżeć z emocji. – Myślisz, że nie potrafię się zatroszczyć o własnych podwładnych?

– Oczywiście, że potrafisz – odparła Elinaare. – Ale jeszcze nie masz tej świadomości. Przyznaj, synu. Wracales do Brzasku na kolejną wojnę, prawda?

– Nie! – zachnął się Dunstan. – Chciałem tylko... Miałem nadzieję na korzystne zakończenie negocjacji i...

– Czyli, innymi słowy, na udarcie kawałka ziemi dla siebie. – Elinaare wpatrywała się w niego zmrużonymi oczami. – Możliwie jak największego. Chciałeś, by uznano twoją sławę wojenną. By potraktowano cię na równi z innymi uczestnikami rozmów. Liczyłeś na tytuł książe, fanfary i własny proporzec.

Dunstan wciągnął powietrze w płuca. Drżał na całym ciele.

– Głupota – wychrypiał. – Głupota, prawda? Mrzonki! Marzenia nadętego smarkacza! Wiem, co sobie myślisz. Niezły ma tupet ten mój Dunstan, no nie? Po władzę chce sięgnąć! Po wpływy! Kompletnie zapomniał, że jest tuistańskim bękartem, chowanym przez elfy i zdominowanym przez smoka!

– Osiągnąłeś bardzo dużo – rzekła Elinaare, na pozór nieporuszona jego wybuchem, choć na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy. – A mnie zależało tylko na tym, byś nie zakończył wojny zdobyciem nowych wrogów.

Wyjęła z sakwy nowy rulon, na co Dunstan poderwał się z miejsca. Zgiął się, przeszyty nieoczekiwanym bólem, ale znów się wyprostował. W jego oczach lśniła nienawiść.

– Nie – wydyszał. – Jeśli chcesz mi powiedzieć, że nie muszę się już o nic starać, bo dla mnie też zaklepałaś trochę ziemi, to daruj sobie. Naprawdę. Jestem trochę za stary na prezenty od mamy. Sam zdobędę to, na czym mi zależy.

– Dunstan! – zawołała Elinaare, tracąc panowanie nad sobą.

– Mam na imię Bielik – rzucił młodzieniec i skierował się ku drzwiom.

Te niespodziewanie stanęły otworem, a w progu stanął Malhorn, wypełniając sobą całą futrynę. Zza jego pleców do środka zerkał przestraszony Otluk.

– Cokolwiek robicie, zostawcie to na później – oznajmił. – Voorten żyje i... Na łajno Smoczycy, nie macie pojęcia, co tym razem odpiardolił.

\*

Po tylu dniach szarówki i śnieżyc Mads Voorten powitał blask słońca z nieskrywaną ulgą, co objawiło się w zupełnie nietypowy dla niego sposób.

Rozgadał się jak nigdy wcześniej.

– Pewnie masz mnie za kompletnego idiotę – powiedział do Żmijki. – No, przyznaj się, koniku. Co sądzisz o swoim jeźdźcu, co?

Trzymał go mocno za uzdę i prowadził między drzewami, wybierając jak najwygodniejsze zejście dla konia, który, choć urodził się na mroźnej Pustaci, do brnięcia przez zasypany nie nadawał. Zbocze było zdradliwe – tu i ówdzie pod śniegiem kryły się ostre, śliskie głązy, głębokie doły czy zasypane gałęzie – zdarzało się też, że teren opadał pod niebezpiecznym kątem, a słońce oślepiało obu wędrowców.

– Przeciągnąłem cię przez dwie kampanie wojenne – sapał Mads, zsuwając się po zboczu. – Zaraz, nie dwie. Trzy. Zafundowałem ci tysiące mil wędrowki po pustkowiach, kilkanaście szarż, parę potyczek i niewolę u krasnoludów. Karmili cię chociaż dobrze?

Koń prychnął niezobowiązująco.

– Wiedziałem. – Mads się skrzywił. – Pieprzone knypki. Wyglądali mi na takich, co się na koniach nie znają. Bo gryf to nie koń, prawda? Niby latać potrafi, ale źle mu się jakoś ze ślepi patrzy, a ten smród... Na łajno Smoczyca, można by Czochora w gnoju wytarzać, a i tak wolałbym z nim zasiąść do posiłku. – Poklepał konia po pysku. – Nie to, co ty, Żmijka. Uwielbiam ten twój smrodek z pyska. Po prostu uwielbiam.

Rumak prychnął z niedowierzaniem.

– Tak, wiem, roztkliwiam się. Bo ja uczuciowy człowiek jestem, Żmijka. Ciągłe muszę wojować, to nie widzisz tego na co dzień, ale wierz mi, że mam wielkie serce.

Koń zarżał ostro. Mads, nie przestając gadać, prowadził go w dół.

– Dobra, dobra. Już się zamykam. Patrzcie go, jaki wrażliwy. Bo chodzi mi głównie o to, że...

Żmijka znów przerwał mu prychnięciem. Mads zmełł przekleństwo, ale w duchu musiał zgodzić się z koniem – zbliżali się do ostatniego odcinka zejścia, który sprawiał wrażenie niebezpiecznego. Voorten zwolnił i ostrożnie, powoli stapał między ostrymi skałkami. Pot wystąpił mu na czoło, tym bardziej że kilka razy się poślizgnął i w ostatniej chwili uchronił się przed upadkiem, łapiąc za gałąź. Szczęśliwie Żmijka stapał nieco ostrożniej i w końcu obaj zdołali bezpiecznie dotrzeć na sam dół doliny.

Drzewa zostawili za sobą. Śnieg już dawno zasypał ślady pozostawione przez gigantyczny tuistański pochód i jak okiem

sięgnąć nie było wokół znać ludzkiej bytności. Słońce stało wysoko na niewinnie błękitnym niebie, a biel równiny mieniła się miriadami drobnych błysków, tak jaskrawych, że przyzwyczajony do półmroku lasu Mads zmrużył oczy.

– Chodzi mi o to – podjął, zdyszany – co myślisz o moich pomysłach. W sensie... który twoim zdaniem był najgorszy, co?

Żmijka targnął łbem.

– Czyli ten, tak? W porządku. Wcale się nie obraziłem.

Rozległo się ciche pokasływanie. Prowadzący konia Mads zwolnił nieco i odwrócił się w stronę ciała przewieszzonego przez siodło.

– Voorten? – rozbrzmiał ledwie słyszalny szept.

– Pewnie, że Voorten – prychnął pułkownik. – Któż inny byłby na tyle głupi. Jakies życzenia?

Oriana z trudem uniosła głowę. Była blada jak zamieć śnieżna. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale jedynie się rozkaszała.

– Dziwnie się poukładało, co? – ciągnął Mads. – Nawet bardzo dziwnie, rzekłbym. Kto by pomyślał. Jeszcze parę godzin temu to ty trzymałaś mnie za jajca, a teraz? Spójrz tylko na siebie. Ach, przepraszam. Nie możesz. Cóż, wybacz. Mimo naszej zażyłości musiałem cię skępować, zwłaszcza że ostatnio zwykłaś jej zaprzeczać.

Nie odwracając się, wyjął z kieszeni płaski otoczak z wywierconą w środku dziurą. Przez nią przewleczony był srebrny łańcuch, niezwykle mocny, czego Mads dowiódł kilkoma szarpnięciami.

– Przykro mi, ale zabrałem twoją zabawkę – rzucił, kołysząc otoczakiem w powietrzu niczym wahadłem. – Poznałem twój sekret, Oriano. Wiem, skąd się bierze twoja moc. Wstydz się. Kto by pomyślał, że się znizysz do okradania wichrogórskich magów.

Smocza Strażniczka zakasłała jeszcze raz, a potem zwymiotowała. Żmijka prychnął zjadliwie.

– Choć przyznam, Strażniczko, że mi zaimponowałaś – ciągnął Mads. – Podczas tygodni, które spędziliśmy razem w lochach pod Brzaskiem, nie widziałem u ciebie nawet cząstki Mocy, którą władasz teraz. To pchnięcie, które zadał ci braciszek, prawie na pewno sięgnęło serca. A ty żyjesz. Ciekawe.

– Voorten, wypuść mnie – wyszeptała Smocza Strażniczka.

Mads uniósł brwi.

– Zapewniam cię, o niczym innym nie marzę. Tylko, widzisz, ja wciąż należę do owego minionego świata, który z taką ochotą

zostawiłaś za sobą, a w tym świecie liczą się uczucia. – Zamilkł i podjął po pokonaniu kilkunastu kroków: – Wypuszczę cię, jeśli oddasz mi Hunnę. A jeśli nie... Cóż, Oriano, mam czas. Nie wiem, czy mi się to uda, ale postaram ci się oddać cały ból, który mi zadałaś. Z nawiązką.

Oriana splunęła parokrotnie, z wyraźnym trudem, a potem znów coś wyszeptala. Mads, nie puszczając uzdy Żmijki, przystanął i się odwrócił.

– Co? – spytał ostro. – Co bredzisz?

– Ból... nie ma... znaczenia...

– Hmmm... Przekonamy się – oznajmił Mads i znów ruszył przed siebie.

Zerwał się delikatny wiatr, który lekko unosił garście białego puchu i przetaczał je po śnieżnych połaciach. Słońce migotało, obojętne na ludzkie sprawy. Mads poczuł, jak ogarnia go znużenie, i zamilkł, wsłuchany w chrzęst śniegu pod swymi butami i kopytami Żmijki.

Dopiero teraz, gdy wszelkie emocje opadły, zrozumiał, że mu się udało. Jego szaleńczy plan przebiegł co prawda inaczej, niż to sobie zaplanował, ale udało mu się przeżyć, a do tego spętał i porwał swego największego wroga. Wiedział, że bliżej Hunny już się nie znajdzie.

Że to jego ostatnia, ale zarazem największa szansa.

Wciągał w płuca mroźne powietrze i wpatrywał się załzawionymi oczami w dal. Wspomnił muskana wiatrem biel tamtej jedynej zimy, którą spędził z Hunną w Pustaci. Był wówczas – po raz pierwszy i ostatni w życiu – naprawdę szczęśliwy.

– Hunna była szamanką – powiedział cicho. – Wiesz, Strażniczko? Nigdy nikogo nie poprowadziła na wojnę, a zresztą Piołanie nie walczyli ze Smoszczurami. Była kapłanką natury. Czytała przyszłość, gawędziła z duchami przodków, odbierała porody, leczyła rany. Wyszywała rękawiczki dla dzieci swych współplemieńców. Śpiewała przyciszonym głosem, zwłaszcza gdy pracowała na dworze. Znała najlepsze miejsca do łowienia pstrągów. Nikt na całej Pustaci nie miał lepszej ręki niż ona do układania koni. Gdy do niej mówiłem, wpatrywała się we mnie intensywnie, jakby chciała wejrzeć w mą duszę. Nie dlatego, że mi nie ufała, skąd. Po prostu wsłuchiwała się w rzeczy, o których nikt nie miał pojęcia. Równie znacząco trzymała mnie za rękę, jakby i dotykem umiała dotrzeć do istoty mego jestestwa. A dłonie, wiedz, miała zawsze ciepłe, nawet podczas najsroźszych



burz. Jej włosy pachniały wiatrem i wrzosem, a gdy padał na nie blask polarnego słońca...

Głos mu uwiązał w gardle. Wściekłym gestem otarł łzy. Spodziewał się prychnięcia ze strony Żmijki albo zgryźliwego komentarza Oriany, ale żadne z nich nie zareagowało na jego słowa.

– A ty... – podjął chrapliwie – a ty ją pojmałaś. Wyrwałaś z plemienia, zniewoliłaś, zamieniłaś w posąg. W grudę pieprzonego granitu. Zdusiłaś najcudowniejsze życie w całych Rozkrzyczanych Krainach, wiedzmo. Na lata upchnęłaś je w kamień. Jesteś godna wszystkich cierpień, jakie na ciebie ześle! Świat falował i drżał wśród łez.

– Oddasz mi ją – wyrzekł Mads łamiącym się głosem. – Oddasz, a ja znajdę sposób, by przywrócić jej życie. Jeśli zaś mi się sprzeciwisz...

Trząsł się z emocji, tłumionych od chwili, gdy ukradkiem opuścił Brzask. Szlochając, padł na kolana, przytknął gorące czoło do śniegu i tkwił tak, obojętny na zimno i niewygodę, aż przez jego rozpacz przebił się bodziec z zewnątrz.

Tętent kopyt paru, parunastu kopyt.

Mads wytarł nos i oczy, a potem z niemalym trudem się dźwignął. Wśród tumanów śniegu majaczyły postacie zbliżających się jeźdźców, rozmazane w oślepiającym blasku słońca.

– Jada tu moi przyjaciele – powiedział do Oriany. – Lepiej się zachowuj. Żadnego rzygania.

\*

Elinaare padła Madsowi w objęcia i ucałowała go w zarośnięte policzki. Voorten, szczerząc się w szerokim uśmiechu, uścisnął dłoń Chryi, Tluhirowi, Borsukowi i Vaskowi, przygarnął do piersi pobladłego Pokrzewkę i zmierzwił mu marchewkowe włosy, a potem uścisnął Otluka, który ronił rzewne łzy, tym razem radości i wzruszenia.

– Bo myśmy już myśleli... – powiedział z trudem Tluhir. – Że... pan pułkownik... coś głupiego sobie zamyślił. Coś, co się źle skończy.

– Baliście się o mnie? Coś podobnego – rzucił lekko Mads, ale odwrócił się szybko. Wiedział, że Pohorcem powodowały niemałe emocje, skoro pokonał barierę wstydu i zdołał skłecić całe zdanie. Ścisnął mu więc ramię i odwrócił się do Chryi, który już

odkorkowywał manierkę i podtykał mu pod nos. Oczy łzawiły od samego zapachu, ale Mads bez wahania pociągnął tęgi łyk. Kaszłąc, oddał naczynie topornikowi, a ten również sobie gołnął.

– Ale ja wiedziałem, że niebawem znów się spotkamy! – upierał się Chryja. – Bo pan pułkownik już nieraz raczył się pod ziemię zapaść. Nawykłem i tyle.

– Ja natomiast nie wiedziałem, Voorten – rzekł Malhorn, który stał kilka kroków dalej z ramionami założonymi na szerokiej piersi i przyglądał się powitaniu z uśmiechem. – I muszę sobie zakarbować w pamięci, by na przyszłość wyśmiać wszystkie plotki o twej śmierci. Nie ma trupa, nie ma zgonu, i tyle.

– Skoro już o śmierci i trupach mówimy – Mads zakasłał raz jeszcze i przetarł oczy – nie miałbyś może ochoty poruszyć sprawy Szelagu?

– Brakuje ci, jak widzę, rozrywki – rzekł głuchoborski rycerz.

– Nie, nie brakuje. Ale pod Grzywaczem się nie krępowalesz. – Voorten wbijał w Głuchoborzanina przenikliwe spojrzenie. Kątem oka ujrzał że Elinaare zrobiła krok ku nim, jakby chciała zdusić rodzącą się kłótnię, ale zatrzymała się, przypuszczalnie zrozumiałwszy, że są sprawy, które starzy kompani muszą załatwić między sobą.

Malhorn spowaźniał.

– A gdybyśmy zrzucili wszystko na moją porywczą naturę? – odezwał się, wodząc wzrokiem po śnieżnym pustkowiu.

Mads wiedział, że Malhorn nie potrafił powiedzieć niczego, co byłoby bliższe przyznaniu się do winy, mimo to prychnął wzgardliwie.

– Porywczą naturę? – spytał, krzywiąc się. – Chcesz powiedzieć, że naraziłeś przyszłość kampanii, bo byłeś tego dnia w kiepskim nastroju?

– Moglibyśmy również – dodał tamten – wziąć pod uwagę nieustające naciski ze strony Rady Dziedziców, które utrudniają ocenę sytuacji.

– Jeszcze lepiej – uznał Mads. – Czyli naskoczyłeś na mnie w samym środku pola bitwy, bo jakieś dziady suszyły ci głowę?

– Naskoczyłem na ciebie – głos Malhorna ochłodził – bo w tajemnicy dogadałeś się z wrogami mego ludu. Gdybyśmy mieli czas, by to wszystko przegadać, zapewne inaczej by się nasza sprzeczka skończyła. Ale owego czasu, jak pamiętasz, nie było.

– Sprzeczka, dobre sobie – sarknął Voorten. – Mało brakowało, Malhorn, a przegryzłbyś mi gardło!

– Pretensje możesz mieć tylko do siebie – rzucił zimno Malhorn. – Bo mogłeś wcześniej wtajemniczyć mnie w ten swój posrany plan.

– Wtedy byś nigdy nie przyjechał pod Grzywacz. – W oczach Madsa pojawił się błysk.

– No właśnie. – Rycerz stęknął i uniósł głowę ku niebu. – Nie dość, że jesteś pieprzonym, złośliwym intrygantem, to jeszcze masz czelność mieć do mnie żal? Najpierw dogadałeś się z naszym wrogiem, a potem jeszcze wyrwałeś nam z rąk Szeląg!

– Nie wam, tylko Smoszczurom – bąknął Mads. – A konkretnie tej wywołce.

Wskazał kciukiem przytroczoną do siodła Smoczą Strażniczkę.

– W żadnym wypadku cię to nie usprawiedliwia – westchnął rycerz.

– Zgadza się, nie usprawiedliwia – przyznał beztrósco Mads. – Wiem, co zrobiłem, Malhorn. Wiem też, jakie są tego konsekwencje. Zarówno sojusz z krasnoludami, jak i odbicie Szelągu to dla was zdrada stanu, ale nie widziałem wyboru. Gdybym nie zdecydował się na pierwsze, nigdy nie dotarłbym aż pod Grzywacz. Gdybym nie zgodził się na drugie, knypki wymordowałyby mi ludzi, wobec czego oburzenie starych dziadów z tej waszej Rady Dziedziców wisi mi jak zmurszały popręg. – Urwał i przyjrzał się Malhornowi uważniej. – Tobie, coś mi mówi, chyba również.

Rycerz przekrzywił głowę.

– A niby skąd ten wniosek?

– Bo wyjechałeś z Brzasku, zamiast zajmować się tym, co twoi zacni ojcowie potrafią najlepiej, czyli knuciem, rozpamiętywaniem dawnych krzywd i upijaniem się.

– Odpieprz się, Voorten – rzucił Malhorn, jednak bez złości.

– No, przestań się bocyć. – Mads zrobił kilka kroków ku Głuchoborzaninowi. – I przepraszam za ten Szeląg. Jakoś tak wyszło.

– Jesteś skończonym pomyłencem, Voorten.

– No. Jestem.

Padli sobie w ramiona. Przez chwilę stali nieruchomo, poklepując się po plecach i obrzucając się przekleństwami z pasją ludzi, którzy kiedyś poznali swą wartość i zbudowali niełatwą, chropowatą przyjaźń.

– A już myślałam – powiedziała Elinaare, gdy odstąpili od siebie – że zaraz sięgniecie do mieczy.

– Na to nie ma specjalnie czasu – burknął Malhorn. – Pułkownik Voorten dość chyżo umyka, a ja nie zamierzam go gonić po śniegu.

Mads wywrócił oczami i zmierzył Głuchoborzanina spojrzeniem pełnym wzgardy, co wywołało ucieszny rechot jego podkomendnych.

– Zwłaszcza że mamy inną sprawę do przegadania. – Malhorn przeniósł wzrok na przytroczoną do siodła kobietę. – Ze wszystkich rzeczy, jakie w życiu odwalileś, Voorten, ta akurat to największe...

– Wiem – przerwał mu Mads. – Mój koń też tak sądzi.

Elinaare stała już przy Orianie. Obróciła delikatnie jej głowę, by obejrzeć twarz, a potem uważnie sprawdziła tętno i spojrzała na ranę na plecach.

– Na litość Pani – wyszeptala. – Ona powinna nie żyć!

– I to od lat – zgodził się Mads z ponurą miną.

– Zdejmij ją – rozkazała. – W tej chwili ściągnij ją z siodła.

Voorten nie bez trudu rozsuptał zeszywniałe od zimna więzy i wykonał polecenie. Przez moment trzymał strażniczkę w ramionach, lekką niczym słomianą kukłę, i czekał, aż Pokrzewka i Borsuk rozłożą na śniegu dwie derki, a na nich kilka baranich skór.

– Połóż ją – mówiła dalej Elinaare. – Rozpalcie przy niej jakieś ognisko i zagrzejcie wody. Zostaniemy tu przez jakiś czas.

Słońce skryło się za chmurami i grupa wędrowców nagle znalazła się w samym środku mlecznej pustki, której skraj wyznaczała rozmazana linia drzew. Wiatr wciąż podrywał śnieżny pył i co rusz próbował zdusić rozpalone przez Tluhira ognisko. Reszta stała nieopodal, przy koniach. Wojownicy szeptali między sobą i raz po raz zerkali ku Elinaare, która klęczała przy Orianie i metodycznie oczyszczała jej ranę.

– Z miejsca, gdzie ugodził ją nóż, w zasadzie nie płynie krew – powiedziała cicho do kucającego nieopodal Madsa. – Nie znam się na sztuce leczenia, ale logicznie wytłumaczyć się tego nie da. Zupełnie jakby... jakby jej ciało niebawale szybko się goiło.

– Miała przy sobie wichrogórski kamień – rzekł Voorten. – Odebrałem go jej, ale Moc chyba nadal na nią oddziałuje, prawda?

– Prawda. Wichrogórskie kamienie, o ile mi wiadomo, powinny się znajdować w bezpośrednim sąsiedztwie tego, kto z nich korzysta, ale Oriana mogła odruchowo pobrać tyle Mocy, że ocaliło jej to życie. Intryguje mnie coś innego. – Elinaare spojrzała

na Madsa z niepokojem. – Te artefakty są naprawdę potężne. Mam wrażenie, że gdyby Oriana chciała, zdołałaby już odzyskać przytomność, a tymczasem...

Ujęła jej wychudzony nadgarstek i upuściła go.

– Spójrz tylko. Mimo niezwykłych mocy uzdrowicielskich kamienia Oriana nadal znajduje się na skraju śmierci. Zupełnie jakby toczyła ją wyniszczająca choroba.

– Zanim się zjawiliście, rzygała żółcią – bąknął niechętnie Mads. Nie miał pojęcia, jak doszło do tego, że omawia stan zdrowia swego największego wroga.

– A więc ona też. – Elnaare pokiwała głową. – Jedna zagadka goni drugą. Dałabym wiele, by się dowiedzieć, co się właściwie wydarzyło dzisiejszej nocy. Bo ty też straciłeś przytomność, prawda?

– W ten właśnie sposób ją dopadłem – stwierdził Mads. – Zerwałem się w porę, by ściąć Brunharda, który zdażył właśnie wbić jej... Zaraz, co ty powiedziałaś? Czemu spytałaś, czy ja też?

– Wszyscy znani mi ludzie stracili tej nocy przytomność – rzekła Elnaare, prostując się. – Ktoś albo coś sprawiło, że straciliśmy około godziny życia. Ja, Malhorn, Dunstan, twoi przybocznicy, chłopaki z Wiatru, ty i Oriana, jak sądzę, również.

– Dziwne to – powiedział Mads po chwili.

– I niepokojące – przyznała kobieta. – A najbardziej do myślenia daje to, że nie ucierpiał nikt poza tymi, którzy mają na co dzień kontakt z Mocą. Ja czuję się fatalnie, choć całą swą Moc zużyłam wczoraj i trudno mi powiedzieć, kiedy do mnie wróci. Pokrzewka również ledwo się trzyma na nogach, a Oriana... – Pokręciła głową, spoglądając na żółtawą skórę swej dawnej konfraterki, ciasno opinającą kości twarzy oraz czaszkę.

– Co to oznacza? – spytał ochryple Mads.

– Nie wiem – odparła Elnaare. – Choć mam pewną teorię.

Wstała i spojrzała w mlecznobiały, rozmyty krajobraz.

– Gdzieś doszło do wykorzystania Mocy na przerażającą skalę – wyrzekła powoli. – Tak wielką, że wstrząsnęło to fundamentami świata. Można to przyrównać do potężnego huku: wszyscy chwycą się za uszy, ale krew pocieknie tylko tym, którzy mają najwrażliwszy słuch. W tym przypadku to ja, Pokrzewka i Oriana.

– To chyba... – Voorten odkaslnął. – To chyba złe wieści.

Zacisnął powieki, a gdy znów je rozchylił, bielutki jeszcze przed chwilą śnieg wydał mu się szary i brudny. Niemalże widział, jak

nadzieja na odzyskanie utraconego szczęścia rozwiewa się niczym dym porwany wiatrem.

– Kapłanki Smoczycy nie mają takiej Mocy – powiedziała martwym głosem Elinaare. – Ba, być może nigdy jej nie miały, nawet wszystkie razem. Wichrogórzanie utracili swą potęgę razem z kamieniami, które przepadły w Wiecznej Zamieci. Smoczyca nie żyje. Wiesz, co pozostaje?

– Elfy – rzekł głucho Mads. – Zagroziły, że to zrobią. Sam słyszałem w Tumie, miesiące temu. Zapowiedziały, że jeśli sami nie pokonamy Smoszczurów, przyjdą, by ujarzmić nasz świat. By na powrót zaprowadzić w nim równowagę. Tylko że... – Zacisnął zęby i spróbował uspokoić galopujące myśli. – Tylko że zrobiliśmy to, co do nas należało – wyszeptał. – Po to właśnie wszcząłem Drugą Burzę! Z tego powodu znów ruszyłem do walki! Przepędziliśmy tych sukinsynów, zdobyliśmy Brzask i... I co jeszcze?

Elinaare milczała.

– Odrzuciliśmy tę możliwość – powiedziała w końcu.

– My?

– Ja i Skalmir. Wichrogórski wysłannik, jedyny uczestnik negocjacji, który widział przyszłość obok teraźniejszości. Próbowaliśmy zrozumieć, dlaczego Tuistanie uciekli i pozostawili Smocze Imperium własnemu losowi, ale nie doszliśmy do żadnego wniosku poza tym, że to jednak nie elfy.

– Kto zatem? – spytał Mads, po czym się odwrócił. – Pokrzewka!

Rudzielec odłączył się od grupki ludzi rozmawiających przy koniach.

– Służę, panie pułkowniku! – zawołał.

– Zaparz sobie herbatkę, młody. Taką, od której naszej wiedźmie zachce się gadać – rozkazał Mads wściekłym tonem i kopniakiem wzbil tuman śniegu. Kilka grudek opadło na nieruchome ciało Oriany.

– Tej? – Pokrzewka wybałuszył oczy, spoglądając na leżącą na zaimprovizowanym posłaniu Oriane.

– Pewnie, że tej – odpowiedział Mads. – Ta druga – przeniósł ciężki wzrok na Elinaare – gada aż nazbyt chętnie.

Kobieta spojrzała na niego ze skrajnym znużeniem.

– Wiem, Voorten, wiem. Nie po to capnąłeś tę dzidirę. Chciałeś, by ci oddała Hunnę. Znalazłbyś wtedy sposób, by złamać zaklęcie i wreszcie moglibyście żyć jak w bajce. W pełni sobie na to zasłużyłeś, ale... – Urwała, jakby nagle ogarnęła ją słabość. – Ale

mam wrażenie, że w tym celu potrzebujesz świata, a ten być może właśnie się rozpada.

\*

Madsa głęboko fascynowała przemiana, jaką przechodził Pokrzewka po wypiciu swoich wywarów. Najpierw gasł jego prostoduszny, wesoły uśmiech, który czynił zeń jakże miłego towarzysza podróży, potem jego policzki powlekała kredowa bladość, a na końcu w jego oczach pojawiał się szklisty blask. Zastygłe ciało chłopaka przeszywała wtedy seria drgnięć, po czym przemieniał się w istotę, która Voortenowi bardziej przypominała gada niż człowieka.

Jego ciało nie ulegało co prawda transformacji, ale łatwo było o tym zapomnieć, przyglądając się, co robi. Zbliżał się teraz do Oriany na czworakach, wpatrzony w nią, obojętny na zimno i wszelkie niewygody. Jego ruchy były na przemian powolne i niepokojąco szybkie, a do tego zatracił poszanowanie dla cudzej przestrzeni. Za każdym razem, gdy Mads kazał mu kogoś przesłuchać, Pokrzewka pełzał po jeńcu, przesiadywał na nim, obwąchiwał go, a czasami nawet oblizywał.

Przyglądając się chwastownikowi, Mads zawsze wzdrygał się z niepokojem, ale przerażające zachowanie chłopaka działało na przesłuchiwanym równie skutecznie jak Moc, którą uwalniał dzięki wypitemu wywarowi. Przeważnie wystarczyła krótka chwila, by indagowany, trzęsąc się na całym ciele, zaczynał mówić.

Oriana otworzyła oczy dopiero po kwadransie.

Spojrzała na siedzącego jej na piersiach chłopaka, który nagle pochylił głowę i obwąchał jej policzki. Gdy znów się wyprostował, Mads ujrzał na jej ustach krzywy uśmieszek.

– Chwastownik? – szepnęła z ledwie wyczuwalnym rozbawieniem. – A przysięgłabym, że pozabijaliśmy was wszystkich.

Pokrzewka rozsiadł się na niej wygodniej, pochylił głowę i dmuchnął jej w oko.

– Mów, szmato – rzekł głucho Mads. – Bo zaraz zawlecemy cię do Brzasku i spróbujemy innych metod. Tych, o których ci opowiadałem.

– Do Brzasku. – W szepcie Oriany kryło się niemalże rozmarzenie. – Chcesz powiedzieć, że ta nora jeszcze istnieje?

Mads znów się wzdrygnął.

– Mów z sensem, ty wredna... – zaczął drżącym głosem, ale wtedy poczuł dotyk dłoni Elinaare.

Kobieta odciągnęła go bez słowa na bok i ukłękła przy Orianie. Pokrzewka poderwał się z głośnym sykiem, a wtedy Elinaare wyjęła swój Smoczy Diadem, przez moment prostowała go w dłoniach, po czym nasunęła go Orianie na skronie.

– Co ona, do kurwy nędzy, wyprawia? – spytał Malhorn z niepokojem. – Powstrzymaj ją!

– Zamknij się. – Mads wypuścił powietrze przez zęby. Ogarnęło go silne poczucie, że powinien zaufać Elinaare.

Wiatr dmuchnął mocniej i niczym dla żartu obsypał obie Strażniczki, obecną i była, śnieżnymi drobinkami. Płomienie załopotwały, któryś z koni prychnął i tupnął kopytem. Ktoś przeklinał.

– Renegatko – szepnęła Oriana, wpatrzona w Elinaare. – Zdrajczyni.

Elinaare nie zareagowała na zniewagi. Wpatrywała się w służkę Smoczycy niemalże łagodnie, po czym poprawiła diadem.

– Opowiedz nam o tym, co nas czeka – poprosiła. – Opowiedz, dlaczego porzuciliście Smocze Imperium.

Oriana zacisnęła powieki, a gdy znów je rozchyliła, w jej bladoniebieskich oczach pojawił się spokój.

A potem zaczęła mówić.



# Rozdział dziewiąty



Przyzwanie Lharsin było ryzykownym pomysłem, ale Mads zdołał wszystkich przekonać.

Gdyby natychmiast pognali w stronę Brzasku, dotarliby pod bramy miasta nazajutrz wieczorem, przy założeniu, że zdrożone, zmarznięte i głodne konie nie padłyby po drodze. Dno doliny, którą ciągnął się trakt ku stolicy, było co prawda gładkie i wolne od zdradliwych szczelin – będących pamiątkami po Końcu, jakże licznymi w innych zakątkach Dzielnicy Centralnej – ale po nastaniu ciemności mgła zgęstniała. Powrót do miasta mógł się okazać wyprawą o wiele dłuższą i bardziej niebezpieczną, niż wynikało to ze zwykłych wyliczeń.

Lharsin zaś mogła ich tam przerzucić w zaledwie trzy godziny.

Oczywiście należało mieć nadzieję, że po zapadnięciu zmroku smoczyca wzbije się do lotu i będzie szukać umówionych pięciu ognisk. Mogła przecież uwierzyć w zapewnienia Voortena i odlecieć w sobie tylko znanym kierunku, mogła się obrazić i wcale nie wzbić się do lotu, mogła wreszcie nie dostrzec ognisk i krzyć w przestworzach po próżnicy.

Wszystkie te myśli szalały w głowie Voortena, który biegał od jednego ogniska do drugiego i garściami rzucał w płomień gałęzie, zwożone przez spoconych, umordowanych towarzyszy. Obok uwijał się Malhorn, a w samym środku zamieszania spoczywała Oriana, przy której czuwali Elinaare i Pokrzewka. Płomień buchał wysoko ku zamazanym gwiazdozbiorom, jakby na pustej, lodowej równinie składano wielką ofiarę ku czci zapomnianych bóstw.

Gdy trzask płomieni wreszcie został zagłuszony przez łopot wielkich skórzastych skrzydeł, kaszlący od dymu Voorten miał ochotę paść z ulgi na kolana.

– Przybywam na wezwanie, pułkowniku! – oznajmiła Lharsin, gdy tylko wylądowała, i poderwała dumnie łeb, po czym złożyła skrzydła. – Wiedziałam! Wiedziałam, że nasz szlak bojowy jeszcze....

– Cicho bądź, bo we łbie mi dudni od tego twojego ryku! – rzucił ochryple. – A wy, kurwa, co tak sterczycie? Nigdy żeście lądującej Glizdy nie widzieli? Ruszać się, psiekrwie! Malhorn, łap źdźrę i włóż na bydlaka...

– Że co? – wyjąkał olbrzym, wpatrujący się w bestię. Jego dłoń odruchowo opadła na rękojeść miecza. – Odbiło ci, Voorten?

Malhorn widywał już Smoczęta, ale nigdy dotąd nie miał styczności z bestią tak wielką jak Lharsin. Co więcej, wciąż nie mógł się pogodzić z tym, że Voorten zwarł szyki ze smokiem i naprawdę planował powrót do Brzasku na jego grzbiecie.

– Pokrzewka!

Chwastownik wyrósł przed rycerzem i zaczął na niego wpełzać. Malhorn odruchowo chciał go odepchnąć, zaraz jednak jego zacięty upór osłabł. Zrobił pierwszy bezwolny krok w kierunku Smoczycy, potem drugi i trzeci.

– Otluk, to może ty weź wiedźmę, co? Elinaare, zbieraj jej koce! Trzeba ją będzie ogrzewać podczas lotu.

– Mads, ja naprawdę nie powinienam... – odrzekła niepewnie była Strażniczka. – Pozwól mi się udać z chłopakami do Dunstana...

Voorten przypadł do niej w dwóch susach.

– Tylko ty znasz tego Skalmira na tyle dobrze, by przemówić mu do rozumu – wyrzekł zduszonym głosem. – Ja biorę na siebie Istvana, a Malhorn być może załatwi sprawę z tym dziadem z Rady Dziedziców. Bielik dostanie swoje rozkazy. Nic mu nie będzie!

– Ale...

– Powtórzyć ci twoje własne słowa sprzed chwili? O rozpadającym się świecie? Ładuj się na smoka! – Nie czekając na reakcję kobiety, odwrócił się w kierunku swoich przybocznych. – Chryja, Vask, Tluhir, Borsuk! – krzyknął, gdyż Lharsin najwyraźniej wyczuła nerwowość ludzi i rozłożyła skrzydła z ostrym trzaskiem. – Weźcie konie i pędźcie do Bielika! Znajdźcie go za wszelką cenę! Wiecie, co macie mu przekazać?

– Wiemy! – potwierdził donośnie Chryja. – Uważajcie na siebie, pułkowniku!

Mads skinął całej czwórce, a potem przypadł do Żmijki i objął kosmatego konika ze wszystkich sił.

– Jeszcze trochę, przyjacielu – wyszeptał mu do ucha. – Szast-prast, uratujemy ten świat, a potem poszukam ci miłego pastwiska i jakiejś kłaczy do towarzystwa.

Żmijka odsunął łeb i prychnął. Madsa owionął jego ciepły, wonny oddech.

– No dobra, przekonałeś mnie. Niech będą dwie kłaczki.

Poklepał konia po karku, wytarł mu grzywę i rzucił wodze Tluhirowi, a potem, nie odwracając się za siebie, podbiegł do Lharsin. Wspiął się po jej monstrualnej łapie i umościł się między nieregularnymi wypustkami kostnymi, ciągnącymi się wzdłuż jej

grzbietu. Smoczyca poruszała powoli skrzydłami, szykując się do startu. Coraz silniejsze podmuchy szarpały płomieniami i podsycaly śnieżną kurzawę, w której tonęły machające ku nim postacie czterech towarzyszy Madsa.

Ten pożegnał ich zdawkowym gestem, a potem nasunął szal na twarz, objął ramieniem kostną wypustkę i pochylił się do przodu.

– Zabierz nas do Brzasku! – zawołał.

– Czy to tam, skąd kazaliście mi uciekać? – zdziwiła się smoczyca, nie przestając jednakże machać skrzydłami.

– Parę spraw się zmieniło! – krzyknął Mads. – Wracamy na wojnę!

Smoczyca zaryczała donośnie i oderwała się od ziemi. W roztańczonej śnieżycy Mads dostrzegł jeszcze sylwetki kompanów, usiłujących opanować płoszące się konie, po czym skupił wzrok na przybliżających się chmurach, a myśli na tym, co ich czeka.

Słowa Oriany zaszokowały bowiem wszystkich, którzy ich wysłuchali.

Racjonalna część umysłu nakazywała Madsowi sprzeciw, bo wyznanie Smoczej Strażniczki wydawało się wręcz nieprawdopodobne. Wiedział jednak, że Oriana w zasadzie nie ma powodu, by ich okłamywać. Dostrzegł to w jej pustych oczach i obojętnej minie. Słyszał to za każdym razem, gdy mówiła o minionym życiu czy byłym świecie. Co więcej, wyczuwał, że Elineare wierzy w każde słowo dawnej towarzyszki.

Był szaleńcem, ryzykantem i awanturnikiem, ale wbrew pozorom w swych decyzjach kierował się przezornością. Wiedział, po prostu wiedział, że nie może zlekceważyć ostrzeżenia. Musiał wrócić do Brzasku i spróbować ocalić miasto, nawet gdyby oznaczało to skrajne ośmieszenie się. Choć na razie nie miał bladego pojęcia, jak tego dokonać.

Elineare jak zwykle trafiła w sedno. Nie mógł się odwrócić od świata. Jeśli chciał w nim kiedyś zamieszkać wraz z Hunną, musiał pomóc go ocalić.

Hunna.

Wyprostował się, pozwalając, by zimne nocne powietrze bez litości chłostało go po twarzy. Huk wiatru i łopot skrzydeł Lharsin skutecznie zagłuszyły wszelkie rozterki i obawy. W skołatany umyśle Voortena wreszcie zapanowała pustka, którą powitał z nieklamana ulgą. Chciał choć na moment odpocząć od myśli, problemów i trudnych wyborów, tym bardziej że po wylądowaniu

w Brzasku na powrót miały go opaść ze wszystkich stron. Wnet jednak ujrzał echa wspomnień o utraconej ukochanej.

– Jeszcze trochę – szepnął do nich, nieświadom, że powtarza słowa, którymi dopiero co pocieszał Żmijkę. – Ostatni wysiłek i wrócę do ciebie. Przysięgam.

Lzy zamarzały mu na rzęsach i policzkach.

Lecieli przez noc, chłód i ciemność. Lharsin miarowo uderzała skrzydłami, Malhorn przeklinał, Otluk śmiał się do siebie. Mads nie przestawał myśleć o Hunnie.

Ileż bym dał, by się to wszystko już skończyło, mówił do niej w myślach. Ileż bym dał, by nastąpił kres tej przekłętej wojny, bym mógł wyrzucić miecz do jeziora i wypędzić Żmijkę na pastwisko. Nie chcę już dłużej walczyć. Chcę zacząć żyć. Chyba zaczyna mi brakować sił i nie wiem, ile ich w sobie jeszcze znajduję.

Gdy w dole zamajaczył niewyraźny kształt Brzasku, Mads zrozumiał, że w zasadzie nie ma wyboru.

Musiał znaleźć w sobie nowe pokłady sił. Choćby kosztowało go to więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

Mimo później pory w mieście nadal płonęły ogniska, niektóre na otwartej przestrzeni, inne wśród namiotów. Kulący się wokół nich ludzie, w zdecydowanej większości uchodźcy, zauważyli Lharsin dopiero, gdy ta niemalże zawadziła podbrzuszem o dach katedry. Smoczyca rozrzuciła szeroko skrzydła, wytracając pęd, a potem wylądowała z łoskotem, od którego zatrzęsała się ziemia i popękały szyby w najbliższych kamienicach. Podmuchał gasił ognie, przewracał namioty i roztrącał uciekających z wrzaskiem ludzi.

Mads Voorten zeskoczył w sam środek tego pandemonium. Słabość, na którą sobie pozwolił w trakcie lotu, znikła bez śladu. Nadszedł czas na działanie.

– Otluk! – ryknął, zrywając z twarzy zeszywniały szal. – Pędź po Kostura! Pokrzewka, do mnie! Malhorn, szukaj tego swojego Gulvarda! Elinaare, zajmij się Skalmirem, a ja porozmawiam z Istvanem... Elinaare?

Zerknął przez ramię i ujrzał, jak kobieta ostrożnie ściąga ze smoczego grzbietu nieprzytomną Orianę, bierze ją w ramiona i oddala się w ślad za przerażonymi uchodźcami. W blasku nielicznych latarni i jakiegoś zapomnianego ogniska widział, jak zatrzymuje się u wylotu uliczki i spogląda na niego pustym wzrokiem, a potem znika.

Przez umysł przemknęła mu straszliwa myśl: Tylko nie to... Jeśli ta wiedźma zdołała zawrócić Elinaare w głowie i przypomnieć

jej o dawnych zobowiązaniach względem zakonu...

Naraz rozległ się głuchy ryk Lharsin:

– A ja? Jakie masz dla mnie rozkazy, zacny pułkowniku?

– Co? – rzucił Mads, wytracony z zadumy. – Eee... pilnuj placu! I nie żryj niczego, co chodzi na dwóch nogach, chyba że sam ci to przysłę!

– Rozkaz! – zadudniła smoczyca, dumnie wypinając pierś. Machnięciem ogona przechyliła jedną z latarni ulicznych, która zazgrzytała jękliwie.

Mads już chciał skoczyć w ślad za Elinaare, ale pośród zgiełku czynionego przez ogarniętych zgrozą uciekających naraz przebiły się gniewne okrzyki bojowe, a ciemny wylot jednej z ulic zamigotał pochodniami. Chwilę później wypadło stamtąd kilkunastu zbrojnych.

Nawet z tej odległości Voorten widział wielkie trójkątne tarcze z zatartymi herbami rodowymi oraz niedźwiedzie i wilcze skóry okrywające ich ramiona.

– Malhorn! – krzyknął do olbrzyma, wciąż oszołomionego po locie. – Ocknij się, na ścierwo Smoczycy! To chyba twoje zuchy.

Rycerz potrząsnął głową, aż zachręściła jego broda pokryta szronem, i odkasznął.

– Moje zuchy, moje – warknął złowrogo. – Rycerskiej sławy spragnieni, jak widać. Pora im chyba przemówić do rozumu.

Mads spojrzał na Malhorna, który pochylony niczym bawół ruszył ku swoim rodakom. Przeniósł spojrzenie na Lharsin.

– Tylko spokojnie – powiedział. – Nie chcesz chyba narobić sobie wrogów wśród bandy głuchoborskich tępaków, co?

Znał już Lharsin na tyle, że umiał rozpoznawać jej miny, wiedział więc, że smoczyca wolałaby osobiście wyrobić sobie zdanie w tej sprawie, ale rozkaz dowódcy uznawała za świętość. Posłusznie ułożyła łeb na błotnistym bruku i westchnęła ciężko, wypuszczając powietrze przez nozdrza. W tej samej chwili nad jej ślepiami przysiadł czarny ptak.

– Proszę, proszę! – zaskrzeczał. – Cóż za niespodzianka! Słynna Glizda wróciła do miasta, a z nią pułkownik Voorten, a to oznacza mnóstwo padliny! Znow nadchodzą złote czasy!

Mads otwierał już usta, by się odgryźć, ale wtedy wyczuł za sobą czyjąś obecność.

Twarz Istvana była nieco opuchnięta, jakby właśnie zerwał się z posłania. Rozglądał się teraz z niepokojem, ale gdy spojrzał na twarz Voortena, przez jego surowe oblicze poorane bliznami

przemknął blady uśmiech. W półmroku za jego plecami majaczyło kilku równie ponurych pohorskich wojowników.

Mads wskazał kciukiem kruka.

– To ty każesz tej wronie wygadywać takie bzdury na mój temat?

Istvan prychnął i pokręcił głową, a potem wyciągnął rękę ku Voortenowi.

– Dobrze cię widzieć – wyszeptał.

Mads naraz zapomniał o powadze sytuacji, bo zdumienie i radość przesłoniły mu wszystko inne. Wiedział, że w miarę jak gasła moc Smoczycy, Pohorcy powoli, stopniowo odyskiwali umiejętność mówienia, ale na ogół to ukrywali. Kiedyś wszak byli narodem minstrelów, poetów i gawędziarzy i nie życzyli sobie, by ktoś słuchał, jak dukają nieporadnie niczym dzieci. Mads nigdy dotąd nie słyszał, by Istvan wypowiedział choć słowo.

– Ciebie też dobrze widzieć – odrzekł, mocno ściskając jego prawicę. – Cieszę się... – Chciał wyrazić radość z powodu tego, że jego przyjaciel przewyciężył swe Przekleństwo, ale starczyło mu rozwagi, by ugryźć się w język. Z pewnością człowiek tak dumny jak Istvan nie chciałby, aby ktoś roztrząsał tak wstydliwie osiągnięcie. – ...że znów się spotykamy – dokończył najbardziej rzeczowym tonem, na jaki było go stać. – Mamy bardzo ważną rzecz do omówienia, Istvan. Cholernie ważną.

– Voorten! – Czyjś tubalny ryk zadudnił pośród kamienic.

Mads odwrócił się i ujrzał barczystego rycerza w napierśniku, który szedł ku niemu z nagim mieczem w dłoni. Jego długie siwe włosy spływały na ramiona, gdzie zlewały się barwą ze skórą srebrnego wilka. Mężczyzna ze wzdrganiem odepchnął próbującego go zatrzymać Malhorna i kroczył teraz ku Voortenowi z obliczem wykrzywionym nienawiścią.

– Całe szczęście, że zamilowanie do zdrady nie idzie w parze ze zdrowym rozsądkiem! – krzyczał. – Jakże się cieszę, że zawitałeś do Brzasku, ty parszywy zdrajco! Ty padalcu! Cuchnący kundlu!

Któryś z namiotów niespodziewanie zajął się ogniem, a po rynku rozszedł się migotliwy blask. Rozbrzmiały okrzyki wystraszonych ludzi. Głuchoborzanin nie zwalniał, a jego rycerze podążali za nim, odruchowo rozstawiając się w półkrag niczym wataha wilków na polowaniu. Malhorn znalazł się wśród nich, ale Mads skupił uwagę na siwowłosym szlachcicu. Zrobił ku niemu kilka kroków, po czym zatrzymał się przy miejskiej studni. Wtedy szeroko rozstawił nogi, zaplótł ramiona na piersi i przechylił głowę. Wyzywająco wbijał wzrok w nadciągającego Głuchoborzanina.

– Pułkowniku? – mruknęła Lharsin, zaintrygowana rozwojem sytuacji.

– Ani słowa – mruknął Voorten, a głośno oznajmił: – Żeby miał pewność... Możny Gulvard? Wybrany Rady Dziedziców?

– Tenże sam! – Rycerz zaśmiał się ochryple. – Dobrze wiedzieć, kto cię za mordę chwycił i na kolana rzucił?

– Prawda – przyznał Voorten z przekonaniem. – A może byś mnie, możny Gulvardzie, poniechał, co? W imię ważniejszych spraw? Ze względu na przyszłość swego królestwa i twych poddanych?

Rycerz zwolnił i wkrótce potem przystanął. W blasku płomieni Mads widział, jak odrzuca głowę do tyłu, by parsknąć szyderczym śmiechem, ale z jego wykrzywionych ust wyrwał się jedynie odgłos przypominający suche kasznięcie. Dłoń trzymająca miecz opadła, podniosła się i znów opadła.

– Ze względu na... na przyszłość... – wyrzeźił. – Może i... i bym poniechał.

Przybocznicy otoczyli Gulvarda kołem. Któryś z nich szeptał coś do niego nerwowo, a pozostali zerkali to na Voortena, to na swego przywódcę z mieszaniną zaskoczenia i dezaprobaty. Stojący między nimi Malhorn śledził rozwój sytuacji z kamienną twarzą.

Gulvard raz jeszcze zdołał podnieść miecz, ale uczynił to tylko po to, by wsunąć go do pochwy. Oddychał ciężko, chrapliwie, lecz jego kolejne słowa zabrzmiały głośno i wyraźnie:

– Dzięki prawom danym mi przez... przez Radę Dziedziców... uwalniam cię od odpowiedzialności za przestępstwa przeciwko... przeciwko królestwu Głuchoborów! Do chwili, gdy uznam... że jest inaczej, Mads Voorten ma się cieszyć... absolutną wolnością! Dowództwo nad moim orszakiem w ramach... ramach zasług przekazuję zaś... księciu Malhornowi! Do... do odwołania!

Nad rynkiem przed zrujnowaną katedrą panowała cisza tak dogłębna, że słyhać było trzask płomieni pożerających resztki namiotu. Na twarzach głuchoborskich rycerzy malowało się absolutne osłupienie.

– Piękne słowa – rzekł Mads i nisko się uklonił. – A do tego należycie głośno wypowiedziane. Ufam, że dotrą do wszystkich. Dziękuję, możny. Zapraszam na radę.

Odwrócił się i ruszył w stronę ulicy wiodącej do pałacu królewskiego. Jego dłoń na chwilę zniknęła za cembrowiną studni, gdzie zmierzwiła marchewkowe włosy ukrytego tam Pokrzewki.



Wysoko nad miastem chmury rozpraszały się na niebie. Gdzieś rodził się wiatr.

\*

Mads chodził wzdłuż ścian i szczapą odpalał zatknięte tam pochodnie. Pomieszczenie szybko wypełnił blask syczącego ognia, który odbijał się od witraży w jedynym oknie sali. Było chłodno, również za sprawą wiatru dującego w korytarzach. Mads próbował nie myśleć o tym, że podczas lotu przemarzył na wskroś, nie spał od doby, a w żołądku czuje bolesne ssanie.

Najpierw powiem im o wszystkim, pomyślał, zaciskając zęby. I się naradzimy. A potem... Cóż, pojęcia nie mam, co będzie potem.

Istvan z milczącym krukiem na ramieniu zajmował właśnie miejsce przy stole, dużym i pokrytym plamami po wosku. Malhorn pomagał usiąść wciąż oszołomionemu Gulwardowi, a tuż obok Madsa usadowił się Krzemień, dowódca miejskiego garnizonu, teraz, w środku nocy, jeszcze bardziej ponury niż za dnia.

Wiatr zawył, na chwilę zagłuszając zbliżające się kroki.

– Gdzie jest Wichrogórczanin? – spytał Mads. – Nie będę powtarzał ani...

– Osobliwe, że to ty tu pytania zadajesz, Voorten.

Skalmir stanął w progu. W skąpym świetle rozkołysanych pochodni jego oblicze wydawało się skrajnie wychudłe i wyniszczone, ale na Madsie, nawykłym do przyglądania się Orianie, a do tego skrajnie wyczerpanym, nie zrobiło to wrażenia.

– Kto ci dał prawo, by wdzierać się w sam środek ustalonego z trudem porządku, ani chybi po to, by dyktować innym swe pomysły? – spytał z tłumioną złością Wichrogórczanin, wchodząc do środka. – Przypomnę ci, że oficjalnie nie żyjesz.

– Nie zjawiłbym się tu, gdybym nie musiał, uwierz mi – odrzekł Mads. – A zebrałem was tu, by...

– Ani słowa. – Skalmir podniósł głos, a płomień pochodni załopotąły. Przez sekundę czy dwie w pomieszczeniu zrobiło się widno jak za dnia. – Ani słowa – powtórzył ciszej, gdy płomień znów opadły. – Nie chcę, byś mówił, póki nie pojawi się tu Elinaare.

– Nie mamy czasu na przepychanki, czarodzieju. – Mads zaczerpnął tchu, próbując narzucić sobie spokój.

– Znam opowieści o tobie. Wiem, że jesteś narwanym ryzykantem. – Skalmir wydał spękane wargi. – Nie pozwolę, by narada zaczęła się bez udziału tej, która wedle tych samych opowieści potrafi cię sprowadzić na drogę rozsądku.

– Dałbyś sobie spokój – odezwał się chłodno Malhorn.

Skalmir zerknął na niego, a potem na siedzącego przy nim Gulvarda. Arystokrata miał rozchylone szeroko usta i co chwila mrugał powiekami lub potrząsał głową. Wichrogórzanin od razu się domyślił, co zaszło, gdyż prychnął cicho i znów przeniósł spojrzenie na Madsa.

– W innych okolicznościach ucieszyłbym się zapewne, że temu krzykaczowi coś odebrało mowę – rzekł. – Teraz jednak mój niepokój rośnie. Jeśli chcecie mojego uczestnictwa w tej naradzie, sprowadźcie Elinaare.

Kruk zeskoczył z ramienia Istvana i przekrzywił łebek, jakby się szykował do zasypania czarodzieja gradem inwektyw, ale ten już się odwracał z łopotem szat, szykując się do wyjścia na korytarz.

– Zaczekaj – rzucił za nim Voorten. – Mam coś, co należy do ciebie.

Po stole potoczył się okrągły przedmiot, za którym ciągnął się złoty łańcuszek. Znieruchomiał przy przeciwnej krawędzi, a Wichrogórzanin złapał go i uniósł w chudych, pomarszczonych dłoniach. Przyjrzał mu się uważnie, po czym zacisnął posiniałe powieki i wciągnął głęboko powietrze, jakby wdychał jego zapach.

Wreszcie otworzył oczy i spojrzał na Voortena z mieszaniną niechęci i niedowierzania.

– To jeden z kamieni, które straciliśmy w Górach Strzaskanych! – zawołał przyduszonym głosem. – W ostatniej próbie zatrzymania Smoczej Armii! Skąd go masz?

– Skradł go.

Głos, który dobiegł z progu, był cichy i złowieszczy niczym młaśnięcie ostrza na gardle ofiary. Skalmir odwrócił się i odruchowo przycisnął kamień do piersi, a Mads syknął i się wyprostował. Kątem oka ujrzał, jak Krzemień podrywa się z miejsca. Usłyszał charakterystyczny szelest miecza z żywej stali, płynnie wysuwanego z pochwy.

W komnacie zrobiło się jeszcze zimniej.

– O, to się porobiło – oznajmił kruk z beztroską kogoś, kto w każdej chwili może rozłożyć skrzydła i się ulotnić.

– Skradł go? – wychrypiął Skalmir z narastającym gniewem.

– Tak – wyszeptła Oriana i przestąpiła próg.

Była ubrana tak jak w chwili, gdy przybyła na wezwanie Madsa, ale jej wychudłą pierś przecinały teraz pasma świeżych bandaży. Oblicze, choć nadal blade i upiornie wychudłe, wydawało się z jakiegoś powodu zdrowsze, a spojrzenie przymrużonych oczu było bystre i żywe.

– Skradł go mnie – uściśliła, przeszywając Skalmira obojętnym spojrzeniem.

– Ten artefakt należał do mego ludu! – Głos czarodzieja drżał ze złości. – Jak śmiesz twierdzić, że stanowił twoją własność?

– Skoro należał do was, to dlaczego nie wyrwaliście go z Wiecznej Zamieci? – Spękane wargi Oriany wykrzywiły się w grymasie pogardy. – Uważacie się za magów, ale jesteście zaledwie zgrają wiejskich szamanów!

Przestąpiła przez próg i z obojętnością zerknęła na wycelowane w nią ostrza.

– Opuśćcie broń – powiedziała cicho Elinaare, podążająca w ślad za Orianą.

Jej rumiana twarz, poważna, zmęczona, ale wciąż piękna, okolona jasnymi, rudawymi włosami, tworzyła szokujący wprost kontrast z obliczem Oriany, dla której golenie głowy pozostało jedynym zabiegiem higienicznym, do którego się przykładała. Mads jednakże widział tylko oczy obu kobiet, przymrużone, o przenikliwym, czujnym spojrzeniu. Żadna z nich nie nosiła Smoczego Diademu, ale nie miał wątpliwości, że spogląda na dwie Smoczce Strażniczki.

I nagle wstrząsnął nim lodowaty dreszcz.

Czy można przestać być Strażniczką? – przemknęło mu przez myśl. A jeśli Oriana zdążyła zawładnąć wołą Elinaare? Jeśli Elinaare zdecydowała się powrócić do dawnej roli?

– Odlóżcie broń! – powtórzyła dobitniej matka Bielika.

Mads uświadomił sobie, że ściska w dłoni miecz, celując ostrzem w pierś Oriany, podobnie jak Malhorn i Krzemień. Istvan ważył w dłoni topór.

– Cuchnie tu niezdrowym męskim napięciem – wychrypiał Kostur, który nagle wyłonił się zza pleców obu kobiet, prowadzony przez Otluka. – Na szczęście niczym więcej, bo nie wyobrażam sobie wietrzyć komnaty przy tym wicherzysku.

– Kostur? – wyjąkał Mads. – Co ty tu robisz?

– Wnoszę nieco zdrowego rozsądku – mruknął starzec, rozsiadając się na krześle podsunietym mu przez uszczęśliwionego Otluka. – Skoro żeś przytargał tu tę wiedźmę – machnął sękatą

dłonią w kierunku Oriany – przegadaj z nią wszystkie sprawy jak należy. – Zmrużył niewidzące oczy i udał, że się rozgląda. – Bo już chyba te dziabadła odłożyliście, co? – warknął. – Córcia was dwukrotnie poprosiła. Mam na was nawrzeszczyć, smyki?

– Wasz uzdrowiciel przywrócił mi pełną sprawność – oświadczyła Oriana. – W zamian powtórzę ostrzeżenie, które część z was już usłyszała.

Wypowiadając te słowa, wpatrywała się intensywnie w Madsa, a ten nie odwrócił spojrzenia. Miał wrażenie, że słyszy niewypowiedzianą część zdania: „A potem powrócimy do naszej umowy. Bo tylko dlatego tu jestem”.

– Odłóżcie broń – powiedział ciężko – bo jeszcze na was Kostur nawrzeszczy.

Wsunął miecz do pochwy i opadł na krzesło, a Malhorn i Krzemień poszli w jego ślady. Istvan odłożył topór na blat stołu. Wiatr zawodził to głośniejszy, to ciszej, podmuchy z werwą szarpały płomieniami pochodni.

Elinaare podprowadziła Oriane do stołu i odsunęła dla niej ostatnie krzesło. Poruszała się sztywno, co Mads w pierwszej chwili odebrał jako nadmierną służalczość, ale wtedy dostrzegł, że kobieta zaciska w lewej dłoni nóż, gotowa w każdej chwili wbić go Smoczej Strażniczce w plecy.

– Powiedz im to, co powiedziałaś nam – wychrypiął Mads. – Wyjaśnij, dlaczego uciekliście.

– Opuściliśmy Smocze Imperium – zaczęła powoli, lecz dobitnie kobieta – gdyż Tuistanie od prawieków byli ludem wędrownym, a do tego posłusznym woli i wizjom Króla-Wieszczka. Kiedy więc ten oznajmił, że nadszedł czas, by wyruszyć w drogę, nikt nie protestował. Wszyscy...

– Do rzeczy, więdźmo – warknął Voorten. – Mów o tych wizjach.

– Król-Wieszcz ujrzał powrót Jaszczura – rzekła krótko Oriana.

Mads, który już słyszał te słowa, a nawet zdołał się z nimi częściowo oswoić, znów poczuł ciarki na plecach. Kątem oka widział, jak Istvan nagle się prostuje, a Gulvard potrząsa głową, jakby chciał zrzucić z siebie czar Pokrzewki i wybuchnąć głośnie, pogardliwym śmiechem. Skalmir zastygł w bezruchu.

Niemniej to on odezwał się pierwszy.

– A więc nie elfy, tylko Jaszczur? – W jego tonie zgroza mieszała się z drwiną. – Cóż, ciekaw jestem, skąd się bierze twoja pewność. Od lat Król-Wieszcz nie przekazywał wam wiarygodnych ostrzeżeń. Zaskoczyło was zamordowanie Smoczy. Zaskoczyły

was obie Burze. Zaskoczył was Koniec. I mimo to postanowiliście wypełnić wolę omylnego jasnowidza?

Wzrok Oriany spoczął na trzymanym przez niego artefakcie.

– W istocie, zgładzenie Pani nas zaskoczyło, ale przyczyną było to, że w przygotowaniu zamachu na nią uczestniczyła magia równie silna albo nawet silniejsza od królewskiej – odpowiedziała. – Później, z chwilą odejścia Pani, Moc Króla-Wieszczka zaczęła słabnąć, podobnie jak nasza. – Zerknęła na śmiertelnie poważną Elinaare. – Król-Wieszcz widział obie Burze, ale były to wizje żałośnie nieprecyzyjne – ciągnęła. – Nakazał earlom wszcząć przygotowania do wojny z powstańcami, musiał się jednak opierać na danych wywiadu, a te również okazały się nieprecyzyjne.

Mads wywrócił oczami. Tuistanie, od zawsze polegający na słowach Króla-Wieszczka, w zasadzie nie mieli wywiadu wojskowego. Jego rolę odgrywał Smoczy Zakon – Strażniczki dysponowały rozległą siateczką donosicieli i szpiegów, ale ci skupiali się głównie na wyszukiwaniu przejawów Mocy bądź nieprawomyślności wśród zwykłych ludzi. Z kolei liczne zeznania, które wydobywały podczas tortur, były mocno stronnicze i z rzadka zawierały informacje natury wojskowej.

To właśnie dlatego Smoszczury, choć liczniejsze, karniejsze i lepiej uzbrojone, dostały łupnia najpierw w Bitwie Pogodzonych, a potem pod Grzywaczem – przemknęło mu przez myśl.

– Zrozumiałam jako jedyna – ciągnęła Oriana – że jeśli nasz naród ma przetrwać, Król-Wieszcz na powrót musi zacząć widzieć przyszłość. Zorganizowałam więc wyprawę w głąb Wiecznej Zamieci. Tam, w samym środku niecichnącej od stu lat burzy śnieżnej, trwali wszak zamarznięci wichrogórscy magowie, a każdy z nich wciąż trzymał swój kamień. – Urwała i z trudem nabrała tchu. – Wieczna Zamieć pozbawi życia każdego, kto spędzi dłuższą chwilę w jej objęciach. Każdy, kto chce się tam przedostać, musi się spieszyć. Ja na towarzysza wybrałam najszybsze Smocze, jakie zdołałam znaleźć, a i tak o mały włos nie przyplącałyśmy tego życiem. Udało się nam wówczas zdobyć jeden kamień. Podczas drugiej wyprawy dwa kolejne.

To wtedy zniewoliłaś Gwaine'a, pomyślał Mads z goryczą.

– Wręczyłam jeden z nich Królowi-Wieszczowi, a ten szybko nam ujawnił, że na ziemiach Smoczego Imperium wnet pojawi się straszliwy wróg. Kolejne wizje pomogły mu ustalić, kto nim będzie, a potem rozważył różne warianty przyszłych wydarzeń.

W jego analizie pojawiły się również pomyślne scenariusze, ale każdy z nich byłby dla nas o wiele kosztowniejszy od krwawych starć z wami. Uznaliśmy więc, że odchodzimy. – Powoli, bez emocji przeniosła wzrok na Skalmira. – Czy w te wyjaśnienia jesteś skłonny uwierzyć? Innych, obawiam się, nie ma. – W jej suchym głosie pobrzmiwała drwina.

– A co z pozostałymi kamieniami? – wykrztusił Skalmir. – Czy je też zrabowałyście?

– Niczego nie zrabowałyśmy. – Oriana spojrzała na niego ze wstrętem. – Trupy, które stoją tam, na przełęczu, od bez mała stu lat, wcale bowiem nie protestowały. Od stu lat, nędzny guślarzu! Czekają, aż po nie wrócicie! Skoro wam się to nie udało, nie miej pretensji, że ktoś okazał się bystrzejszy...

– Stul pysk. – Warknięcie Madsa przywodziło na myśl zgrzyt wyciąganego miecza. – Nie będziesz tu z nikogo drwić, więdźmo. Przynajmniej dopóki ja tu jestem! Co z pozostałymi kamieniami? Dalej tam są?

– Nie – odpowiedziała Oriana.

– W walce wzięło udział ośmiu magów! – syknął Skalmir. Na jego pożółkłych policzkach pojawiły się rumieńce podobne do sińców. – Żaden nie wrócił!

– Po znalezieniu trzech pierwszych kamieni wznowiliśmy poszukiwania – rzekła Oriana. – Odnalazłyśmy pozostałe trupy, ale te już nie miały kamieni. Podczas narady z Królem-Wieszczem ustaliłyśmy, że Jaszczur najprawdopodobniej przejrzał nasze zamiary i zaczął przejmować wichrogórskie kamienie tuż po nas.

Skalmir zaciskał chude dłonie z taką pasją, że aż drżały.

– Jak? – wychrypiął Gulvard. Oddziaływanie Pokrzewki osłabło do tego stopnia, że nadażał za rozmową, a nawet mógł wziąć w niej udział, co Mads w wisielczym rozbawieniu uznał za dobry znak.

– A skąd mam wiedzieć? – prychnęła Oriana.

– Nie o to mi chodzi, więdźmo. – Głuchoborzanin pochylił się ku niej. – Jak Jaszczur miałby skorzystać z ichnich otoczków? – Machnął ręką w kierunku kamienia, który Wichrogórzanin ścisnął kurczowo w dłoni. – Tak się bowiem składa, że widziałem Jaszczura, gdy ten leciał na randkę z twoją Panią – ciągnął drwiąco. – Nie ja jeden zresztą. Wiadomo, że ludzie lubią przesadzać, ale wielu powtarzało, że miał

ponad sto kroków długości. Są tacy, którzy twierdzą, że i dwa razy więcej. Trudno mi sobie wyobrazić, by tak wielkie bydlę mogło

w ogóle dostrzec wichrogórski kamyk, a co dopiero z niego skorzystać. Co więcej, nie dziwi cię, że nikt go nie zauważył, gdy leciał w stronę Wiecznej Zameci?

Oriana przez moment spoglądała na Głuchoborzanina z wyższością. Odczekała chwilę, delektując się sprawnie maskowaną konsternacją rycerza, a potem rzekła:

– Dzięki królewskim wizjom odkryliśmy, że Jaszczur potrafi się przemieniać w człowieka. Mógł przez wszystkie te lata wędrować po Smoczym Imperium, rozglądać się, zbierać informacje i wyciągać wnioski. Mógł gościć w waszych domach, pić wasze piwo i chędożyć wam żony. Mógł planować swoje zwycięstwa i wasz upadek.

– Ile zostało nam czasu? – odezwał się Malhorn.

– Nie wiem – odparła Oriana. – Może godzina, może rok. My postanowiliśmy porzucić Smocze Imperium na tydzień przed datą z najwcześniejszej wizji Króla-Wieszcz. Wypadła cztery dni temu.

– Czego się spodziewać? – zabrała głos Elinaare. – Co dokładnie planuje Jaszczur? Jaką zbierze armię?

Oriana wybuchnęła śmiechem, przywodzącym na myśl dźwięk tłukącego się szkła.

– Och, chyba zbyt wiele spodziewasz się ode mnie usłyszeć, siostró. – Ostatnie słowo wyrzekła z przekąsem. – Ja swoją część umowy wypełniłam. Reszta to już wasze zmartwienie. Wołaj Króla-Wieszczą...

Elinaare wyglądała, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale Mads nie dał jej dojść do głosu.

– Dość już tego mielenia jęczorem. – Poderwał się ze złością. – Krzemień, podwój strażę na bramach. Istvan, pchnij paru gońców na Przełęcz Hobolską. Malhorn, Skalmir, wy również sprawdźcie wasze granice. Do południa chcę mieć pełne meldunki. Pytania?

Mina Malhorna zdradzała, że miałby pytanie, i to niejedno, lecz jedynie skinął głową, choć dopiero chwilę po Krzemieniu, Skalmirze i Istvanie.

– Wiedźma ma się znaleźć pod strażą – dorzucił Mads. – Elinaare, znajdź najbezpieczniejszy loch w tym mieście. Może być ten, w którym trzymaliście mnie. I nie muszę chyba nikomu przypominać, że nikt z was – powiódł spojrzeniem po obecnych – nie ma prawa pisać choć słowem o tym, czego się tu dowiedzieliśmy?

– Wiele się, Voorten, nie dowiedzieliśmy – burknął Gulvard. Stary arystokrata przytomniał coraz szybciej, co było jednym

z powodów, dla którego Mads chciał jak najprędzej zakończyć spotkanie.

– Jutro w południe będziemy wiedzieć więcej – rzucił i ruszył w stronę drzwi. – Kostur, Otluk, za mną.

\*

Odnalezienie osoby, z którą Mads chciał nawiązać kontakt za pośrednictwem Otluka, nigdy nie stanowiło dla niego trudności. Na ogół wystarczało, że przytknął czoło do łysej głowy osiłka i wyobraził sobie twarz człowieka, z którym zamierzał porozmawiać. Jego myśli wnet przepelniała szara, lepka mgła, co oznaczało, że mógł zacząć mówić. Słowa pojawiały się wówczas w umyśle rozmówcy, wypowiedziane jego, Madsa, głosem.

Zdarzało się, że wywoływana osoba nie reagowała od razu – mogła przecież spać, zignorować myślowy komunikat lub po prostu się go wystraszyć – ale nigdy dotąd nie doszło do sytuacji, w której Mads, mimo najszczerszych wysiłków, nie ujrzał nawet strzępów szarej mgły. Napierał na czaszkę Otluka, aż ten zaczął się odsuwać, zaciskał powieki i ze wszystkich sił próbował uspokoić łomoczące serce. Bez powodzenia.

„Gwaine! – nawoływał w myślach. – Gwaine, by cię Smoczyca przeżuła! Jesteś tam gdzieś, elfie zatracony?”

W końcu odsunął się od Otluka i siadł bez sił na ławie.

– Kurwa! – ryknął i z furją kopnął stojący nieopodal zydell, który potoczył się z hurkotem po kamiennej podłodze.

Otluk wciągnął powietrze przez nos, jakby był na krawędzi płaczu.

– Bez litości, synku – odezwał siedzący nieopodal Kostur. – Rozwał go w drobny mak, a potem Otluk przyniesie ci jeszcze coś. Beczkę, może krzesło. Rozpieprzysz, co trzeba, a sprawa załatwi się sama.

Mads oparł potylicę o chłodną ścianę i pokręcił głową.

– Gdyby powiedział to ktoś inny, nie ty...

– To co? – spytał ostro uzdrowiciel. – Od nikogo innego mądrych słów nie chcesz słuchać? Gębę objesz, bo ktoś ci wytyka, że zachowujesz się jak półgłówki?

– Kostur, ty się naprawdę tego zydla czepiasz?

– Nie chodzi o zydell, synku. Nie widzę cię, ale słyszę i czuję, a to mi wystarczy, bym wiedział, co ci dolega. Znalazłeś się na skraju.



– Niczego nie rozumiesz! – zawołał Mads. – Pieprzony Gwaine jest jedyną osobą, z którą potrzebuję teraz porozmawiać, a nie mogę tego zrobić i nie wiem dlaczego! Może talent Otluka nie działa na elfy, może nieszczęśnik zginął, może znalazł się zbyt daleko albo zbyt blisko elfiego królestwa, gdzie działają inne prawidła... Nie wiem! Doprowadza mnie to do furii, bo muszę znaleźć potwierdzenie słów tej suki! Muszę!

– Musisz – powtórzył Kostur, kiwając głową. – Naprawdę?

– Próbuję to wszystko zrozumieć – jęknął Voorten. – I zaczynam dochodzić do wniosku, że wszyscy jesteśmy ledwie zabawkami wyższych potęg. Najpierw przybyli do nas Tuistanie ze swoją Smoczycą. Zdziesiątkowali nas, odebrali nam wolność, obłożyli Przekleństwami, zaczęli karać za władanie Mocą i prześladować za marzenia o swobodzie. Skazali nas na upokorzenia, ubóstwo i konieczność udziału w krwawych powstaniach, a gdy wreszcie udało się pozbyć skurwieli, dowiadujemy się, że zaraz spadnie nam na głowy kolejne cholerstwo. Bo elfy, które ze swej miłości do równowagi poszczyły Smoczycę Jaszczurem, nie przewidziały, że suczy syn może chcieć u nas zostać! I co? I Tuistanie spakowali manatki, po czym wynieśli się w cholere, a elfy siedzą bezpieczne za Martwym Jeziorem. – Drżąc na całym ciele, wciągnął powietrze. – Tak, Kostur. Znalazłem się na skraju.

– Wiem, synku – mruknął stary, podnosząc się z krzesła. Otluk natychmiast znalazł się przy nim, by podać mu ramię. – Pamiętam nasze rozmowy jeszcze w drodze do Brzasku. Jak jej tam było?

– Hunna.

– Właśnie. Kompletnie zapomniałem, ale tu się chyba nie ma co dziwić. Stary się robię.

Mads uśmiechnął się zdawkowo. Nieco żartobliwy ton kazał sądzić, że Kostur doskonale pamięta imię jego ukochanej, ale zależało mu na tym, by Voorten wypowiedział je na głos. I rzeczywiście, niespodziewanie poczuł, że robi mu się cieplej na sercu, a jego gniew przygasa.

– Chciałeś, by ta wojna się zakończyła. Chciałeś gdzieś osiąść ze swoją wybranką i wreszcie cieszyć się życiem, a tu ci mówią, że nie. Bo szykuje się kolejna wojna i potrzeba Voortena, by chwycić skłóconych za łby i wskazać tych, którzy mają podnieść sztandary.

Mads się pochylił i oparł łokcie na kolanach. Splótł dłonie i pochylił głowę.

– Tak – powiedział. – Tego właśnie chciałem. Tego chcę nadal.

– Ja też tego dla ciebie chcę – rzekł z powagą Kostur. Położył dłoń, mocną i ciepłą, na zmierzwionych przez wiatr włosach Voortena. – Na cycki Smoczycy, nawet ci w tym pomogę.

– Jak?

– Zabiorę cię, synku, do szpitala. Tam wymyją ci te kudły i wszystko inne, co będzie tego wymagało. Przebiorą cię w czyste odzienie, dadzą miskę gorącej zupy, opatrzą skaleczenia i dopilnują, byś przespał choć parę godzin pod kocem.

– Mam na to wszystko czas? – Mads westchnął ciężko.

– O ile się orientuję, jutro też jest dzień. Aha, przypomniałem sobie. Po szpitalu szwenda się ten twój niewydarzony pies. Mógłbyś go zabrać w jasną cholerę? Szczeka i sra gdzie popadnie.

– Kupka. – Mads się uśmiechnął. – No, teraz to mnie przekonałeś. Ruszajmy. – Wstał, a Kostur cofnął dłoń.

– Poczekaj, synku. Zbierz to, co twoje, a ja przekażę instrukcje Thumowi. Niech wszystko czeka na twoje przybycie.

Prowadzony przez Otluka podszedł do drzwi, gdzie czekał na niego ów Thum. Wysoki, wychudzony Pohorzec wysłuchał kilku słów wyszeptanych mu do ucha, ukłonił się i wybiegł w targaną wichurą noc.

Dzięki jego ofiarności na Madsa w istocie czekały balia z gorącą wodą, wygodne łóżko, pożywna kolacja oraz pielęgniarz, gotowy opatrzyć jego rany. Czekał na niego również stęskniony Kupka, który na widok swego pana zareagował z taką radością, że temu nawet nie przyszło do głowy zapytać, dlaczego sąsiednią komnatę pośpiesznie zamknięto przed nim na klucz.

# Rozdział dziesiąty



Czyjaś mocna dłoń wyrwała go z ciężkiego snu pozbawionego majaków. Już gdy siadał na skraju łóżka i wciągał spodnie, wiedział, co to oznacza. Większość życia spędził wszak na wojnie. Potrafił wyczuć niepokój w składanym szeptem meldunku, umiał dostrzec niepewność na twarzy posłańca.

Teraz nie miał więc wątpliwości, że odpoczynek definitywnie dobiegł końca.

Niech będą dzięki Kosturowi choć za to, pomyślał, wsuwając na siebie kolczugę.

Podrapał popiskującego smętnie Kupkę, zarzucił sobie płaszcz na ramiona, skinieniem podziękował za wręczoną mu pajdę chleba i ruszył w ślad za posłańcem.

Wciąż było ciemno, choć niebo zaczynało już szarzeć. Spomiędzy mętnych chmur gnanych podmuchami wiatru co rusz wyłaniał się okrągły księżyc. Podażając za swoim przewodnikiem, Mads zmagał się z naporem nieokiełznanego wichru, który wydymał płaszcze, targał płachtami namiotów i złośliwie krzyżował zamysły tych, którzy usiłowali rozpalić ogień. Gdzieś miarowo trzaskała naderwana okiennica.

Na murach powitały go dziesiątki niespokojnych twarzy, na które padał nikły blask latarni gazowych wbudowanych w blanki.

– Jazda – oznajmił tubalnym głosem Malhorn, oparty o kamienny parapet. – Wilcy, Mads.

– I to z tego powodu mnie obudziliście? – warknął Voorten. – Dla bandy cuchnących piżmem pastuchów, którzy zapomnieli, jak to jest zebrać łomot?

– Zgodnie z tym, co głoszą raporty zwiadowców, będzie ich około pięciu tysięcy – oświadczył Głuchoborzanin. – To nieco więcej niż banda.

– Pięciu tysięcy? – Mads spojrzał nań bystro. – Dużo. Na smród z pyska Smoczyca, za dużo.

– Za dużo na co, pułkownika? – rzekł ktoś za jego plecami, ewidentnie dokładając starań, by jego głos poniósł się jak najdalej.

– Za dużo jak na niedobitków z owej hordy, którą rozpędziłem przed uderzeniem na Brzask – odparł Mads, powoli się odwracając. Gulvard stał na szeroko rozstawionych nogach i wpatrywał się w niego z pogardą. – W niecałą dziesiątkę, o ile dobrze pamiętam, choć trochę pomogła nam smoczyca.

– Niezłe ich wtedy przeoraliśmy – odezwał się chrapliwie Krzemień. – Spora część spośród tych, którzy przeżyli, uciekła do Wilynii. Resztę stopniowo wybijamy. Wątpię, czy zostało więcej niż kilka setek.

– To nie oni – stwierdził kruk, lądując z niemalym trudem na blance. – Choćby dlatego, że mają piechotę. Głównie goblinską.

Jakby w odpowiedzi podmuch wiatru przyniósł głuchy ryk wileckich trąb, któremu odpowiedziało walenie w kotły, co stanowiło znak rozpoznawczy hord goblinskich. Mads wyteżył wzrok, ale choć księżyc świecił jasno, a śnieg odbijał jego blask, dostrzegął jedynie ciemne, rozedrgane plamy obcych wojsk.

– Gobliny – mruknął z niedowierzaniem. – Niech mnie Smoczyca opryska...

W przeciwieństwie do Wilców, którzy zaciągali się chętnie i przy zapewnieniu godziwych zysków i pewnej niezależności służyli stosunkowo wiernie, gobliny nie należały do lojalnych sojuszników. Tuistanie, którzy wynajmowali całe plemiona goblinskie do służby wartowniczej i logistycznej, przekonali się o tym już podczas pierwszej Burzy, gdy najemnicy postanowili wziąć nogi za pas na samą wieść o zbliżających się powstańcach. Mads nie miał pojęcia, co się mogło wydarzyć, by gobliny same z siebie wyruszyły na wojnę, a już tym bardziej u boku Wilców.

– Wilcy i gobliny! – zarechotał tryumfalnie Gulvard. – Lepiej być nie może. Co powiecie na poranną szarżę, przyjaciele? Nic tak nie zaostrza apetytu przed śniadaniem jak...

Mads odepchnął się od parapetu.

– Posłuchaj tego, co sam powiedziałeś, moźny – powiedział. – Wilcy i gobliny.

– O ile dobrze cię zrozumiałem, pułkowniku – głuchoborski rycerz włożył w to jedno słowo mnóstwo drwiny – Wilców rozpędzasz wierzbową witką. Skąd twe obawy?

– Stąd, że znamy się krótko i nie chcę, żeby ktoś cię zabił, zanim wreszcie powiesz coś mądrego – odparł Mads. – Wilcy mogą wypełniać cudze rozkazy, ale nie łączą sił z innymi narodami, a gobliny same z siebie nigdy nie ruszają na wojnę! – Mówił teraz ciszej, nie chciał, by wieść o niecodziennych sojusznikach dotarła do niepowołanych uszu. – Tymczasem z jakiegoś powodu ruszyli razem. Pamiętasz, Gulvardzie, naszą naradę? Czy nazbyt byłes pochłonięty żuciem własnego upokorzenia? Poza tym, do kurwy szmaty, ile mamy jazdy?

– Przybyłem na czele setki rycerzy i setki lekkiej jazdy – zaczął Gulvard – co w zupełności wystarczy...

– Na początek – przerwał mu Mads. – Istvan ma trzy setki, Krzemień dalsze dwie, a Wichrogórzanie głównie piechotę. Nawet ze smokiem mielibyśmy przeciwko sobie dalece liczniejszą armię! Jak myślisz, na wymiona Smoczycy, czemu oni się tak drą i walą w te swoje bębny?!

Wiatr znów z furją uderzył o mury twierdzy, a na błoniach rozpętała się śnieżna kurzawa.

– Nikt nie wyjeżdża z miasta wbrew mojej woli – oświadczył Mads, wpatrując się ze złością w Głuchoborzanina. Chciał dodać coś jeszcze, ujrzał jednak Kostura, który stał kilka kroków za plecami wojskowych, wsparty na ramieniu Otłuka. Dawał Madsowi dyskretne znaki, by ten podszedł bliżej.

– Wybaczcie – burknął Voorten. – Muszę jeszcze coś załatwić.

Skinął głową Malhornowi i żartobliwie zamachnął się na kruka, który aż podskoczył, i wyminął Gulvarda, trącąc go przy tym ramieniem. Surowe oblicze Kostura porane licznymi bliznami zawsze wydawało mu się groźne i zasadnicze, ale tym razem dostrzegł w nim coś w rodzaju ostrzeżenia.

\*

Elinaare szła pewnym krokiem przez lochy ciągnące się pod Brzaskiem. Ongiś знаła rozkład więzienia jak własną kieszeń – doskonale pamiętała, na których poziomach trzymano więźniów politycznych, a na których zwykłych przestępców, do sal tortur trafiała z zamkniętymi oczami. Potrafiła też, czego dziś nie umiała sobie wyobrazić, przemieszczać się po tym rozległym, ponurym kompleksie, zachowując całkowitą obojętność wobec jęków i skarg przetrzymywanych tu ludzi.

Tego dnia o świcie kazamaty Brzasku wydawały się jej miejscem o wiele zimniejszym i ciemniejszym niż kiedykolwiek wcześniej.

Dobrze znała powody takiego stanu rzeczy. Zdecydowana większość więźniów popierała powstanie lub przynajmniej sprzeciwiała się Tuistanom, uwolniono ich więc bez wahania, a z tymi, którzy zasługiwali na osadzenie w celi, rozprawiano się krótko i krwawo. W czasie wojny sprawiedliwość często była równie zimna jak ostrze kata. Jej syn Dunstan przejawiał w tej kwestii wyjątkową gorliwość. „Nie będę żywił parszywych więźniów, gdy zwykli ludzie cierpią głód”, mawiał i skazywał

morderców, złodziei i gwałcicieli na śmierć bądź okaleczenie. Elinaare wcale go nie winiła.

Lochy wydawały się wręcz puste i niósł się po nich jedynie upiorny jęk docierających z góry podmuchów wiatru. Prowadzący ją strażnik mamrotał pod nosem coś, co z pewnością nie było peanami na jej cześć.

Na pierwszych ludzi natknęli się dopiero w najpilniej strzeżonym skrzydle, gdzie za jej czasów trzymano najgroźniejszych więźniów politycznych. Tam na jej rozkaz umieszczono Oriane.

– Tu namiestniczka Elinaare, proszę otworzyć – powiedziała ze spokojem, stanąwszy przed wielkimi stalowymi drzwiami z zawiasami grubości męskich ramion. – Rozpocynam przesłuchiwanie więźnia.

Co prawda kilka dni temu oficjalnie zrzekła się tytułu namiestniczki, którego zresztą, mimo wszystkich pełnionych obowiązków, szczerze nie cierpiała, ale liczyła, że pochłonięte sporami delegacje trzech narodów Rozkrzyczanych Krain nie znajdą czasu, by ogłosić jej wolę ludności miasta. Zeszłej nocy, gdy prowadziła Oriane do celi i nakazała podniesienie poziomu bezpieczeństwa, nikt nie zaprotestował.

Drzwi otwarto i żołnierze pełniący służbę wewnątrz – co do jednego ponurzy Pohorcy uzbrojeni po zęby – powitali Elinaare ukłonami. Przeprowadzili ją przez dwoje kolejnych stalowych wrót, ozdobionych wizerunkami Smoczycy, aż wreszcie była Strażniczka stanęła przed celą. Jeden z Pohorców zacisnął klucz w potężnej dłoni i spojrzął na kobietę z wahaniem.

– Dam sobie radę – uspokoila go Elinaare. – A wy będziecie mieć nas na oku, prawda?

Wojownik skinał głową. W istocie, frontową ścianę celi zastępowała kratka, dzięki której trzymany tam więzień pozostawał przez cały czas na widoku strażników, ci zaś podczas odwiedzin osób z zewnątrz mogli mierzyć do niego z kusz. Świadomość, że przy kracie stoi czterech roślących Pohorców, którzy wykorzystają każdą sposobność, by wpakować w Oriane bełt, dodała Elinaare otuchy, gdy wkraczała w półmrok celi.

Spoczywająca na pryczy Smocza Strażniczka podniosła się zwinnie niczym płomień.

– Przyniosłam ci coś do jedzenia – rzekła Elinaare po tuistańsku i postawiła tacę na stole umieszczonym pośrodku celi. – Nic szczególnego, nie zdołałam znaleźć nic więcej. Zabraliście

większość zapasów żywności, a zima nie ustępuje. Miasto jest u progu głodu.

Spodziewała się, że Oriana wzgardzi jej posiłkiem i ostentacyjnie znów ułoży się na pryczy, ale Smoczą Strażniczkę cechował najwyraźniej obojętny, pragmatyczny stosunek do wydarzeń będących aktualnie jej udziałem. Skoro jej ciało potrzebowało jedzenia, bez wahania wykorzystywała okazję, by się najeść, a to, skąd posiłek pochodził, wcale jej nie interesowało. Usiadła naprzeciwko Elinaare i zaczęła przeżuwać.

– Mam nadzieję, że nikt cię tu źle nie traktuje – dodała była Strażniczka, ale Oriana nie zareagowała. W kilku kęsach pochłonęła pierwszy z dwóch podplomyków z solą i skrawkami wołowiny, a potem popiła go wodą z kubka i złożyła dłonie na kolanach.

– Nie – powiedziała. – Nikt nie traktuje mnie źle. Choć chcieliby.

Jej słowa zabrzmiały obojętnie, jakby lęk, ból czy nawet groźba śmierci stawały się błahostkami wobec...

No właśnie, przemknęło Elinaare przez myśl. Wobec czego? Oriana, która ścigała Madsa, była pełną wściekłości, nienawistną zdzira, a teraz przypomina wypaloną skorupę. Co się z nią stało? Co nią kieruje?

– Czujesz się tu pewnie, jak sądzę – powiedziała. – Nic dziwnego. Jesteś ważna dla Madsa.

Odniosła wrażenie, że ramiona Oriany lekko drgnęły.

– Mamy niedokończoną transakcję – powiedziała między jednym kęsem a drugim. Jadła szybko, łapczywie, trzymając podplomyk obiema dłońmi. Przypominała Elinaare wychudzoną mysz.

– Opowiedz mi o tej transakcji – zaproponowała była Strażniczka, kładąc dłonie na blacie. – Bo nie mam wątpliwości, że planowałaś ją przeprowadzić już od dawna. Mads zachodził w głowę, po co chciałaś go ściągnąć pod Brzask. Myślał, że być może liczysz na to, iż jego pojawienie się pod murami stolicy skłóci sojuszników, co w sumie było nawet sensownym założeniem, ale pokrzyżował ci szyki.

– Żałuję swoich emocji – powiedziała niespodziewanie Oriana.

Elinaare spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Voorten budzi ich we mnie... – podjęła Smocza Strażniczka – bardzo wiele. Powinnaś była potraktować go obojętnie. Powinnaś była przedstawić mu ofertę i zamknąć do lochu, by wszystko sobie przemyślał, a ja... A mnie się podobało, że znalazł się w mojej władzy. Że mogę go wreszcie upokorzyć. Żałuję tego.



Elnaare wyprostowała się, aż coś jej strzeliło w plecach.

– Nie masz pojęcia, ilu rzeczy ja żałuję. Nie o tym będziemy tu jednak rozmawiać. Powiedz mi prawdę, Oriano. Po co ci Lharsin?

– Jest mi potrzebna.

– To wolny smok. Niezależny. Z charakterem. Co gorsza, rozkochany w Voortenie. Nie będzie ci służył.

– Nie doceniasz mnie. – W oczach Oriany błysnęło coś szalonego.

– Przez ostatnie dni widziałam wiele Smocząt – ciągnęła Elnaare. – Wszystkie leciały na północ. Jakby za wami. Opuuszczacie Rozkrzyczanie Krainy i zabieracie ze sobą Smoczęta? Tworzycie sobie armię powietrzną? Dlaczego dopiero teraz?

Oriana obdarzyła ją konfraterkę nieładnym uśmiechem.

– To akurat nie powinno cię zasadniczo obchodzić. Skupmy się na tym, co ważne. Jeśli masz jeszcze jakiś wpływ na Voortena, namów go, żeby mi oddał Lharsin.

– Po co? – Elnaare wpatrywała się w Oriane.

– Dla waszego własnego bezpieczeństwa.

– Co takiego? Lharsin to najbardziej lojalne bydlę, jakie możesz sobie wyobrazić! Za nic w świecie nie skrzywdziłoby człowieka, który stoi w szeregu za Voorteniem.

– Zda mi się, moja dawna siostrze, że wskutek dezercji ze Smoczego Zakonu straciłaś umiejętność analizowania faktów. Naprawdę niczego nie rozumiesz, prawda? – Westchnęła ciężko, a potem, nie czekając na odpowiedź Elnaare, o wszystkim jej opowiedziała.

\*

Pierwsze ciało, bez wątplenia należące do hriszczańskiego kawalerzysty, miało straszliwie okaleczone plecy. Mads ujął pochodnię i przesunął ją nad ranami, przyglądając się wrytym w nich czterem bruzdom. Jedyne stworzenia, które byłyby zdolne do pozostawienia takich obrażeń, były krasnoludzkie gryfy, ale tych w Brzasku nigdy nie było.

Żaden gryf nie zdołałby ponadto oberznąć głowy tak precyzyjnie, jak w wypadku kolejnego trupa. Przecięta szyja wydawała się wręcz kauteryzowana, choć ciało było pomarszczone, jakby agresor uprzednio wyssał z niego krew. Żaden gryf, stworzenie dumne i niecierpliwe, nie miał w sobie tyle sadyzmu, by wyrwać

ofierze wszystkie kończyny, co przytrafiło się młodemu rycerzowi z Głuchoborów.

Ofiar było więcej i żadna w niczym nie przypominała poprzednich. Mads powoli przyglądał się kolejnym ciałom, tłumiąc mdłości. Nawykł do brutalnych widoków, ale nie potrafił sobie wyobrazić zajadłości potrzebnej, by zadać ludziom tyle cierpienia. Płomień pochodni drgał, gdy Mads zaglądał pod coraz to kolejne prześcieradła, którymi przykryto zwłoki.

– Przynajmniej żaden z nich nie cierpiał – powiedział Kostur, który szedł za nim, wsparty na ramieniu pociągającego nosem Otluka. – Taką mam nadzieję. Jeśli bowiem wierzyć tym, co ich znaleźli, do rzezi doszło wtedy, gdy wszystkich ogarnęła niemoc.

– Masz na myśli tę utratę przytomności zeszłej nocy? – Mads odwrócił się ku staremu, marszcząc brwi. – Nie wiedziałem, że doświadczyli jej też ci, którzy przebywali w Brzasku.

– Doświadczyli, a jakże. – Niewidomy uzdrowiciel uśmiechnął się kwaśno. – Miałem potem mnóstwo roboty. Paru ludzi spadło z murów, kogoś przygniótł koń, ten i ów rozbił sobie głowę czy złamał rękę. Zwykle przypadki, dokładnie to, czego można by się spodziewać, ale wnet zaczęto też znosić tych tam. – Machnął sękatym łapskiem w stronę rzędu trupów na kamiennej podłodze. – Tym już pomoc nie mogłem – dodał.

– Co to było? – spytał zduszonym głosem Mads, umieszczając pochodnię w uchwycie na ścianie. – Co ich pozabijało?

– Niech mnie Smoczyca obsiura, synku, a skąd ja mam to wiedzieć? – Uzdrowiciel wrzucił ramionami. Wraz z Madsem i Otlukiem usiedli na ławie, spod której wyjrzał na nich wystraszony Kupka. – Gadali potem, że rankiem w mieście znajdowano różne dziwne ślady, niektóre w błocie, inne w śniegu. Wielkie, pazurzaste. Niektóre zdeptano, inne zatarto celowo, ze strachu. Wiesz, jak to bywa z ludźmi: wołają nie pamiętać tego, czego nie rozumieją i czego się boją.

– I nikt nie widział napastników? – spytał Mads z niedowierzaniem. Nachylił się, by wziąć Kupkę na rękę.

– Gdzie tam – burknął Kostur. – Krzemień kazał przetrząsnąć miasto, ale coś mi się zdaje, że ludzie niezbyt się przyłożyli do roboty. Zwłaszcza że szybko rozpleniła się plotka, że zabitych znajdowano głównie w okolicy lochów i podziemnych korytarzy.

– Jeszcze uwierzę, że przez ponad godzinę po mieście szalało jakieś pieprzone monstrum, które rozwlóczyło tuzin dobrych ludzi! – Mads podniósł głos. – Krzemień ma pod sobą setki

zbrojnych weteranów, a na niebie świeciło słońce! Co za problem...

Urwał. Usłyszał jakiś dźwięk, dobiegający z daleka, osobliwy, dobrze sobie znany, nie złowrogi, ale i niekojarzący się dobrze. Zaraz rozległ się po raz drugi i trzeci. Mads się wzdrygnął, pojawiwszy, co to za odgłos.

– Nie – wychrypiał. – Tylko nie to.

– Co takiego, synku? – spytał Kostur niemalże pogodnie. – Coś ci się przypomniało? Jak będziesz łąał Krzemienia, przypomnij temu psubratowi, że miał zwiększyć warty przed szpi...

– Skoro o psach mowa – przerwał mu Voorten z dzikim błyskiem w oku – zajmij się Kupką. Ja niedługo wracam. Chyba.

\*

Pędził ulicą do utraty tchu, przepychając się między ludźmi i roztrącając ich na boki.

– Z drogi! – wrzeszczał, a zimne powietrze paliło go w gardło. – Won, pieprzeni gapie!

W powietrzu nadal wibrowała dumna pieśń głuchoborskich trąb, która powoli się oddalała, co tylko potęgowało wściekłość w sercu Madsa. Jeszcze przed chwilą miał nadzieję, że Głuchoborzanie dmą w trąby na murach, by okazać lekceważenie wrogom i napełnić ich serca lękiem, widział już jednak ponad głowami gapiów rozchylające się skrzydła bramy, a potem usłyszał stuk wielu setek kopyt na błotnistym bruku.

– Stać! – darł się jak oszalały. – Stać, wy nieszczęsne, nadęte matoly! Stać, na ścierwo Smoczycy!

Ludzie umykali mu z drogi, jakby jego ubranie stanęło w płomieniach. W ich oczach widział szacunek przemieszany ze zgrozą, ale ich krzyki tłumiał huk krwi w skroniach. W końcu, zdyszany i spocony, wydostał się na otwartą przestrzeń w okolicy bramy, gdzie powitał go zdezorientowany Krzemień z grupą starszych wojowników. Nieopodal na bruku leżał trup, a jego towarzysz podniósł się z trudem z błota, oparł na drżących ramionach i wymiotował krwią.

Między otwartymi skrzydłami bramy widać było oddalające się końskie zady i skórzane płaszcze, które zwykle przywdziewać głuchoborskie rycerstwo. Nad głowami wojowników łopotąły rodowe sztandary, a powietrze co rusz rozdzierał ryk trąb.

Mads oparł dłonie na kolanach i ciężko dyszał, spoglądając przekrwionymi oczami w ślad za odjeżdżającymi.

– Nie zdołaliśmy! – wychrypiał Krzemień. – Nie powstrzymaliśmy ich! Sforsowali bramę!

Mads patrzył przez moment na żołnierzy, podnoszących z błota rannego wojownika.

– Kto? – spytał w końcu, spluwając. – Gulvard czy Malhorn?

– Ten stary – mruknął niechętnie weteran. – Ale Malhorn pojechał z nim.

Oczywiście, że tak, przemknęło Madsowi przez myśl. Może i było mu to nie w smak, ale nie mógłby się przeciwstawić Gulwardowi ani tym bardziej pozostać w mieście. Okryłby się hańbą na wieki.

– Głuchoborzanie... – zaczął, ale się rozkaszał. – Głuchoborzanie nie znają się na niczym! To banda tępych durniów, których wszystkiego trzeba uczyć! Pokażemy więc, szczyżółpom, jak się walczy! Krzemień, siodłać konie! Wołać Pohorców i Wichrogórzan!

– Że co? – Po minie Krzemienia znać było, że nie wierzy własnym uszom. Jego słowa utonęły w narastającym zgiełku. – Wyjedziemy w pole?

– Żebyś, kurwa, wiedział! – huknął Mads. – Prosto w tę ćmę!

O dziwo, nagle poczuł ulgę. Bezbrzeżną, obezwładniającą. Wreszcie bowiem był wolny od wszelkich dylematów. Wreszcie choć na chwilę mógł się zatracić w szaleństwie bitwy.

– Konia! – huknął Krzemień. – Konia dla pana pułkownika!

Roztrącając zarówno gapiów, jak i zbierających się wojowników, Mads popędził po kamiennych schodach na mury, by dojrzeć poczynania Głuchoborzan. Tam przywitał go wściekły wiatr, z gwizdem wdzierający się między blanki i wyciskający łzy z oczu. Voorten wychylił się na zewnątrz i zmrużył powieki. Wyraźnie widział dwie ciemne chmury: w pierwszej, ruchliwej i rozedrganej, dopatrzył się konnych Wilców, w drugiej zaś, znacznie mniej licznej i bardziej nieruchomej, domyślił się hordy goblinńskiej. Obie znajdowały się daleko od siebie, co w sumie nie budziło zdziwienia – nawet Wilcy nie ufali goblinom – ale rodziło wiele innych wątpliwości.

Kto ich tu ściągnął? – myślał gorączkowo Mads, wyętzając wzrok. I w jaki sposób? I jak ma zamiar nimi dowodzić?

Jego spojrzenie padło wreszcie na głuchoborski hufiec, który, pod powiewającymi sztandarami, dmąc głośno w trąby, zmierzał prosto na Wilców. Ci, choć o wiele liczniejsi, kłębili się i miotali,

jakby nie dowierzali, że Głuchoborzanie naprawdę przypuścili tę szaleńczą szarżę.

Nie pozostało wiele czasu na podjęcie działania, na szczęście w głowie Voortena już powstawał plan. Mads odwrócił się i zbiegł po schodach, gdzie Krzemień już trzymał dla niego rumaka, niespokojnego ogiera wściekle targającego łbem.

– Zbieraj ludzi! – krzyknął Voorten, wspinając się na siodło. – Przypieprzymy Wilcom tak, że gdy Bielik dotrze tu z Wiatrem, posra się z zazdrości, że go ominęła taka jatka! Ten koń – mocno ściągnął wodze ogiera, który szarpnął głową i prychnął gniewnie – nawykł do Glizdy?

– Nawykł! – huknął Krzemień. – Przeszedł z nami szlak od Szelagu aż po Brzask!

– Dobra nasza! Muszę dobudzić Lharsin! Macie minutę!

\*

Znaczna część żołnierzy pełniła rozmaite funkcje wartownicze, a wielu innych przebudziły ryki głuchoborskich trąb, mimo to zebranie pełnych hufców w tak krótkim czasie byłoby skrajną niemożliwością i Mads doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Gdy przygalopował z powrotem pod bramę, większość zebranych naprędce kawalerzystów zdążyła już wyjechać na równinę przed miastem, gdzie w podmuchach ostrego wiatru rozstawiała się w szyki. Voorten przemknął między ostatnimi żołnierzami i wypadł na otwarty teren, rozglądając się pospiesznie i szacując liczebność.

– Trochę ponad setka naszych – mruknął do siebie. – I jakies dwa razy tyle Pohorców.

Żałował, że nie zdążył wezwać Wiatru – mógł wszak odnaleźć Otluka i przekazać polecenie Bielikowi, ale nie miał pewności, czy jego stary oddział znajduje się w pobliżu, a szukanie telepaty oznaczałoby dalsze opóźnienie. Z oddali dobiegały wrzaski, rżenie koni i szcęk oreża, co oznaczało, że hufiec głuchoborski już stał się z nieprzyjacielem. Nie mieli chwili do stracenia.

Serce zabiło Madsowi żywiej, gdy ujrzał Krzemienia, unoszącego włócznię z błękitnym proporcem, natychmiast poderwanym przez wichę. Nad równiną przetoczył się chóralny okrzyk gotowych do walki wojowników. Zawtórowały im trąby pohorskie.

Damy sobie radę! – przemknęło mu przez myśl, gdy osadzał konia obok Istvana.

Odwrócił głowę, by spojrzeć na Pohorca.

– I znowu ruszamy! – huknął. – Powodzenia, przyjacielu!

Istvan uniósł włócznię w milczącym pozdrowieniu, a jego kruk zakrakał głośno i szyderczo. Mads nasunął sobie tarczę na ramię, spał konia i mocno złapał własną włócznię.

– Burza! – ryknął.

– Burza! – odpowiedział mu ogłuszający wrzask ruszających do szarży wojowników.

Oba proporce, błękitny ludzi Krzemienia i szary Pohorców, załopotaly na wietrze, a Mads kątem oka dostrzegł również wichrogórską zieleń. Nie spojrział jednak w bok, by ocenić, ilu jeźdźców wywiódł w pole Skalmir ani czy to on poprowadził rodaków do ataku.

Drżenie ziemi, w którą uderzały tysiące kopyt, przechodziło przez jego ciało i przepędzało wszelkie wahania. Jechali w niecałe czterysta koni przeciwko ponaddziesięciokrotnej przewadze wroga, lecz nie czuł w sobie strachu. Wręcz przeciwnie – nabierał przekonania, że ich nieustraszone, najeżone żelazem oddziały rozgniała nawet napierający zewsząd wichher. Kopyta waliły w ziemię, proporce łopotaly, serca dudniły w piersiach.

Znów prowadził szaleńczą, samobójczą szarżę na wroga, ale rozsadał go entuzjazm.

Znów żył.

Jeszcze trochę, Hunno, szepnął w myślach. Już niedługo.

Tu i ówdzie konie zarżały z przestraczem, a ten i ów wyrwał się z szyku, gdy nad głowami rozpedzonych jeźdźców przemknęła Lharsin. Pękata Smoczyca nawet w powietrzu sprawiała wrażenie niezgrabnej, ale emanowała niszczycielską siłą i Mads z zachwytem powiódł za nią spojrzeniem. Wykonała zwinny skręt na lewo i ignorując furię wiatru, zaczęła nabierać wysokości.

Od chmary jeźdźców, w którą kilka minut temu wbił się głuchoborski hufiec, oddzielił się liczny oddział i pomknął prosto ku ludziom Voortena.

Na to też był gotowy.

– Wiatr! – ryknął, przekrzykując łoskot kopyt.

Wojownik trzymający błękitny sztandar zerknął na niego, a Mads machnął ręką na prawo, na co chorąży zamachał parokrotnie proporcem. Voorten nie patrzył w jego stronę – ściągnął nieco wodze i skrzył w bok, a za nim Krzemień, kilku najbliższych wojowników, po nich zaś reszta oddziału. Za ich plecami rozległ się ryk pohorskich rogów.

– Za mną! – wrzasnął ochryple pułkownik. – Wiatr!

– Wiatr! – odpowiedziało mu kilku najbliższych wojowników.

Prowadzony przez niego oddział zatoczył ciasną pętlę i znieruchomiał na tyłach formacji pohorskiej, która zastygła w niemalże równym szeregu na tle nadciągającej wileckiej nawałnicy. Dzicy jeźdźcy najwyraźniej uznali osobliwe manewry przeciwników za oznakę tchórzostwa i wahania, co dodało im wigoru. Wiatr, wiejący w twarze obrońców Brzasku i wydymający ich płaszcze, przynosił wrzaski i tryumfalnie śmiechy wojowników z północy. Nadleciały już pierwsze strzały, na szczęście niecelne, a przyglądający się natarciu Mads wiedział, że lada chwila Pohorcy znajdą się w zasięgu *akkari*, toporków do rzucania, którymi Wilcy zręcznie ciskali nawet z siodeł.

Wiedział też, że Istvan nigdy do tego nie dopuści.

W powietrzu nabrzmiwał jedyny w swoim rodzaju, nieprzyjemny dźwięk. Konie targały łbami i prychały niespokojnie, a jeźdźcy oglądali się na siebie z wahaniem. Sam Mads z trudem powstrzymywał ochotę, by zerwać hełm i pogrzebać palcem w uchu, by choć spróbować się uwolnić od parszywego doznania. Naraz poczuł ukłucie satysfakcji, gdy spojrzął na masę zbliżających się Wilców.

Daleko za nimi zawracała Lharsin, która szykowała się do własnego natarcia. Łoskot kopyt i szczęk oręża przebił ryk głuchoborskich trąb, w którym pobrzmiwało jakby mniej buty niż dotychczas.

– Wytrzymacie – mruknął Voorten do siebie. – A może i się czegoś przy tym nauczycie. Bo dla tych durniów Wilców jest już za późno.

Drażniący dźwięk narastał, aż stał się zgoła nie do zniesienia. Wtedy Mads, z trudem już panujący nad swoim koniem, dostrzegł, że Pohorcy niemalże jednocześnie pochylają się naprzód. Irytujący dźwięk urwał się raptownie, a jednocześnie ku nacierającym Wilcom pomknęła ledwie zauważalna fala, przywodząca na myśl podmuch wiatru, lecz stukrotnie potężniejsza.

Moc, która niecałe dwa tygodnie temu rozsadziła bramy Brzasku, teraz przetoczyła się po nacierającym oddziale wroga, siejąc śmierć i zniszczenie na skalę, z którą Mads się dotąd nie zetknął. Patrzył na przewracane konie, na wyrzucanych z siodeł jeźdźców, na łamiące się włócznie i ścisk w tylnych szeregach wileckiego hufca. Kilka uderzeń serca później rozbrzmiały wrzaski

bólu i przerażenia oraz przeszywające rzenie rannych koni. Mads potrząsnął głową, ujął mocniej włócznię i splunął.

– Trzeba było w Wilynii, psiekrwie, zostać – wychrypiał ni to do siebie, ni to do Krzemienia. – Wiatr!

– Wiatr! – huknął oddział.

Istvan wydał rozkaz. Obrońcy Brzasku runęli do niszczycielskiej szarży.

\*

Elinaare biegła ulicami miasta.

W jej głowie wciąż huczały słowa, które niedawno usłyszała od Oriany. Świat rozmywał się przed jej oczami i kobieta ledwie zauważała ludzi mijanych w wąskich uliczkach stolicy.

– Szybciej, szybciej... – szeptała do siebie, z trudem łapiąc oddech. Po jej czole spływały krople potu.

– Dokąd to, przekłeta cholero! – wrzasnął jakiś brodac, którego zawadziła ramieniem.

Odwróciła się, żeby przeprosić go w biegu, ale wtedy wpadła na starszą kobietę, taszczącą pełne wiadro. Woda chlusnęła na błoto ulicy, a kobieta obrzuciła biegnącą stekiem przekleństw.

Nikt nie rozpoznawał w niej dawnej namiestniczki Brzasku, czemu zresztą się nie dziwiła. Miała na sobie podróżne ubranie, brudne teraz od błota, spocone włosy kleiły się jej do czoła, a w oczach, jak sądziła, tliło się szaleństwo przemieszane ze zgrozą.

Wpadła na jakiegoś zaspanego żołnierza, który wychodził z zaułku, zapinając spodnie. Tym razem podarowała sobie przeprosiny. Nie miała na nie czasu.

Na nic nie miała czasu.

Musiała jak najszybciej dotrzeć do szpitala.

Widziała już wysokie wieżycy świątyni, górujące nad rozłożonymi na ulicy namiotami, szalasami i dachami kamienic. Jak na złość tłum kłębił się tu większy niż gdziekolwiek, ale nic nie mogło jej zatrzymać. Cały świat Elinaare zwięził się do zwieńczonej łukiem bramy, która przybliżała się, lecz zatrważająco powoli. Kobieta biegła, choć pot zalewał jej oczy, płuca płonęły, a nogi stawały się coraz cięższe.

I wtedy wydarzyło się najgorsze.

W pierwszej chwili Elinaare pomyślała, że jej nogi nie wytrzymały wyteżonego wysiłku i się pod nią ugięły. Zatoczyła się



i uderzyła o ścianę pobliskiej kamienicy. Przytknęła gorące czoło do zimnego muru, po czym, wciągając z trudem powietrze, spojrzała na ulicę.

Bruk wyrzusał się tu i tam, jakby coś napierało na niego od dołu. Żołnierz zawiązujący spodnie zatoczył się i przewrócił, kobieta z wiadrem wody padła na kolana, gdzieś z trzaskiem posypał się szalas. Zaryczał przerażony muł, rozszczękały się psy, ktoś zaklął z niedowierzaniem.

Zaraz potem coś rozsadziło bruk z potworną siłą. Kamienie strzeliły na boki, z hukiem odbiły się od ścian kamienic. Któryś wyłamał z zawiasów masywne, drewniane drzwi, inny przewrócił namiot, jeszcze inny zamienił uciekającego mężczyznę w krwawą miazgę. A potem z powstałego otworu wyłoniły się dwie ogromne, pazurzaste łapy.

Oniemiała Elinaare wpatrywała się w monstrum, które płynnym, wężowatym ruchem wypłynęło na powierzchnię. Tułów istoty był niemalże całkowicie czarny i niczym skolopendra wspierał się na dziesiątkach par drobnych odnóży. Wszelkie podobieństwa do owada przekreślały jednak rozmiary istoty – wstrząśnięta Elinaare odruchowo oszacowała je na kilka kroków – oraz owe pazurzaste ramiona, groteskowo rozrośnięte i na pierwszy rzut oka nazbyt ciężkie w stosunku do rozmiarów korpusu. Ułamek sekundy później okazało się, że ich ciężar równoważy ogon, który wznosił się łukiem nad grzbiet potwora. Wienczyło go zgrubienie przypominające młot.

Istota zasyczała wściekle, obracając się to w jedną, to w drugą stronę, jakby zaskoczyła ją obecność tak wielu ludzi. Ci zaś cofali się przerażeni, a skamieniała Elinaare na niekończącą się chwilę zapomniała o czekającym ją zadaniu.

Oprzytomniała, gdy z bocznej uliczki wyskoczył obdarty pies, warcząc i obnażając kły. Monstrum drgnęło wówczas, skoczyło naprzód i z przerażającą siłą zamachnęło się pazurzastą łapą. Cios zamienił psa w buroczerwony ochłap. Któryś z mężczyzn, otrząsnawszy się wreszcie ze zgrozy, rzucił się naprzód ze wzniesioną włócznią. Potwór uskokzył zwinnie i zamachnął się ogonem. Wojownik zdołał w ostatniej chwili zrobić unik, lecz zgrubienie na końcu ogona grzmotnęło w ścianę i wybiło w niej wielką dziurę. Cegła spadła w błoto tuż obok stóp byłej Strażniczki.

Na ulicy zapanował tumult. Monstrum obracało się, przeraźliwie sycząc, tłukło ogonem i wymachiwało łapami. Ktoś padł

skrwawiony na bruk, ktoś się potknął o kamień i runął prosto pod nogi potwora, inni uciekali z wrzaskiem, potykając się i tratując nawzajem. Elinaare uświadomiła sobie, że za kilka uderzeń serca pozostanie na ulicy sama.

Mimo płynnego ołowiu w nogach i ognia w płucach rzuciła się do biegu. Choć huk krwi w skroniach zagłuszał dźwięki z zewnątrz, słyszała za sobą szmer dziesiątków par nóg, który wydawał się przybliżać. Skądś wiedziała, że potwór ją przyuważył i nie odpuści, dopóki nie pochwyci jej w swe pazurzaste łapy i nie rozszarpie na strzępy.

Zdobyła się na jeszcze większy wysiłek. Bała się odwrócić, by nie stracić równowagi i nie paść na błotnisty bruk, mimo to miała pewność, że potwór ją dogania. Wrota szpitala wciąż były tak daleko...

Trzydzieści kroków, nawet mniej! Umysł Elinaare rozpaczliwie zbierał resztki Mocy, ale zużyła jej zdecydowaną większość podczas ataku na Hoydna i wiedziała, że potrzebowałaby teraz paru dni, by osiągnąć poprzedni poziom, o ile w ogóle by się jej to udało. Z tym, co jej pozostało, zdołałaby pewnie rozpalic ognisko – i niewiele więcej.

Dwadzieścia kroków. Szmer narastał, dołączył do niego złowieszczy chrzęst, jaki towarzyszył zaciskaniu łap uzbrojonych w pazury. Z ust Elinaare wyrwał się słaby okrzyk przerażenia.

Pozostało piętnaście kroków, gdy wrota do szpitala nagle zaczęły się otwierać. Pojawiło się w nich kilkoro ludzi, bladych i zabandażowanych. Niektórzy klęczeli, inni stali, celując ku nadbiegającej bestii z łuków, kusz i włóczni. Półprzytomna Elinaare uświadomiła sobie, że szmer odnóży ścigającego ją potwora raptownie cichnie.

A potem zbrojnych roztrzącił Otluk.

Łysy osiłek pokonał dzielący ich dystans w kilku susach, złapał byłą Strażniczkę w pól i bezceremonialnie zarzucił ją sobie na ramię. Ruszył biegiem w stronę szpitala. Któryś z mężczyzn na progu krzyknął coś ochryple i w powietrzu świsnęły strzały, na co potwór odpowiedział rozdzierającym wrzaskiem.

Nim wbiegli do środka, a zbrojni zatrzasnęli wrota, Elinaare uświadomiła sobie jeszcze jedno. Pełna przerażenia wrzawa dobiegała zewsząd.

Na pamięć o Pani, pomyślała, tych bestii jest więcej. I zaatakowały całe miasto...

Opowieść, którą niedawno usłyszała od Oriany, niespodziewanie nabrała jeszcze większego sensu.

Otłuk delikatnie postawił ją na ziemi, a wtedy była Strażniczka znalazła się w objęcia Kostura.

– Córca! – wyszeptał przejęty uzdrowiciel. – Co tam się, na smocze ścierwo, dzieje?

– Źle się dzieje – wychrypiała Elinaare. – Zaraz ci wszystko opowiem, ale teraz... Teraz muszę się skontaktować z Voortenem. Zanim wszystko bez reszty trafi szlag. Otłuk?

\*

Żadna piesza horda nie zdołałaby stawić czoła pikującemu smokowi, zwłaszcza jeśli nie miała pojęcia o dyscyplinie wojskowej. Lharsin wykonała łagodny zwrot i ruszyła prosto na lewą flankę gobliniskiej zgrai, lecąc tuż nad ziemią. Każdym uderzeniem skrzydeł wzbijała tumany śnieżnej kurzawy, a z jej gardzieli wydobywał się ognisty ryk, co wystarczyło, by nawet najodważniejsze gobliny rzuciły się do ucieczki.

Prosto na lewą flankę związanych bojem Wilców.

Ci, choć właśnie część ich sił została rozniesiona przez Pohorców, nadal mieli nad obrońcami Brzasku ogromną przewagę liczebną, ale Mads liczył, że ich błyskawiczny atak wstrząśnie Wilcami na tyle, by Głuchoborzanie zdołali się wydostać z matni. Wciąż istniała szansa na to, że zdołają wrócić do bezpiecznego Brzasku.

– Naprzód! – ryknął, popędzając konia. – Burza!

– Burza!

Oddział pohorski, również rozstawiony w klin, tratował już pierwsze gobliny, a Mads zdołał zauważyć, że znaczna część uciekinierów wpadła prosto między konie Wilców, próbując się za nimi ukryć. Drobne i krępe gobliny nurkowały pod końskimi brzuchami i przemykały jak najdalej w głąb wileckiej hordy, potęgując zamieszanie w szeregach konnych barbarzyńców.

Wtedy nad nimi pojawiła się Lharsin. Smoczyca przez moment tkwiła nieruchomo na tle stalowego nieba, tłukąc wściekle skrzydłami. Wstrząśnięci jeźdźcy w jednej chwili zapomnieli o walce z Głuchoborzanami, całkiem pochłonięci desperacką walką o zapanowanie nad swymi końmi – przynajmniej ci, którzy nie rzucili się do panicznej ucieczki.

– Będę was żarła! – zaryczała smoczyca.

I opadła w sam środek zbitej grupy, miażdżąc ludzi i konie. Kliny obu oddziałów uderzyły w Wilców zaraz potem.

Mads pochylił się nad końskim karkiem. Odbijał przypadkowe ciosy tarczą i dźgał włócznią, zrzucając z siodła każdego, kto znalazł się wystarczająco blisko. Włócznię tę rychło stracił, gdy jej ostrze uwięzło między żebrami wyjątkowo rosnącego Wilca, a spłoszony rumak rzucił się do ucieczki. Mads chwycił wówczas za miecz i rąbał naokoło, ogłuszony wrzawą bitwy, pijany od zapachu krwi i strachu. Koń szalał pod nim, kopiąc i przewracając inne wierzchowce, nadal jednak słuchał poleceń swego pana, który powoli, wytrwale kierował go ku Głuchoborzanom.

Ci ponieśli wielkie straty – było to widać już na pierwszy rzut oka – ale wytrzymali wściekły napór barbarzyńców z honorem. Pokrwawieni, w potłuczonych zbrojach, niekiedy na zdobycznych koniach, parli teraz naprzód, wnosząc ochryple okrzyki bojowe. Odległość między nimi się kurczyła, aż Mads, wnosząc się do kolejnego ciosu, dostrzegł Malhorna. Głuchoborzanin wyszarpywał właśnie miecz z trzewi zsuwającego się z siodła przeciwnika, gdy ich spojrzenia się spotkały. Brodatą twarz rozjaśnił szeroki, ponury uśmiech.

– Znowu razem na polu bitwy! – wychrypiał, gdy się zrównali. – Tym razem, przyjacielu, nie zarzucę ci zdrady!

Mads pospiesznie go otaksował. Z naplecznika Malhorna sterczała *akkari*, a hełm i zbroja nosiły ślady dziesiątków wrogich ciosów. Twarz rycerza była zbryzgana krwią, którą Mads uznał za cudzą, bo Głuchoborzanin nie przestawał się szeroko uśmiechać.

– Teraz to mi naprawdę ulżyło! – odkrzyknął. – Ja natomiast chętnie ci przybliżę, czym jest głupota!

– Głupota? – Malhorn zmrużył oczy. – Rozejrzyj się! – ryknął. – To zwycięstwo!

Coraz więcej Wilców odłączało się od walczących i w nieskładnych kupach ruszało na wschód, tratując wrzeszczące z przerażenia gobliny. Lharsin ryczała i tłukła skrzydłami, wnosząc się do lotu, a gdzieś dalej Istvan dał w róg, nakazując swoim kawalerzystom zwanie szyku.

– Głuchobory! – huknął nieopodal Gulvard.

Stary wojownik stracił hełm, a jego siwe, zmierzwione od wiatru włosy były ciemne od krwi. Z napierśnika sterczały dwie nadłamane strzały. W jednym ręku nadal trzymał miecz,

a w drugim ułamane drzewce sztandaru, którym machał nad głową.

– Nadszedł dzień kolejnego zasłużonego zwycięstwa! – krzyczał. – Uczyńmy je pełniejszym! Naprzód! Za mną! Ścigajmy wroga!

Mads zapragnął wykrzyzczyć wiele rzeczy. Chciał wytłumaczyć staremu rycerzowi, że ich wierzchowce są zmęczone, poranione, a do tego znacznie cięższe od lekkich wileckich koników. Chciał mu przypomnieć, że Wilcy są ruchliwi, łatwo się przegrupowują i opanowali do perfekcji manewry oskrzydlenia na szerokim terenie. Chciał wykrzyzczyć, że znakomicie strzelają z siodeł, a rycerz na zmęczonym koniu stanowi świetny cel – ale nie zdążył.

Świat bowiem naraz przesłoniła mu szara mgła, w której rozbrzmiał krzyk Elinaare: „Mads! Mads! Wracaj do miasta! Natychmiast! Ludzie są w niebezpieczeństwie! Atakują nas jakieś... Jakieś potwory!”.

„Elinaare! – krzyknął w myślach, odruchowo ściągając wodze. – Nic ci nie jest?”

„Nic! Jestem w szpitalu! Pospiesz się, błagam. To coś... To coś się tutaj wdziera!”

„Wracam! – rzucił Voorten. – Odsuń się od Otluka, bo nic nie widzę!”

„Poczekaj! Jeszcze jedno! Ratuj Lharsin!”

„Co?”

„Jaszczur jej pożąda!”

Szarość raptownie ustąpiła i oszołomiony Voorten uświadomił sobie, że nadal tkwi w samym środku bitewnego szaleństwa. Obrócił konia, by spojrzeć na Brzask, i zamarł. Pięścią trącił Malhorna, który również popatrzył we wskazanym kierunku.

I zaklął.

Nad murami miejskimi kłębiły się istoty, które na pierwszy rzut oka przypominały monstrualne ważki. Skakały po dachach i niszczyły je własnym ciężarem, a inne biegały po murach, roztrzaskując nielicznych obrońców. Tu i ówdzie buchały dymy, kładące się nisko pod naporem wiatru.

– Co to, kurwa, jest? – wycharczał Malhorn. – Za małe na Smoczęta!

– Nie wiem – odrzekł Mads. – Dowiemy się, jak obejrzymy sobie ich ścierwa. Wracamy do miasta!

Malhorn spojrział w kierunku Gulvarda, który właśnie nakładał zdobyczny hełm. Arystokrata nadal stał w strzemionach

i krzyczał:

– Do mnie! Do mnie, rycerze! Czeka nas ostatnia szarża, a po niej tryumf, jakiego nigdy nie zaznało rycerstwo głuchoborskie!

– Odwróć się! – syknął Mads. – Udawaj, że nic nie widzisz. I przyszykuj się na przejęcie dowodzenia.

– Coś ty znowu wymyślił... – jęknął Malhorn, ale posłusznie zawrócił konia.

Wówczas Voorten wyszarpnął toporek tkwiący w napleczniku przyjaciela, zamachnął się i cisnął nim w niechronioną hełmem głowę Gulvarda. Po chwili stary rycerz zachwiał się w siodle.

– Brzask! – huknął Malhorn. – Brzask został zaatakowany! Pies trącał Wilców! Smoczyca powróciła!

– Dobra robota! – mruknął Mads, widząc Głuchoborzan odwracających spojrzenia ku murom miasta. – Wiatr! – zakrzyknął. – Wracamy!

\*

Masywne drewniane wrota z drewna wytrzymały tylko dwa ciosy. Trzecie uderzenie zgrubiałego na końcu ogona zerwało górne zawiasy i praktycznie wbiło oba skrzydła do środka. Obrońcy cofnęli się przed gradem drzazg, a potem jeszcze bardziej, gdy oba skrzydła z hukiem rąbnęły o posadzkę kaplicy, a do środka wtargnął potwór.

Dziesiątki odnóży zachrząściło na posadzce, a pazurzaste ramiona wznosiły się wysoko. Z potężnej paszczy wydobywał się głuchy, chrapliwy syk. Rozwścieczone stworzenie wdzierало się do wnętrza kaplicy, ufne w swą potęgę, przeświadczone o przerażeniu, jakie wzbudza. Z wnętrza szpitala dobiegły wrzaski i łoskot przewracanych mebli. Kupka to czekał dziko, to znów skamlał cicho, bojaźliwie.

Elinaare przeszło przez myśl, by cofnąć się w głąb szpitala, uspokoić ludzi, może pomóc im w ewakuacji, ale wiedziała, że Kostur już się tym zajął, a poza tym... Cóż, poza tym nie mogła oderwać wzroku od potwora. Był obrzydliwy i potężny. Jego syk stawał się coraz bardziej chrapliwy, coraz bardziej dojmujący.

I nagle monstrum zamarło.

Przed nim bowiem siedział Pokrzewka.

Chłopak rozsiadł się ze skrzyżowanymi nogami, splótł dłonie i wpatrywał się w nadciągającą bestię. Przekrzywił rozczochraną głowę niczym kot, który dostrzegł coś intrygującego. Nie było po

nim znać strachu, a jedynie owo osobliwe dzikie zaintrygowanie, które ogarniało go zawsze wtedy, gdy wypijał wywar z ziół dający mu władzę nad ludzkimi umysłami.

Elnaare nigdy by się nie domyśliła, że chwastownik potrafi wpłynąć również na umysł potwora.

Stworzenie zamarło. Jego odnóża nadal się poruszały, ale w miejscu, jakby potwór natrafił na niewidzialną przeszkodę. Syk wydobywający się z gardzieli nagle przeszedł w ochryply warkot, jakby potwór podjął walkę, ale żadną miarą nie umiał osiągnąć przewagi.

Na bladym obliczu Pokrzewki pojawił się złowieszczy uśmiech. Z prawego nozdrza pociekła mu strużka krwi. Potwór drżał na całym ciele.

Naraz jego syk zaczął przypominać ludzką mowę.

– Jaszczur... rzuci was... na kolana... – wystękał.

Pokrzewka w odpowiedzi pochylił się ku niemu, jakby zamierzał na niego skoczyć. Potwór się cofnął, a wtedy tuż obok niego wyrósł Otluk.

Olbrzym zamachnął się trzymanym w rękę młotem, którego obuch wbił się prosto w pysk bestii, łamiąc jej kły i druzgocząc podniebienie. Syk przeszedł w pisk świdrujący uszy, ramiona się wzniosły, zakończony zgrubieniem ogon również, ale wtedy wokół stworzenia wyrosli inni obrońcy szpitala. Zachęceni przykładem Otluka, dźgali bestię bez litości, z zawziętością i furia, aż ta zaczęła się wycofywać, nie przestając pisać i znacząc posadzkę coraz większymi plamami ciemnoczerwonej posoki. Elnaare z fascynacją patrzyła, jak pokiereszowane ramiona potwora w końcu opadają, a w ślad za nimi również ogon.

Pokłute i poranione monstrum wyzionęło ducha, a wtedy Pokrzewka się zachwiał, jakby uderzył weń silny wiatr. Elnaare przypadła do niego i przytuliła go ze wszystkich sił.

– Już dość – szepnęła mu do ucha. – Dość się napracowałeś! Odpocznij!

Pocałowała go w gorące, wilgotne od potu czoło i raptownie wstała.

– Kostur! – rzuciła do starego uzdrowiciela, który stał w kącie, wsparty o lasce, niezdolny do wykonania choć kroku. – Nie ruszaj się! Już do ciebie idziemy!

Zarzuciła sobie rękę Pokrzewki na ramię i pomogła chłopcu wstać, po czym dowlokła go do uzdrowiciela, który natychmiast oparł obie dłonie na marchewkowej czuprynie chwastownika.

– Ty żeś się już, dziecko, nawojował – szepnął, a w jego ochryplym głosie pojawiło się niespotykane u niego ciepło. – Co się tam dzieje, córciu?

Elinaare odwróciła się ku wyważonym wrotom. Obrońcy szpitala dla pewności wbijali jeszcze włócznie w cielsko potwora, ale niektórzy z nich, z Otlukiem na czele, już wycofywali się do wnętrza kaplicy. Spoglądali w górę, co było złym znakiem.

– O wiele za dużo – szepnęła kobieta. – Zabarykadujcie się tu. Ja się muszę rozejrzeć.

– Chyba rozum postradałaś! – huknął Kostur i wyciągnął dłoń, jakby chciał złapać byłą Strażniczkę za ramię, ale ta się wyslizgnęła. – Wracaj tu w tej chwili!

– Zajmij się Pokrzewką! – rzuciła, biegnąc. – I Kupką!

Wymięła zewłok na schodach, wciąż wstrząsany agonią, i puściła się pędem po zasłanej odłamkami ulicy. Nie chciała zostać z Kosturem i jego pacjentami – czuła się tam osaczona i bezużyteczna, a poza tym wiedziała, że tylko na ulicach Brzasku będzie mogła do końca rozgryźć tajemnicę Jaszczura.

Biegła niestrudzenie, a jej buty skrzypiały na ubłoconym śniegu, tu i ówdzie zbryzganym krwią. Przeskoczyła nad przewróconą latarnią uliczną, wymięła zdruzgotany wóz, wciąż przypięty do zmiażdżonego końskiego trupa, zatrzymała się przy zwłokach jakiejś starszej kobiety. Nachyliła się, odruchowo sprawdziła puls, zacisnęła z zawziętością zęby, gdy go nie odnalazła.

Nad ulicą przemknęło jakieś rozwrzeszczane stworzenie, ale znikło za dachami, nim Elinaare zdążyła spojrzeć w górę. Skądś dobiegały wrzaski bólu i przerażenia, zagłuszone przez ochryple ryki bestii. Gdzieś z trzaskiem zawalił się dach, gdzieś indziej z rozpaczą szczekał pies, jeszcze gdzieś indziej wyła doprowadzona do ostateczności kobieta.

Miasto dygotało w konwulsjach, rozszarpywane na strzępy przez horde skrzydlatych hien uzbrojonych w ostre szpony.

To przed tym uciekli Tuistanie? – zastanawiała się Elinaare. Przed tym plugastwem? Tuistanie, którzy tak skutecznie gromili o wiele większe i groźniejsze Smoczęta?

Pod jej stopami to mlaskało błoto, to znów chrzęściły okruchy porozbijanych szyb. Naraz na jej drodze wyrosło rumowisko po zniszczonej kamienicy. W dachach sąsiednich budowli ziały ogromne jamy, a wysoko nad nimi beztróska świeciło słońce, jak zwykle obojętne na ludzkie tragedie.



Elinaare zwolniła. Jej serce biło mocno, a w skroniach huczała krew, ale mięśnie miała wciąż zeszywniałe po szaleńczym biegu do kaplicy i czuła, że szybko opuszczają ją siły. Zdyszana, oparła się obiema dłońmi o hałdę gruzów i parokrotnie wciągnęła zimne powietrze do płuc. Otarła zwilgotniałe oczy, by się rozejrzeć.

Drzwi sąsiedniej kamienicy niespodziewanie eksplodowały, rozbite od środka przez ogromną, płaską paszczę. Przywodziła na myśl żółwi pysk, ale przecież żaden żółw nie ma czworga oczu ani długich spiczastych uszu, poruszających się z obrzydliwym chrzęstem! Elinaare zachwiała się i odruchowo cofnęła o krok, a łeb pędził ku niej, rozchylając zębaty pysk.

Kobieta zauważyła jeszcze długą, pomarszczoną szyję, która wyłoniła się z wejścia, a potem dostrzegła, jak front kamienicy drży, kruszy się, aż wreszcie pęka w połowie wysokości, uwalniając cielsko potwora. Bruk pod jej stopami zadygotał, gdy ściana osunęła się z łoskotem, a w powietrze buchnęły kłęby pyłu.

Łeb bestii wyłonił się z nich dwa uderzenia serca później i zastrzygł spiczastymi uszami.

Elinaare zaś, cofnąwszy się o jeszcze jeden krok, uświadomiła sobie, że nie da już rady uciekać.

– Może trzeba było zostać z Kosturem – szepnęła. – A może...

W jej dłoniach pojawiły się dwa sztylety o cienkich ostrzach, ongiś znak rozpoznawczy i jedyna broń każdej Smoczej Strażniczki.

– A może nie... – mruknęła i rzuciła się do ataku.

Jej umysł był czysty i pusty. Nie myślała o Bieliku, o Tuistanach, Madsie czy przyszłości. Chciała jedynie zadać tej bestii ból przed śmiercią.

Własną śmiercią.

Pył z wolna opadał i widziała już, że potwór przypomina bardziej gigantyczną jaszczurkę aniżeli żółwia. Jego szyja zaś okazała się dłuższa, niż Elinaare sądziła, co z kolei oznaczało, że jego ataki niekoniecznie będą szybkie. To zaś stwarzało okazję, by dziabnąć bestię tak, by popamiętała.

Przypadła do potwora, płynnym ruchem uniknęła ciosu jaszczurzych pazurów, zawirowała i dwoma chłaśnięciami rozpruła bestii skórę szyi. Ciemnoczerwona krew trysnęła na gruz, a z paszczy bestii wyrwał się urywany ryk. Elinaare odskoczyła, kątem oka rejestrując, że bestia wznosi wysoko łeb, przypuszczalnie po to, by zaatakować, ale w umyśle kobiety nadal panował czysty, niczym nieskażony spokój. Dostrzegła już wąską

bramę i wiedziała, że zdoła jej dopaść i skryć się w środku. Gdy zaś potwór wciśnie łeb do środka, chlaśnie go znowu, może mocniej, może kilkakrotnie...

Biegła już, z trudem poruszając obolałymi, zeszywniałymi nogami, gdy się potknęła. Upadła boleśnie na ziemię, gubiąc jeden ze sztyletów. Odwróciła się odruchowo, akurat by ujrzeć zmierzający ku niej potworny łeb z rozwartą paszczą. Z jej ust wyrwał się okrzyk przerażenia, a ów pozorny spokój, który ją otaczał, wyparował w jednej sekundzie.

Nagle pożałowała, że nie została w kaplicy. Że zmarnowała jedyną szansę, by przeżyć i być może jeszcze raz ujrzeć Dunstana.

– No chodź! – zawołała, celując w żółwi pysk samotnym, żałośnie drobnym sztykletem. – No chodź tutaj!

Potwór uniósł łeb jeszcze wyżej i rozwarł paszczę, jakby się szykował, by ją połknąć w całości, ale niespodziewanie zatrzymał się i znieruchomiał. Na oczach oszołomionej Elinaare jego skórę powlekła granitowa szarość, która niosła się coraz niżej i niżej, aż ogarnęła tułów. Krew przestała sikać z ran, oczy zgasty, język, szalejący wśród kłów, znieruchomiał.

Skalmir, który stanął nad Elinaare, klasnął głośno.

Dźwięk poniósł się po uliczce, a wtedy gadzi pysk zaczął się rozsypywać.

Kobieta, podnosząc się, patrzyła, jak od skamieniałej bestii odpadają grudki, z początku drobne, potem coraz większe, aż granitowa szyja nie utrzymała ciężaru łba i pękła z hukiem. Elinaare odetchnęła z niedowierzaniem i przeniosła spojrzenie na Skalmira.

Wichrogórski mag, choć wydawało się to zgoła niemożliwe, sprawiał wrażenie jeszcze bardziej znużonego i wycieńczonego niż wcześniej. Powoli wykrzywił spękane wargi i osobliwie nonszalanckim gestem podrzucił kamień odebrany Orianie.

– Nigdy w życiu nie widziałam takiego popisu mocy – wychrypiała Elinaare.

Skalmir skrzywił się jeszcze bardziej.

– To nie jest nawet cząstka tego, co kiedyś potrafilismy – rzucił. – Teraz...

Urwał, bo coś nagle przesłoniło blask słońca. Zadarł głowę. Elinaare w ślad za nim.

Po niebie mknął kolejny stwór, długi i rozciągnięty niczym monstrualna jaszczurka. Falował intensywnie i miotał ogonem na boki, co najwyraźniej pomagało mu w sterowaniu, a nośność

zapewniały mu ogromne, wydęte płaty skóry rozciągnięte między odnóżami. Stwór wydawał się szybować, ale czynił to niezwykle sprawnie. Niczym monstrualny czarny liść wykręcił salto w powietrzu i ku nim zapikował.

Z paszczy bestii dobył się przeszywający ryk. Elinaare kątem oka widziała, jak pęka szyba w ostatnim ocalałym oknie sąsiedniej kamienicy.

Skalmir cofnął się i zachwiał.

– Uciekaj – wycharczał. – Z tym już chyba nie dam sobie rady. Mogę spróbować, ale...

– Spróbujemy razem! – zawołała kobieta, przyzywając mizerne resztki swej Mocy. – Jak otworzy paszczę do wrzasku, cisnę mu w nią ogniem!

Skalmir skinał głową. Powoli wciągnął powietrze w płuca i zacisnął posiniałe powieki. Kamień zdawał się drzeć w jego dłoni. Elinaare spojrzała na szybującego stwora, który z każdym uderzeniem serca przybliżał się coraz bardziej.

Nagle zdała sobie sprawę, że już za późno na ucieczkę. Że jej desperacki plan, który przyniósł jeszcze jakiś skutek w walce z kalekim Hoydnem, nie zda się na wiele w starciu z szybkim, przebiegłym monstrem, którego atak zbliżał się równie nieubłaganie jak czoło lawiny.

Wtedy bruk ulicy zadrżał pod kopytami koni.

Gdzieś u wylotu ulicy pojawiło się kilku jeźdźców, którzy miast zawrócić na widok pikującej bestii, spięli konie i runęli naprzód. Elinaare na chwilę zapomniała o latającym potworze – patrzyła na rozpędzonych kawalerzystów, wznoszących do strzału dziwacznie wyglądające kusze. Z furkotem wyleciały z nich belty o rozgałęzionych ostrzach, które z głuchymi młaśnięciami przebijały skórę skrzydeł. W okamgnieniu pojawiło się w nich pięć wielkich dziur.

Potwór zaryczał, unosząc łeb ku niebu. Wzniósł się wyżej, machając ogonem, którego koniec przeorał dach pobliskiej kamienicy, Jeźdźcy spięli rumaki, by uchronić je i siebie przed deszczem ostrych odłamków. Nie oznaczało to jednak, że stali się mniej groźni. Elinaare z zaskoczeniem patrzyła, jak któryś zawraca konia i jednocześnie kręci nad głową liną zakończoną kotwiczką. Dwóch innych już szło w jego ślady.

Tylko jedna kotwica znalazła punkt zaczepienia – zahaczyła o dziurę w skrzydle, wyszarpniętą wystrzelonym chwilę temu beltem. Potwór targnął w bok, chcąc się uwolnić, ale ostro

zakończona kotwiczka darła skórzastą błonę, aż dotarła do krawędzi. Wówczas okazało się, że bestia utraciła część swej nośności.

Chwilę później zaś stało się jasne, że potwór, który potrafi tylko szybować, nie powinien w zasadzie zniżać się nad ulice.

Bestia łopotała desperacko skrzydłami i tłukła ogonem, który masakrował kolejne fasady, ale jeźdźcy podążali za nią zawzięcie, aż zawadziła zdrowym skrzydłem o jakiś balkon, zerwała go, po czym runęła na ziemię. Wciąż tłukła ogonem, jeźdźcy wstrzymali więc konie, ale wtedy z drugiej strony wyjechał inny pododdział.

Któryś z jeźdźców wzniósł włócznię zakończoną błękitnym proporczykiem i wykonał pchnięcie. Elinaare niemalże słyszała grzyt, z jakim ostrze wbijało się czaszkę.

Spod hełmu kawalerzysty wypływały jasne włosy.

– Dunstan – wychrypiała. I zaraz krzyknęła, machając do niego ręką: – Dunstan!

Chciała iść ku niemu, ale wyczerpanie okazało się silniejsze. Zrobiła krok i wsparła się na chudym ramieniu Skalmira. Zacisnęła powieki i wtedy uświadomiła sobie, że ktoś inny zatrzymał konia tuż za nią. Usłyszała znajome prychnięcie, a potem, gdy z niemałym trudem otworzyła oczy, dostrzegła Voortena.

Mads zsunął się z siodła, odruchowo poklepał Żmijkę po karku i podszedł do kobiety i Wichrogórze. Był zbryzgany krwią i półprzytomny ze zmęczenia, ale w jego oczach nadal tlił się blask zawziętości.

– To się... – zaczął, ale urwał, by odkaszlnąć. – To dopiero się porobiło, co?

# Rozdział jedenasty



Mads Voorten podszedł powoli do zewłoku rozciągniętego wśród gruzów ulicy. Kucnął i przyglądał się szklistemu ślepiu. Wyciągnął sztylet i podważył grubą wargę potwora, by spojrzeć na jego kły. Palcem wolnej ręki przesunął po łuskach szyi, a potem podniósł się ze stęknięciem i splunął siarczyście na truchło.

– Zamknij się, Kupka – warknął na psa, który zajadłe oszczekiwał zwłoki.

Zwierzę umilkło, nieco wystraszone ostrym tonem głosu swego pana. Przechyliło nieproporcjonalnie duży łebek i obrzuciło go pełnym wyrzutem spojrzeniem, ale Mads nie zwrócił na to uwagi. Wpatrywał się w stojących przed nim ludzi.

– Czy ktoś z was wie – wychrypiał, wskazując zabitą bestię – co to właściwie, kurwa, jest?

Malhorn westchnął ciężko i pokręcił głową. Bielik otwierał i zaciskał powieki, jakby usiłował się czegoś spod nich pozbyć. Istvan stał nieruchomo z rękami założonymi na pogiętym pancerzu i milczał zawzięcie, podobnie jak jego kruk, wiercący się niespokojnie na naramienniku. Nie odzywali się ani znużony Skalmir, ani Kostur wsparty na ramieniu wiernego Otluka. Milczał przycupnięty wśród ruin Pokrzewka, trącając cichutko struny swej zakurzonej lutni.

– Ja wiem – odezwała się niespodziewanie Elinaare, siedząca na przewróconej kolumnie. Promienie zimowego słońca padły na jej błądą, wynędzniałą twarz, kiedy się podnosiła, by dołączyć do mężczyzn. – Choć chyba wolałabym nie wiedzieć. Rozmawiałam przed atakiem z Orianą – zaryzykowała szybkie spojrzenie na Madsa – i nagle wszystko mi się poukładało w głowie.

– Jakbyś tak mówiła konkretniej, córciu – wychrypiał Kostur – wszyscy byśmy na tym zyskali.

– W rękach Oriany i pozostałych Smoczycich Strażniczek znalazły się trzy wichrogórskie kamienie, dzięki czemu zyskały niebywały przyływ Mocy. – Elinaare mówiła teraz szybko, jakby się bała, że zaraz ktoś jej przerwie i nie będzie już mogła dokończyć. – Zaczęły ją wykorzystywać do ściągania Smocząt.

– Oriana zawładnęła jednym latającym plugastwem już w Szelażu – oznajmił Mads. – Nad armią Smoszczurów też ich kilka latało.

– Albo nawet kilkanaście – dodał Bielik. – Ale po co? I dlaczego dopiero teraz, matko? Na odchodnym?

Policzki Elinaare nagle pokraśniały.

Matko, przemknęło jej przez myśl. Nazwał mnie matką. Przy wszystkich.

Czynił to co prawda wcześniej, ale fakt, że pamiętał o tym w tej chwili, niespodziewanie dodał jej energii.

– Prawdą jest, że Tuistanie długo nie mogli zdecydować, jak potraktują Smoczęta – odpowiedziała mocnym głosem. – Z początku próbowali je czcić jako dzieci Smoczy, potem, gdy okazało się, że większość z nich to zwykle szkodniki, tępil je bez litości. Wszystko się zmieniło, gdy Jaszczur objawił się po raz pierwszy. – Elinaare przeniosła spojrzenie na Skalmira. – W swej pysze popełnił zasadniczy błąd. – Mówiła teraz ciszej, jakby próbowała się otrząsnąć z dręczących ją złych wspomnień. – Wędrował przez jakiś czas pod ludzką postacią po Rozkrzyczanych Krainach i poznawał nasz świat, aż doszedł do wniosku, że jedynym prawdziwym zagrożeniem są dlań Smocze Strażniczki. W jakiś sposób dowiedział się o wichrogórskich kamieniach i przejął te, których nie zagarnęła Oriana. Jeśli chcesz wiedzieć, jak stawiał czoła Wiecznej Zamieci – Elinaare wciąż wpatrywała się w Skalmira – nie odpowiem ci, ale przypuszczamy, że jego Moc opiera się na ogniu, a to mogło wystarczyć. W każdym razie posłużył się właśnie ogniem, gdy zaatakował Smoczy Dom.

Malhorn gwizdnął cicho pod nosem, a Mads prychnął tak, że nie sposób go był nie usłyszeć.

– Że co? Sam jeden napadł na tę waszą wylęgarnię szerszeni?

– Był to błąd – odparła chłodno Elinaare. – Jaszczur to półbóg, a do tego miał do dyspozycji moc wichrogórskich kamieni, ale nie zdołał stawić czoła całemu zakonowi. Nie wiem, ile moich byłych sióstr zginęło, ale jestem przekonana, że go przepędziły. Co więcej, jego manifestacja sprawiła, że wizje Króla-Wieszczka stały się wyraźniejsze i przyspieszyły decyzję o odejściu.

– Ucieczce – burknął Malhorn. – Chyba za dużo czasu spędziłaś w Brzasku, bo zaczynasz gadać jak Strażniczki.

– Przestań się czepiać – odezwał się Mads. – A ty mów, Elinaare. Bo rozłazi się ta opowieść.

– Strażniczki nie wabiły Smocząt dla zabawy. – Kobieta przeniosła spojrzenie na zalegający na ulicy zewłok. – Skupiały się, o czym nie wiecie, tylko na samicach. Chciały ich ściągnąć jak

najwięcej, bo wiedziały, że Jaszczur robi dokładnie to samo. Z tym wyjątkiem, że...

Głos ją zawiódł. Milczała przez moment, przetykając ślinę.

Pierwszy zrozumiał ją Mads.

Wojownik zachwiał się nagle, zacisnął powieki i pokręcił głową.

– O ja pierdołę – wychrypiał. – Nie, Elinaare. Nie.

– Właśnie tak. – Kobieta odzyskała mowę. Patrzyła teraz prosto w słońce, jakby pragnęła, by jego blask wypalił ciemność w jej umyśle. – Jaszczur niewoli Smoczęta płci żeńskiej i płodzi z nimi te... te poczwary. Nikt nie wie, ile udało ich się zgromadzić, ale...

Jej spojrzenie na moment przesłoniła mgła. Kobieta zacisnęła usta i odwróciła głowę, a potem popatrzyła prosto na Skalmira.

– Na co stać kogoś, kto posiadał kilka wichrogórskich kamieni, Skalmirze? – spytała cicho, niemalże szeptem. – Czy mógłby dla przykładu... Czy mógłby zatrzymać czas?

Czarodziej gwałtownie się wyprostował. Wpatrywał się intensywnie w byłą Strażniczkę, a jego grdyka unosiła się i opadała.

– To niemożliwe – odparł w końcu. – Zarówno teoria, jak i praktyka mówią, że czas jest jedyną składową rzeczywistości, na którą nie jesteśmy w stanie wpłynąć.

– Żle się wyraziłam – oznajmiła kobieta. – Chodziło mi raczej o to, czy dzięki owym kamieniom dałoby się pozbawić przytomności wszystkich ludzi w mieście i w promieniu kilkudziesięciu mil od niego.

– To zależy – rzekł niechętnie Wichrogórzanin.

– Czyli można. – Elinaare uśmiechnęła się bez wesołości. – Bo gdyby ktoś chciał poznać moje zdanie – ciągnęła, przyglądając się każdemu z mężczyzn z osobna – powiedziałabym, że Jaszczur nadleciał nad miasto i spuścił nań całą horde tych bękartów, które następnie przyczyły się, gdzie tylko mogły, odczekały, aż wojsko opuści Brzask – przy tych słowach zerknęła na Malhorna, który zmełł przekleństwo – i wypadły z kryjówki, by siać zniszczenie.

– Czemu miałyby się przyczajać? – odezwał się kruk Istvana. – Dlaczego nie zaatakowały w nocy, gdy wszyscy leżeli nieprzytomni?

– Nie wiem, bracie – odparł ponuro Mads i spojrzał na pobladłego Pohorca. Istvan gładził kruka po łebku z rzadką dla siebie czułością. – Może nie zdążyły. Może Jaszczurowi



poprzestawiało się we łbie. Może chodziło o coś jeszcze innego. Wiem tylko tyle, że słowa Elinaare mają sens.

– Naprawdę? – szepnęła kobieta. – Myślałam, że będziecie kpić i dowodzić jeden przez drugiego, że to wszystko bzdury! Że to słowa podsunięte przez Smoczą Strażniczkę, której zależy tylko na tym, by zasiać wśród nas strach!

– Desant Jaszczura nie przebiegł bez przeszkód – burknął Mads. – Kostur pokazał mi kilka trupów nieszczęśników, którzy mieli pecha znaleźć się na drodze tych parszywych bękartów. – Zerknął na starego uzdrowiciela, który ponuro pokiwał głową. – To naprawdę składa się w całość – dodał po chwili. – Ileśmy utłukli tego plugastwa?

– Dwadzieścia parę sztuk – powiedział Malhorn. – Nie więcej. Sporo zwało.

– Ile tego Jaszczur jeszcze może mieć? – Mads zwrócił się do Elinaare, która wzruszyła ramionami.

– Jak sam wiesz, Smoczy Zakon od zawsze prowadził szczegółową ewidencję wszystkich Smocząt – odparła. – Sporo z nich zginęło, w czym zresztą sam miałeś udział. Jeśli więc odliczyć zabite, przejęte przez Strażniczki oraz osobniki płci męskiej, Jaszczurowi zostało około piętnastu smoczyc. O ich zdolności reprodukcyjne lepiej mnie nie pytaj... chyba zaczynasz już sam rozumieć powody, dla których Oriana zapragnęła przejść Lharsin.

Mads pobladł.

– To największa z żyjących smoczyc, Mads – dodała Elinaare. – Jeśli wpadnie w łapska Jaszczura...

Nie dokończyła.

– Ten bydlak chce mi wydupczyć smoczycę? – wychrypiął Voorten. – Ta cała wojenka przeradza się w osobistą sprawę.

Nikt się nie roześmiał. Zapadła cisza, w trakcie której każdy ze stojących wśród gruzów ludzi liczył, że usłyszy coś, co przywróci mu nadzieję albo rozwieje lęk. Miast tego docierały do nich inne odgłosy – krzyki osób poszukujących bliskich, wycie powodowane bólem i rozpaczą, płacz dzieci i gniewne pokrzykiwania żołnierzy. Nad zrujnowanym, dymiącym Brzaskiem, wciąż opromienianym przez obojętne słońce, kołowały kruki i wrony.

Jako pierwszy ocknął się Kostur.

– Gadajcie sobie dalej, jeśli sprawia wam to przyjemność – oznajmił. – Ja wracam do szpitala.

– Idź – powiedział miękko Mads. – My zaś... cóż, my też nie mamy sobie już wiele do powiedzenia, bo wygląda na to, że pieprzone Smoszczury pozostawiły nas na pastwę nadciągającej katastrofy. – Wciągnął powietrze, drżąc na całym ciele. – Może jeszcze kiedyś przyjdzie czas, by się zemścić – dodał. – A może nie, bo czeka nas wojna, jakiej jeszcze Rozkrzyczane Krainy nie widziały. Malhornie, Istwanie, Skalmirze, każdy z was powinien w te pędy skrzyknąć swoich ludzi i gnać do ojczyzn, by przygotować je do obrony, ale... Ale poproszę was, byście zostali jeszcze na krótki czas. Brzask jest pełen uchodźców, zwykłych ludzi, którzy schronili się tu w nadziei na chwilę spokoju. To kobiety z dziećmi, chłopci, rzemieślnicy, starcy, niekiedy ranni bądź chorzy. Zostańcie, proszę. Wspólnie zapewnimy im bezpieczny odwrót, a potem... Potem się zastanowimy, co dalej.

Malhorn z powagą skinął głową. Na kamienną twarz Istvana zagościł ledwie dostrzegalny uśmiech. Skalmir wpatrywał się w Voortena z niedowierzaniem.

I to właśnie on zadał pytanie, które przypuszczalnie dręczyło wszystkich.

– A dokąd ich poprowadzisz?

– Pewien krasnolud jest mi coś winien. – Mads uśmiechnął się po szelmowsku. – Znaczy się, nie jest, ale jakoś knypka przekonam. Ruszcie się, chłopaki. Mamy sporo do zrobienia. – Mrugnął do Elinaare i klepnął w ramię Dunstana. – Chwacko się sprawileś z Wiatrem, chłopcze – szepnęła młodzieńcowi do ucha, ale ten nie odpowiedział ani nawet się nie uśmiechnął.

Wpatrywał się w trupa Jaszczurzego bękartą, a jego oczy były całkowicie szkliste.

\*

W Brzasku, spustoszone i wciąż dymiące po uderzeniu potworów – które po wyznaniu Elinaare natychmiast ochrzczono mianem Bękartów – na powrót zawrzało. Ci z żołnierzy, którzy wyjechali za bramy, by uderzyć na Wilców i gobliny, mieli chwilę wytchnienia, ci natomiast, którzy z różnych powodów nie zdołali się stawić do walki, otrzymali teraz świeże rozkazy. Bruk drżał od uderzeń końskich kopyt, krzyki i nawoływania niosły się echem po zawalonych gruzem uliczkach, a odpowiadały im niekończące się pytania, zawrozenia, przekleństwa. Zbrojni wywlekali uchodźców z piwnic oraz na poły zrujnowanych kamienic

i nakłaniali ich do pospiesznego spakowania dobytku, choć w miarę jak słońce zmierzało coraz bliżej linii horyzontu, ich cierpliwość zdawała się kurczyć.

Mads stał na rogu ulicy i przyglądał się trzem zahartowanym weteranom z Wiatru, którzy otoczyli niewysoką, owiniętą w koce kobietę tulącą do siebie dwójkę dzieci i wypytującą o coś płaczącym głosem. Nie słyszał słów, ale widział gestykulację, która nie pozostawiała wątpliwości – kobieta z rozpaczą wskazywała dom, z którego ją wyprowadzono, i kręciła głową, zalewając się łzami, ale wojacy niewzruszenie ujęli jej tobołki i poprowadzili tam, gdzie formowała się już kolumna wozów.

Tych nie było wiele – wszystko, co nadawało się do użytku, zabrali wszak Tuistanie, przez co niewielka karawana składała się głównie z rozklekotanych furgonów samych uchodźców i wozów wydzielonych z orszaków rycerskich. Większość bezlitośnie zarekwirował Kostur na potrzeby rannych i chorych, a pozostałych ledwie starczyło dla starców i dzieci. Ponurą pociechę stanowiło to, że w mieście w zasadzie kończyły się zapasy żywności i uciekinierzy nie mieli wiele do dzwigniania.

Mads z rezygnacją pokręcił głową. Sam był człowiekiem bezdomnym od wielu, wielu lat, ale przynajmniej miał miecz, konia, towarzyszy i poczucie misji. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić rozpaczki ludzi, których okrutny los pozbawił dobytku i dachu nad głową, a teraz nawet resztek nadziei. Bo przecież mury Brzasku, dumne i wyniosłe, zdobyte przez powstańczą armię, miały stanowić gwarancję bezpieczeństwa.

Atak Bękartów dowiódł, że los z nich zadrwił, a teraz ludzie Madsa, Istvana, Malhorna i Skalmira wywlekali ich z ruin i usiłowali przekonać co do konieczności dalszej ucieczki.

Nad ulicami niósł się głos Elinaare, spotęgowany doskonałą akustyką rynku. Była Strażniczka przemawiała z przekonaniem, ale dało się wyczuć ogarniające ją wielkie znużenie.

– W okrutnym świecie przyszło nam żyć i nie mam dla was pociechy innej niż ta, że spróbujemy was obronić! Wciąż mamy ze sobą kilka setek dzielnych mężczyzn, którzy są gotowi poświęcić własne życie, byście dożyli świtu. Jeśli chcecie zostać w Brzasku, nikt was siłą nie wywlecze, ale pamięć, że miasto przypuszczalnie stanie się leżem Jaszczura i jego zgrai Bękartów. Jeżeli nie chcecie skończyć jako ich żer, chodźcie z nami! Pod miastem podzielimy się na dwie grupy. Jedna zejdzie do podziemi i starym krasnoludzkim traktem zwanym Żyłą dotrze na

głuchoborskie Pogórze, a stamtąd do Gościnnej Doliny za twierdzą Szelaę. Pułkownik Mads Voorten ręczy, że krasnoludscy władcy Szelaęu nie będą czynić nikomu wstretów!

Mads uśmiechnął się ponuro. Przywódca krasnoludów z Szelaęu, Callestr, z którym skontaktował się za pośrednictwem Otluka, wysłuchał go z uwagą i bez wahania zgodził się wpuścić gromadę uchodźców do Gościnnej Doliny.

„Nie dziękuj – rzekł chłodno. – Wiosna za pasem, Voorten. Pora, by ktoś obsiał pola”.

„Wiesz, co się stanie, gdy zaczniesz niewolić tych ludzi?” – Mads zgrzytnął zębami.

„Och, pamiętam twoje pełne żaru ostrzeżenia. Wybacz, ale nie zdążyłem ich wówczas należycie obśmiać. Uporaj się z tym Jaszczurem, Voorten, a nie omieszkam tego uczynić. Mam nadzieję, że jakoś to zniesiesz”.

Mads znał Callestra krótko i nigdy dotąd nie zauważył u niego nawet śladu cieplejszych uczuć, tak więc z konsternacją uświadomił sobie, że krasnolud w zasadzie życzy mu powodzenia. Burknął coś niewyraźnie, przerwał komunikację, klepnął Otluka w plecy, a potem wręczył starą mapę Żył Strumiłowi, który z kolei przekazał ją grupce naprędce zebranych skrybów.

Mógł Callestrowi zarzucić wiele, ale na pewno nie dwulicowość. Wiedział, że ci z uchodźców, którzy zdecydują się zejść do Żyły, przynajmniej będą mogli dłużej pielęgnować w sobie nadzieję. Ba, być może rzeczywiście doczekają wiosny?

GORZEJ przedstawiała się sprawa z tymi, którzy na zejście do Żyły nie mieli ochoty.

– Tych z was, którym nie w smak gościna krasnoludów, odprowadzimy do Przełęczy Hobolskiej – ciągnęła ochryplym głosem Elinaare. – To dwa dni drogi przez wyludnioną Dzielnicę Centralną, gdzie można się spodziewać ataków Wilców, goblinów, a być może również Bękartów. Za Przełęczą Hobolską, gdy znajdziecie się już na ziemiach Pohorów, nasze drogi się rozejdą. Każdy z was będzie mógł ruszyć w dalszą drogę, czy to do Ostrohorów, Hriszczy, czy to do Wichrogór. O tym zdecydujecie już sami.

Mads odpowiedział przyjaciółce, by zachęcała uchodźców do skierowania się nad Martwe Jezioro, ale wystarczyła wzmianka o tym miejscu, by wśród zebranych pojawiły się szmery niepokoju i oburzenia. Za sprawą starań Smoczych Strażniczek lęk przed Martwym Jeziorem miał najwyraźniej pozostać w ludzkich sercach

na zawsze. Mads przypuszczał, że z tych samych powodów mało kto zdecyduje się udać do Gościnnej Doliny, co było rozwiązaniem o wiele bezpieczniejszym, ale niesłusznie uważanym za ryzykowne.

Voorten machnął ręką. Nie była to jego sprawa. Potrafił walczyć z ludźmi, a nawet ze smokami, ale starcia z przesadami czy uprzedzeniami zupełnie go przerastały.

Narzucił kaptur na głowę, by nie zostać rozpoznanym, i skręcił w boczną uliczkę. Wyminął tłum, słuchający w skupieniu Elinaare, która przemawiała już po raz siódmy czy ósmy, informując napływających zewsząd uchodźców o pozostałych im opcjach. Po ataku Bękartów w mieście nie działało już oświetlenie gazowe i zachodzące słońce pokrywało ściany kamienic głęboką purpurą. Intensywny blask odbijał się od resztek szyb w oknach z taką mocą, że Mads musiał mrużyć oczy.

Cieszył się z tego skrycie. Nie musiał patrzeć na gruz, tu i ówdzie zbrzganą krwią.

Wiatr, tak porywisty wczesnym rankiem, gdy wyjeżdżali w pole, znów przybrał na sile i przywiał smród z ognisk za murami miasta, gdzie palono ciała poległych. W pobliżu ktoś kaszlał, ktoś inny szlochał sucho, beznamietnie, jakby ostatnim, co mu pozostało, była rozpacz. Elinaare skończyła mówić, a wówczas rozległy się dziesiątki niespokojnych pytań.

Mads nie mógł uciec od tej wojny. Trzymała go mocno i nie puszczała, choć był na skraju wytrzymałości.

W dodatku czekało go trudne, niewdzięczne zadanie.

Wszedł do katedry bocznym wejściem. Przez moment kluczył wśród strzaskanych fragmentów dachu, które runęły do środka podczas pamiętnej walki między Lharsin i Hoydnem zaledwie kilka tygodni temu. Wymijał zwalone kolumny, przestępował nad belkami, kluczył wśród cieni, aż wreszcie natrafił na to, czego szukał.

Posąg Hunny stał dokładnie tam, gdzie wcześniej, jakimś cudem uniknął gradu spadających odłamków. Ramiona i włosy uwiecznionej w kamieniu kobiety pokrywała gruba warstwa pyłu, ale jej spojrzenie pozostawało wciąż takie samo, zarazem niezłomne, jak i cierpiące.

Mads odgarnął butem część odłamków pokrywających podłogę i usiadł, oparł się plecami o nadwerżoną kolumnę. Przez chwilę wpatrywał się w rzeźbę, a potem zaczął mówić cichym, zmęczonym głosem:

– Wiem, że nie jesteś Hunną. Nie oszalałem do końca. Pamiętam, że jesteś tylko drwiną Oriany, rzeźbą, którą zleciła, by mnie dobić i upokorzyć, ale ta rzeźba ma twoją twarz, ukochana, a to wystarczyło, by ta przeklęta katedra naprawdę stała się świątynią. Łatwiej mi zebrać myśli, gdy na ciebie patrzę, łatwiej mi odnaleźć w sobie energię, choć doprawdy niewiele jej już we mnie zostało. A poza tym... – Uśmiechnął się krzywo i pokręcił głową. – Uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział, że w trakcie wojaczki czasami zapominałem, jak wyglądasz? Tak, złośliwa Oriana wyświadczyła mi niechcący przysługę. Uchroniła cię przed zapomnieniem.

Milczał przez moment. Jego wzrok błądził po spękanych ścianach i strzaskanych ławach świątynnych, aż zatrzymał się na jednym z wielu posągów Smoczyca, ukruszonym przez spadającą belkę.

– W twoim plemienu mówiono, że widzisz przyszłość – podjął. – A ujrzałeś to wszystko? Pomyślałabyś kiedyś, że imperium, które zdziesiątkowało nas, wykrwawiło i zdusiło, odwróci się, gdy ujrzy na horyzoncie potężniejszego wroga? Że ucieknie bez walki i zostawi nas na jego łasce? Uwierzyłabyś, że ten, który pokonał Smoczycę, stworzy własną armię i wróci, by... Na wyłamane kły Smoczyca, nie wiem, po co. Tuistanom, choć byli okrutni i bezwzględni, zależało tylko na rozbudowie państwa. Na czym zależy cholernemu Jaszczurowi? – Pokręcił głową z ponurą rezygnacją. – W dzisiejszym ataku zginęło trzydzieścioro ludzi, a drugie tyle trafiło do szpitala – szepnął. – Nie sądzę, by Jaszczurowi chodziło o coś poza zdobyciem wygodnej nory dla swych samic i rosnącego stada Bękartów. Wyprowadzimy stąd wszystkich, którzy do tej pory się łudzili, że Brzask to bezpieczne miejsce. A potem... – Nabrał tchu. – Nie wiem, co będzie potem, ukochana. Widzę jedynie ciemność.

Milczał przez moment. Wysoko ponad jego głową dał zimny wiatr.

– Wiesz, że istnieje sposób, by przywrócić cię do życia. Ukrywam to przed wszystkimi, choć Elinaare chyba się domyśla. – Uśmiechnął się krzywo. – Przyznam ci, ukochana, że żałowałem, iż nie udało mi się po niego sięgnąć. Bo jestem już naprawdę zmęczony. Tak bardzo chcę zostawić to wszystko za sobą, ale... nie chcę cię sprowadzać do takiego świata. Nie chcę, byś żyła wśród gruzów i potworności. Odzyskam cię, jednak tylko wtedy, jeśli będzie do czego wracać.

Kamienna twarz spoglądała na niego z cierpliwością i bólem.

Naraz z gęstniejącej ciemności dobiegł szelest cichych kroków, a potem rozległo się brzdęknięcie, jakby traconej przez przypadek struny. Mads gwałtownie odwrócił głowę i zmarszczył brwi na widok Pokrzewki, który usadowił się na szczątkach kamiennej kolumny kilka kroków dalej.

– Nikomu nie powiem – powiedział rudzielec, patrząc w ciemność.

– Słyszałeś wszystko? – Mads się zjeżył. – Pokrzewka, zaraz złapię cię za kark i...

– Nie wszystko. – Chłopak poczochnął zmierzwione włosy. – Tylko trochę. Spałem tu, bo... Bo nikt tu nie przychodzi. Ludzie mówią, że w tym miejscu straszy, ale to głupie gadanie. Ciszy szukałem, ot co. Ostatnie słowa tylko słyszałem. I nikomu nie powiem.

– A właściwie – Mads oparł dłonie na kolanach – to mów sobie, co chcesz.

– Nie, nie mogę. Ludzie nie mogą się dowiedzieć.

– Co mi zależy? Jeśli chcesz, to możesz nawet balladę napisać – prychnął Mads. – O stukniętym pułkowniku i jego zaklętej w kamień ukochanej. Co? Podoba ci się pomysł?

– Nie o to mi chodziło. – Pokrzewka pozostawał śmiertelnie poważny. – Ludzie nie mogą się dowiedzieć, że pułkownik jest zmęczony. Że ma dość. Bo my musimy mieć jakąś nadzieję...

– Nadzieję na co? – Voorten zaśmiał się gorzko. – Wiesz równie dobrze jak ja, Pokrzewka, że moje plany sięgają zaledwie dwa dni do przodu, do chwili, gdy doprowadzimy tych nieszczęśników na Przełęcz Hobolską, o ile, rzecz jasna, Jaszczur nas wcześniej nie rozpieprzy. Bo nie mam bladego pojęcia, jak poprowadzić tę wojnę.

– A kto, jeśli nie pan? – Pokrzewka odwrócił się ku Voortenowi. Jego broda drżała.

– Nie wiem, chłopcze. Naprawdę nie wiem. Ów Jaszczur, przypomnę, to półbóg, a może nawet bóg. Zabił Smoczycę, do ciężkiej cholery! Jak ja mam dokonać tego samego?

– Coś się chyba wymyśli, no nie? – Pokrzewka wpatrywał się w niego z nadzieją.

Mads prychnął pod nosem. Nie, nie miał sumienia okłamywać chłopaka.

– Nie wiem – rzekł. – Ale umówmy się, że jeśli doprowadzimy tych ludzi na Przełęcz Hobolską, zastanowię się raz jeszcze, co?

– Dobra – przytaknął skwapliwie chwastownik.

Odruchowo przeniósł lutnię na kolana i trącił strunę, potem kolejną. Grał cicho, rzewnie, a osobliwe echo poniosło jego pieśń i rozlewało ją po ciemniejących kątach zrujnowanej katedry. Twarz Hunny nikła w półmroku. Na zewnątrz gromadzili się jeźdźcy. Grały trąby, rżały konie, pokrzykiwali oficerowie.

Pośród mroku poruszył się jakiś inny kształt, osobliwie niezdarny. Biegł ku nim, przewracając się co chwila, ale dzielnie zbierał się z ziemi i gnał naprzód co sił. Pokrzewka przestał grać.

– Mads! Mads! Mads! – szczeakał.

– Kupka – westchnął wojownik. – Myślałem, że wyślą po mnie jakiegoś podoficera, ale jak widać ciężko było znaleźć kogoś kompetentnego.

– Tak! Tak! Tak! – ujadał pies.

– Dobra, już idę. – Mads wstał powoli. – Tylko muszę tu jeszcze coś załatwić.

– Co takiego? – Chwastownik również się podniósł, zarzucając sobie lutnię na plecy.

W ręku Madsa pojawił się młot.

– Muszę rozpieprzyć ten posąg – powiedział chrapliwym głosem.

– Jak to? – zająknął się Pokrzewka. – Czemu? Przecież... Eee...

– To tylko rzeźba – odparł Mads. – Nic wielkiego. Ale i tak nie pozwolę, by ją obsrały jakieś smokopodobne bydłeta.



# Rozdział dwunasty



**W**ędrówka ku Przełęczy Hobolskiej okazała się o wiele większym wyzwaniem, niż Mads pierwotnie sądził.

W pierwszej chwili zdecydował, by wymarsz odbył się natychmiast. Chciał opuścić miasto jeszcze tego samego dnia pod wieczór i iść przez noc najdalej, jak się dało, ale porzucił swój zamiysł, gdy tylko wraz z Pokrzewką wyszedł z katedry. Uchodźcy nie mieli praktycznie żadnego dobytku, mimo to zorganizowanie ich w kolumnę marszową trwało całe wieki i Voorten z wolna uświadamiał sobie, że prowadzenie hałastry oszołomionych, zdezorientowanych i głodnych ludzi w niczym nie przypomina wypraw na czele karnych oddziałów wojska. Mimo to nie ustawał w wysiłkach. Tak było, dopóki nie dorwał go zakrwawiony, rozwścieczony Kostur i nie sklął jak nigdy wcześniej. Oznajmił z furją, że przynajmniej połowa jego pacjentów wciąż nie nadaje się do drogi, o ile w ogóle będzie się do niej nadawać. Mads westchnął ciężko, cisnął paroma przekleństwami, rozstawił warty i zapowiedział, że ruszają o świcie.

Przespał kilka godzin w stajni, aż obudziły go chłodna szarość świtu i pokrzykiwania podoficerów. Podniósł się z trudem, zgarnął pod pachę namolnego Kupkę i wyszedł na zewnątrz, drapiąc się po głowie i przeciągle ziewając. Pokrzewka natychmiast zjawił się u jego boku, trzymając za ogłowie osiodłanego Żmijkę.

– W drogę, panie pułkowniku? – spytał.

– W drogę, chłopcze. Daj mi się wysikać i zostawiamy ten burdel za sobą.

Rozciągnięta, powolna kolumna ruszyła w drogę niedługo później przy akompaniamencie dęcia w trąby i pokrzykiwań oficerów. Poranne słońce odbiło się od hełmów i grotów włóczni, lekki poranny wiatr podniósł sztandary. Rżały konie, ludzie przeklinali, pobrząkiwał oręż, skrzypiały osie wozów. Płakały dzieci.

Niezmierzona rzesza ludzi opuszczała Brzask po raz drugi w ciągu ostatnich kilku miesięcy i wszystko wskazywało na to, że po raz ostatni. Nikt nie oglądał się za siebie.

Przez cały dzień utrzymywał się lekki mróz, co okazało się błogosławieństwem. Rozwlekła kolumna uchodźców poruszała się bowiem bardzo powoli i Mads nie potrafił wyobrazić sobie trudności, które przyniosłyby roztopy. Słońce świeciło jasno przez całą drogę, co podniosło nieco morale uciekinierów, a kolejne

grupy zwiadowcze meldowały, że w pobliżu kręcą się luźne gromady Wilców, ale wszystkie uciekają na widok proporców kawalerii. Góry Graniczne przybliżały się, koszmarnie powoli, lecz nieprzerwanie.

Mads to drzemał w siodle, to objeżdżał całą kolumnę, a zwłaszcza jej tyły, których pilnował Wiatr.

– Nie da się z tymi ludźmi dojść do ładu! – skarżył się Czochor, pokazując na sznur uchodźców, który zdawał się ciągnąć aż po horyzont. – Zaganiamy, tłumaczymy, prosimy, a ci nic! Wleką się i wleka.

– Masz do nich pretensje, Czochor? – burknął Mads.

Na twarzach człapiących po rozdeptanym śniegu uciekinierów widział zmęczenie i pustkę. Wielu było w dojrzałym lub podeszłym wieku, wielu też wspierało się na ramionach bliskich bądź słańiało na nogach z głodu i wyczerpania. Ku zaskoczeniu Czochora pułkownik zeskoczył ze Żmijki i podszedł do zgarbionej kobiety o szarej twarzy, uginającej się pod ciężarem niedużego tobołka.

– Wsiadaj – powiedział zaskakująco miękkim głosem. – I daj ten toboł.

Z niemałym trudem pomógł kobiecie wspiąć się na siodło, a potem ujął Żmijkę za uzdę i spojrział na Czochora.

– Na coś czekasz? – warknął.

– Ale... Ale powinniśmy... My... – dukał żołnierz. – Pomógłbym, ale... Jesteśmy eskortą!

– Jak dotąd nic nam nie grozi – powiedział Mads. – Pohorcy i Głuchoborzanie nas osłonią. Dalej, patalachy! Zsiadać z koni! Oddawać szkapy potrzebującym!

A potem, jakby obudziło się w nim złe przeczucie, odwrócił się i spojrział na Brzask, którego cień wciąż widniał na horyzoncie.

Niebo nad opuszczoną stolicą nadal pozostawało puste.

\*

Długa kolumna przebyła zaledwie dwie trzecie trasy zaplanowanej do pokonania tego dnia, na szczęście obyło się bez poważnych incydentów. Straże wystawione wokół ogromnego obozowiska co prawda meldowały o pojawieniu się grup Wilców, ale nie doszło do żadnych walk. Najprawdopodobniej konni rozbójnicy tylko prowadzili zwiad i Mads przekazał Czochorowi, by ten o świcie

rozesłał kilka podjazdów z zadaniem pochwycenia jeńców. Musieli się dowiedzieć, czy wróg coś planuje.

– Myślicie, wasza miłość, że łachudry wiedzą cokolwiek o zamysłach Jaszczura? – spytał z powątpiewaniem porucznik.

– Nie wiem, co wiedzą. – Mads pomógł zziębniętej kobiecie zejść z konia. Ta złapała go za rękę i pochyliła się, by obsypać ją pocałunkami, ale Voorten wyszarpnął dłoń i obrócił się ku rozpalanym właśnie ogniskom, nad którymi zawieszono kotły. – Idź, ogrzej się. Zjedz coś – szepnął. – I znajdź mnie rano.

Nieznajoma podziękowała skinieniem i pospieszyła ku ogniom, a Mads odprowadził ją wzrokiem. Naraz uświadomił sobie, że nawet nie wie, jak kobieta ma na imię. Westchnął ciężko i odwrócił się do Czochora.

– Nie wiem, co wiedzą – powtórzył. – I właśnie dlatego trzeba się tego dowiedzieć. Na tym, widzisz, Czochor, polega zwiad. I jeszcze raz odezwij się do mnie z tą twoją cholerną miłością, a przywalę ci prosto w mordę.

Czochor pokiwał skwapliwie głową, ale w jego oczach błysnęło coś na kształt rozbawienia.

Celowo to zrobił, pomyślał Mads. Może walnę go w głowę tak czy owak?

– Martwią mnie te ognie – odezwał się niespodziewanie kawalerzysta. – Te stwory... Bękarty, tak? Przecież one umieją latać, pułkowniku. Zobaczą nas z daleka.

– Gdyby chciały, znalazłyby nas tak czy owak – odparł Voorten. – A ja... Cóż, mam dziwne wrażenie, że wolą nie atakować w nocy.

– Dlaczego? – zdziwił się Czochor.

Mads wsunął palce w grzywę Żmijki, który prychnął parokrotnie i potrząsnął łbem.

– Nie wiem. Ale dało mi do myślenia to, że Jaszczur dostarczył te plugastwa w środku nocy, a one czekały z atakiem aż do rana. Co prawda wybrały moment, gdy walczyliśmy z Wilcami, ale przecież w nocy nie oszczędziłyby nikogo. Za nic w świecie nie dalibyśmy im rady.

– Dziwne – mruknął Czochor. – Przecież drapieżnicy najczęściej działają pod osłoną nocy.

– No właśnie. – Mads wsunął nogę w strzemień i wskoczył w siodło. – Ale przynajmniej możemy liczyć na spokojną noc. Prześpij się, chłopie.

– A wy gdzie, pułkowniku? – spytał Czochor, robiąc krok w tył.

– Muszę złożyć komuś wizytę.

\*

Lharsin umościła się wśród zaśnieżonych ruin młyna. Zabudowania co prawda częściowo zakrywały jej cielsko, ale smoczyca nie wydawała się specjalnie przejmować swoim bezpieczeństwem. Jej ogon ciągnął się daleko po pobrużdżonym polu, lód na pobliskiej rzece został strzaskany w miejscu, gdzie Lharsin zaspokajała pragnienie, a wokół zalegały cuchnące kupy smoczego łajna. W blasku wąskiego półksiężyca Mads dostrzegł niedojedzone resztki konia pod jedną ze ścian.

Żmijka zarżał przeciągle i potrząsnął łbem.

– Zasmakowała, Glizda, w żołnierskim życiu – mruknął Mads. – Poczekaj chwilę, koniku. To nie potrwa długo.

Zeskoczył z siodła. Wokół panowała cisza, zakłócana jedynie chrzęstem śniegu pod butami Madsa i chrapaniem Lharsin. Z nozdrzy smoczycy jak zwykle ściekała maź, zastygająca na mrozie w zielonkawę sople.

Voorten podszedł bliżej i bezceremonialnie kopnął smoczyce w pysk. Ta natychmiast rozchyliła powieki.

– Pułkowniku! – Uniosła łeb.

Mads zamknął oczy, by nie patrzeć na smarki, którymi obryzgała mu buty.

– Cóż za miła wizyta! – zahuczała Lharsin. – Podałabym coś do żarcia, ale... – rozejrzała się – nie mam nic odpowiedniego. Zresztą po równinach i tak tylko jakieś kurduple się uganiają. Nic wartościowego. Pytanie tylko... – Zamarła nagle i wbiła w Voortena przenikliwy wzrok. – Czyżby doszło do jakiejś bitwy, na którą mnie nie zaproszono?

– Zaraz tam bitwy – burknął Mads. – Potyczka ledwo, dość spontaniczna zresztą. Nie było czasu na rozsyłanie zaproszeń. Posłuchaj, Lharsin... – Urwał i przelknął ślinę. – Czy możesz przymknąć paszczę? Nie mogę wytrzymać tego smrodu, a mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Smoczyca posłusznie zacisnęła szczęki i ułożyła łeb na śniegu, a Mads przesunął się na zawietrzną, oparł o nadkruszoną ścianę i założył ramiona na piersi.

– Posłuchaj mnie, Lharsin, uważnie. Wiem, że już raz cię wywaliłem ze służby, ale teraz sprawa stała się poważniejsza.

– Za nic w świecie nie opuszczę – zaczęła smoczyca, ale Mads przerwał jej natychmiast:

– Zamknij pysk, bo oddychać się nie da! – warknął. – I nie przerywaj, dopóki mnie nie wysłuchasz. Jaszczur wrócił do Rozkrzyczanych Krain, Lharsin. Twój stary, znaczy się. Niestety, konwenanse mało go interesują, bo pozwala sobie na to i owo z twoimi siostrami i płodzi całą armię Bękartów, małych skurwieli, którym w głowach tylko rzeź i rozwałka. Wedle... cóż, pewnej znawczynie tematu, jesteś największą smoczyką w Rozkrzyczanych Krainach i Jaszczur będzie tobą żywo zainteresowany. Rozumiesz dlaczego?

– Nie pozwolę, by plugawy... – zaperzyła się Lharsin.

– Morda! Zawrzyj gębę, bo i tak już ledwie stoję, i wysłuchaj mnie do końca. Lharsin, Jaszczur to półbóg, który zniszczył Smoczycę i doprowadził Tuistan do upadku. Teraz znalazł się w posiadaniu kilku wichrogórskich kamieni, które zwiększyły jego Moc. Wystarczy, że na ciebie spojrzy, a zrobisz wszystko, czego zażąda. A będzie mu zależało na małych Lharsiniątkach. Mnóstwie małych Lharsiniątek.

Tym razem smoczyca milczała.

– Uciekaj stąd – powiedział cicho Mads. Podszedł bliżej i położył dłoń na jej pysku, nie dbając o to, że wdepnął w kałużę parującej mazi. – Zrób to samo co my i się wynoś. Wojna przypuszczalnie się zakończyła, a rozpoczęła walka o przetrwanie. Jeśli tu pozostaniesz, tylko pogorszysz sytuację tych, którzy ocalały życie.

– Nie mogę... – szepnęła Lharsin.

– Fakt, nie możesz. Musisz. Wynoś się stąd, Lharsin, póki to jeszcze możliwe.

\*

Przez cały następny dzień Mads rozmyślał o konsekwencjach swojej decyzji. Nakłaniając Lharsin do uciezki – co, nie miał wątpliwości, powinien był uczynić – pozbawił się jedynej szansy na odzyskanie Hunny. Być może Oriana dotrzymałaby słowa i oddała mu ukochaną w zamian za smoczycę, ale nie mógł, nie chciał ryzykować.

Smocza Strażniczka nie wyjawiała Elinaare, w jakim celu same gromadzą smoczą armię. Usiłowała ją przekonać, że ściągały Smoczęta płci żeńskiej dlatego, by nie przechwycił ich Jaszczur, ale Mads dobrze wiedział, że altruizm jest obcy Tuistanom i z całą

pewnością nie zdecydowali się wyświadczać przysługi światu, który właśnie opuszczali. Smoczy Zakon i Król-Wieszcz jak nic mieli własne, ukryte motywy i Mads nie miał zamiaru im pomagać.

Bo nie zdradza się towarzyszy broni, argumentował w myślach. Nigdy. Żadnych. Nawet obsmarkanych, przyglupich, latających glizd, którym zamarzył się los bohaterki. A poza tym i tak nie mogą ściągnąć Hunny na ten świat. Nie chcę tego. Nie chcę.

Oba argumenty brzmiały sensownie, ale im dłużej je powtarzał, tym mniej przekonujące mu się wydawały, a na pewno nie uśmierzyły narastającego bólu w sercu.

Drugi dzień wyprawy również przebiegał bez większych trudności, choć przyniósł złe wieści. Podjazdy rozesłane przez Czochora wróciły z kilkoma jeńcami, którzy nie mieli pojęcia o żadnych działaniach planowanych przez ich przywódców plemiennych. Opowiadali natomiast o „wielkim mężu z płonącymi oczami”, który obiecał im sławę i bogactwa, jeśli uderzą wraz z nim na Brzask. Mads pamiętał, że Jaszczur ponoć potrafi przybierać ludzką postać, i na długie godziny popadł w złowrogie milczenie.

Niebo na razie było czyste, a mróz trzymał, choć jasne słońce stało wysoko. Rozciągnięta kolumna uchodźców stopniowo posuwała się do przodu, a Góry Graniczne rosły w oczach i wiele wskazywało na to, że kolejną noc wędrowcy spędzą już u stóp Przełęczy Hobolskiej. Mads szedł pieszo, prowadząc za uzdę Żmijkę z kobietą na siodle, i myślał intensywnie.

Nic mu z tego myślenia jednakże nie przyszło, dlatego ucieszył się w duchu, gdy po zapadnięciu zmroku przy jego ognisku pojawił się Kostur. Ślepego uzdrowiciela przyprowadził uśmiechnięty od ucha do ucha Otłuk, przypuszczalnie jedyny uczestnik wielkiego marszu, który nie zaprzętał sobie głowy Jaszczurem. Zjawił się też Pokrzewka, który przez cały czas kręcił się w pobliżu Madsa i teraz, gdy tylko usiadł bok, tracił w struny lutni.

– I co cię trapi, synku? – odezwał się Kostur, wyciągając dłonie ku płomieniom.

Wydawał się – co zrozumiałe – śmiertelnie zmęczony i Mads zadał sobie w myślach pytanie, dlaczego właściwie się do niego fatygował, zamiast położyć się spać. Od wyjazdu z Brzasku bezustannie wszak zajmował się rannymi, co znacznie nadwreżało jego starcze siły.

– Trapi? – prychnął Mads. – Mam wrażenie, że z każdą upływającą chwilą pozbywam się kolejnych dylematów. Na swój sposób, Kostur, nigdy nie czułem się bardziej wyzwolony.

– Jasne – burknął uzdrowiciel. – Siedzę ci ja na wozach, łatam tych durniów, co się dali pochlastać Wiłcom czy Bękartom, a mimo to wręcz słyszę, jak ciągiem coś w tym durnym łbie obracasz.

Pokrzewka mocniej trącił w struny. Mads odetchnął.

A więc to tak, pomyślał. Młody podzielił się z Kosturem swoimi wątpliwościami co do mojej postawy, a ten postanowił zainterweniować. Któryż to już, kurwa, raz.

Obiecał sobie w duchu, że przez najbliższych kilka dni nie przyjmie od chwastownika żadnego wywaru, ale mimo wszystko się uśmiechnął.

– Tak, Kostur, bez ustanku coś obracam we łbie. Bo gdybym tego nie robił, zdurniałbym tak jak ten tu rudzielec.

Stary prychnął. Przez moment milczał, grzejąc dłonie. Otluk dorzucił chrustu i ogień ożył, śląc ku niebu miriady iskier.

– Pamiętasz, synku, jakeśmy tak kiedyś siedzieli? – odezwał się po chwili uzdrowiciel. – W drodze na Pohory to było, zda mi się. O twojej lubej żeśmy gadali. Głównie to ty gadałeś.

– Pamiętam. – Mads się uśmiechnął. – To chyba... – Zawahał się. – To chyba jedno z najmilszych wspomnień, jakie w sobie noszę. W podobnej kompanii siedzieliśmy, no nie?

– Ano – westchnął Kostur. – I o starych dziejach gadaliśmy, bo ni cholery żeśmy nie mogli pojąć tych obecnych. A teraz, kiedy zaczęliśmy je wreszcie rozumieć, chyba tego żałuję.

– Ja też – mruknął Mads, wpatrzony w płomienie.

– Żeś wtedy, synku – zaczął ostrożnie Kostur – o tej swojej pannie sporo mówił, pamiętasz?

– Pamiętam.

– Ciekawi mnie, starego, czyś coś wymyślił. Bo z tego, co mi się kołacze w głowie...

– Daj temu pokój, Kostur. Naprawdę. – Voorten machnął ręką. Odetchnął ciężko i spojrzał na towarzyszy. – Dajcie mi po prostu posiedzieć w spokoju i popatrzeć w ogień. Pozwólcie, bym chociaż przez chwilę nie musiał niczego wspominać ani o niczym rozmyślać. Pokrzewka, zagraj coś.

Kostur pokiwał głową ze zrozumieniem i nie odezwał się już ani słowem. Otluk pomógł mu usiąść, a młody chwastownik trącił w struny. Początkowo wszystko wskazywało na to, że Madsowe



marzenie się spełni i będzie mógł zapomnieć o wielkich sprawach tego świata, ale czar prysł w chwili, gdy zjawiała się Elinaare. Oparła dłoń na ramieniu pułkownika i szepnęła mu do ucha:

– Oriana chce z tobą rozmawiać.

Mads wyprostował się i zmrużył oczy. Przez ostatnią dobę niemal ani razu nie pomyślał o Smoczkiej Strażniczce. Wiedział, że wyprowadzono ją z lochu i zabrano razem z uchodźcami, ale nie miał już powodu, by zawracać sobie nią głowę.

Wstał z ciężkim westchnieniem.

– Coś ważnego? – spytał.

– A któż to może wiedzieć. – Kobieta się skrzywiła.

Miała umorusaną twarz, zapadłe, podkrążone oczy lśniąco zmęczeniem, mówiła z wyraźnym trudem. Nie było się czemu dziwić: zajmowała się wszak setkami uchodźców, a ci nie poprzestawali na krótkich, ostrych komendach jak wojskowi. Wyglądała, jakby trzymała się na nogach jedynie dzięki sile woli, więc Mads, nie przedłużając rozmowy, po prostu skinął głową i ruszył między ogniskami ku pilnowanej przez dwóch strażników Orianie.

Blask ognia zamieniał jej oczy w czarne plamy.

– Ludzie mówią, że niebawem pokonamy Przełęcz Hobolską, a dalej ta zbieranina rozpadnie się na dziesiątki mniejszych – powiedziała obojętnym tonem. – Nie dbam o to, co się ze mną stanie, ale wygląda mi na to, Voorten, że to ostatni moment, by dobić targu. Jeśli oddasz mi smoczyce, ja przekażę ci Hunnę.

– Po co ci Lharsin? – spytał Voorten. – Tylko nie wciskaj mi kłamstw, że chcecie osłabić Jaszczura. Po co wam smoczyce?

– Chcemy osłabić Jaszczura.

Mads przez dłuższą chwilę spoglądał na kobietę w milczeniu.

– Zabawne – rzekł w końcu. – Znamy się nie od dziś, ale jak dotąd w naszym układzie to ja miałem wyłączność na sarkazm. Nie powiesz mi, po co wam smoczyce?

– Powiedziałam.

Voorten westchnął.

– Dobrze, jak tam sobie chcesz. Nie mam teraz głowy, by zajmować się powrotem Hunny. To nie świat, do którego chcę ją sprowadzić, a więc odłożę tę kwestię na przyszłość, Oriano. Wrócimy do tematu kiedy indziej, bo twoją przyszłość – uśmiechnął się krzywo – na razie widzę w pętach.

– Nie chcesz, by Lharsin wpadła w ręce Jaszczura – zauważyła Oriana.

– Nie chcę. Dlatego kazałem jej wczoraj odlecieć w cholerę. I jeśli to głupie bydlę nie pomyliło kierunku, już się mości w jakiejś jamie na Pogórze.

Tym razem to Oriana milczała przez długą chwilę.

– Ty nie drwisz – powiedziała w końcu. – Naprawdę ją odesłałeś.

– Owszem – odparł Mads ze znużeniem. – A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, zakończmy już tę próżną rozmowę. Spać mi się chce.

Oriana powoli skinęła głową.

– W istocie nie mamy sobie już praktycznie nic do powiedzenia. Poza jedną sprawą. Jestem nieco rozczarowana, przyznam ci. Sądziłam, że owa legendarna, rzekomo niezniszczalna miłość, dla której zrobiłeś tak wiele, okaże się silniejsza.

– Sprowadzę Hunnę do naszego świata, gdy nadejdzie odpowiednia chwila. – Mads zacisnął zęby. – A ty mi w tym pomożesz.

– Przecenisz mnie. Nawet ze wszystkimi kamieniami wichrogórskimi nie potrafiłabym nikogo wskrzesić.

Czas się nagle zatrzymał. Blask ognisk przygasł, a wychudła twarz Oriany naraz nabrała trupiego wyglądu.

– Co ty powiedziałaś? – wyszeptał Mads.

– Nigdy nie było dwóch posagów, Voorten. – W oczach Smoczej Strażniczki pojawiło się dawne szyderstwo. – Za kogo ty mnie masz, co? Myślisz, że poświęciłabym ci tyle uwagi, by kazać sporządzić drugą rzeźbę wyłącznie po to, by ci dopiec? Naprawdę uwierzyłeś, że znalazło się na nią miejsce w naszym konwoju? Voorten, my jesteśmy praktycznym narodem.

Mads stał nieruchomo i wpatrywał się w Strażniczkę, która naraz zaniósła się charkotliwym śmiechem niczym ptak zwiastujący śmierć.

– Jediną rzeźbą była ta, która stała w ruinach katedry – ciągnęła Oriana. – Ludzie gadają, że ją rozbiliś. Mizerna ta twoja miłość, Voorten. Mizerna.

# Rozdział trzynasty



Mads klęczał na swej derce i wpatrywał się w niewinną, coraz intensywniejszą jasność świtu, czasem przesłanianą przez dym z wygaszonego ogniska. Na jego obliczu widniał ledwie zauważalny, blady uśmiech.

Nie pamiętał dobrze minionej nocy. Nie wiedział nawet, czy udało mu się zasnąć, ale nie miało to dla niego znaczenia, podobnie jak głód, zimno czy pragnienie. W jego zamglonym umyśle kotłowały się wspomnienia, ale żadne nie wydawało mu się na tyle istotne, by się na nim skupić. Pamiętał, że zaciskał dłonie na szyi Oriany, ale nie wiedział, czym to się skończyło. Widział niewyraźne obrazy krzyczącej Elineare, pochylającego się nad nim Kostura oraz silnych, przyciskających go do ziemi ramion Otluka, ale nie umiał ich ułożyć w logiczną całość.

Nie zależało mu zresztą. Jego życie stało się mniej skomplikowane niż kiedykolwiek wcześniej i była to jedyna rzecz, na której teraz pragnął się skupić. Miał bowiem przemożne wrażenie, że gdzieś w pobliżu czai się nieludzka, niszczycielska rozpacz.

Że zaczął balansować na krawędzi otchłani.

Ktoś coś do niego mówił. Chyba zadawał mu pytanie.

Mads oderwał wzrok od różowiejącego nieba i dźwignął się na nogi. Bolało go w krzyżu – nie miał pojęcia, skąd się brał ów ból, ale nie przejmował się tym. Nie wiedział też, skąd się wzięła zaschnięta krew na dłoniach oraz opuchlizna pod okiem, tak wielka, że niemalże przesłaniająca widok.

Zupełnie go to nie obchodziło.

– Pułkowniku. – Głos, który jeszcze przed chwilą zdawał się nadciągać z oddali, teraz stał się wyraźniejszy, a rozmazana twarz nagle nabrała ostrości. – Pułkowniku! Może... może byście coś zjedli? Albo się napili? Ja ziółek uwarzę! Mam jeszcze trochę tych...

– Nie, Pokrzewka – powiedział cicho Mads, zaskoczony brzmieniem własnego głosu, i zacisnął dłoń na palcach chwastownika. – Nic mi nie trzeba.

Spowijający go kokon ciszy ustępował pod naporem gwaru. Voorten słyszał już psie szczekanie, słyszał też dobiegające zewsząd krzyki. Rozejrzał się i zobaczył, że ludzie, zarówno uchodźcy, jak i żołnierze, porzucają to, czym się zajmowali,

zamierają i w milczeniu patrzą na niebo. Sam też spojrział w górę i wnet wychwycił wzrokiem gromadę złowieszczych kształtów.

I jako jedyny w wielotysięcznym tłumie lekko się uśmiechnął.

Jakiś potężny człowiek w hełmie przebijał się przez ciżbę, zmierzając prosto ku niemu.

– Mads! – krzyczał. – Mads, widziałeś?

– Widziałem – odpowiedział. – Nie martw się. Uporamy się z tym.

Jego nieludzki spokój miał w sobie coś złowieszczego i Malhorn spojrział nań z troską i zaskoczeniem. Mads jednakże, nie odwracając wzroku ku Głuchoborzaninowi, nachylił się i podniósł ujadającego Kupkę. Ucałował psa w łebek i wręczył go Pokrzewce.

– Zanieś go Kosturowi – szepnął. – No, idźże. Stary będzie wiedział, co z nim począć.

– Mads, pora chyba, byś oprzytomniał! – rzekł ostro Malhorn. – Widziałeś to plugastwo na niebie?

Obok Malhorna wyrósł zaniepokojony Czochor, zmierzali też ku nim Bielik oraz Krzemień.

– Jeszcze chwila – powiedział cicho Mads i odwrócił się do osiodłanego Żmijki. Poklepał go po karku, odgarnął mu grzywę znad oczu i przytknął czoło do końskiego łba. – Bywaj, koniku – szepnął ledwie słyszalnie. – Wybacz, ale ani myślę jechać na tobie w bój. Jeszcze by ci się coś stało. Pokrzewka! – zawołał za oddalającym się chwastownikiem. – Zaczekaj!

Rudzielec się zatrzymał, tuląc wrywającego się psa do piersi.

– Weź też Żmijkę. Znajdź tę kobietę, którą wczoraj posadziłem w siodle, i przekazaj jej. Powiedz, że to prezent. – Po raz ostatni klepał konia po pysku, a potem odwrócił się ku zebrany. – Tak, wiem – rzekł. – Czekaj nas bitwa, a wy, tumany pieprzone, nie macie pojęcia, jak się do niej zabrać. Czochor, skombinuj mi jakąś chabetę, najlepiej taką, co się nie boi smoków. Bielik, pchnij zwiad ku Przełęczy. Malhorn, nie rób takiej znekanej miny, wysrasz się po bitwie. Na koń.

I znów się uśmiechnął z niewysłowioną łagodnością.

\*

W samym środku koszmarnego zamieszania Elinaare dostrzegła, jak Mads wsiada na konia niebędącego Żmijką i ujmuje podaną mu włócznię.

Wiedziała, że niechętnie rusza do walki na Żmijce, nie chcąc, by ukochany koń ucierpiał w starciu, nie to ją więc zaskoczyło. Zamarła na widok jego twarzy, martwej i pobawionej wyrazu, mimo to ozdobionej lekkim uśmiechem, który nagle przywiódł jej na myśl samotny kwiat ułożony na zimnym grobowcu. Narastający tumult wokół niej nagle przestał się liczyć. Odepchnęła jakąś zapłakaną kobietę, wyszarpnęła dłonie z rąk krzyczącego starszego mężczyzny, odsunęła tulące się do niej sieroty i biegiem ruszyła ku Madsowi.

Musiała go złapać. Musiała zamienić z nim choć kilka słów.

Widziała, jak siedzi na koniu, spogląda na zbliżające się skrzydlate kształty i pokazuje coś włócznią. Słuchał go potężny Malhorn na rumaku bojowym, blisko trzymali się też Czochor, Krzemień i Istvan. Nieopodal stał skupiony Skalmir, jedyny, który nie dosiadał konia.

Gwar przerażonych ludzi zagłuszył jego słowa, ale doskonale usłyszała wrzask kruka, który wylądował na ramieniu Istvana.

– Durne dwunogi! – rozdarł się ptak. – Tak was te ptaszory zadziwiły, że zapomnieliście o błotku, w którym się taplacie na co dzień, co? By który na drabinę wlaź lub chociaż w strzemionach stanął, by się który rozejrzał. Patrzcie za siebie, matolki! Za siebie! Na zachód!

Zbrojni jak jeden odwrócili się we wskazanym kierunku. Elinaare zrobiła to samo, ale widok przesłaniał jej gęstniejący tłum zbrojnych, zarówno konnych, jak i pieszych. Nie zwalniała jednak, przebijając się w stronę Voortena.

– Coś tam majaczy – burknął Malhorn. – Jazda?

– Raczej te z Bękartów, które nie potrafią latać – odezwał się głucho Mads.

– O, proszę! Logiczny wniosek! No, no, Voorten, jeśli tak dalej pójdzie, to jeszcze w tym roku nauczysz się wiązać sznurowadła! – stwierdził kruk.

Mads uśmiechnął się szerzej, a potem spojrzął na chmurę skrzydlatych potworów, która przelatywała nad obozowiskiem. Kierowała się ku całkiem już nieodległym Góróm Granicznym. Voorten pokiwał głową, jakby wszystko nagle stało się dlań jasne.

– Malhorn! Istvan! – powiedział twardo. – Zajmijcie się tymi poczwarami! – Wskazał włócznią horde Bękartów, która nadciągała ładem.

Malhorn uśmiechnął się krzywo, a Istvan szepnął:

– Załatwione, przyjacielu.

Kruk na jego ramieniu zamachał skrzydłami.

– Myślicie, że te paskudztwa są jadalne?

– Spróbuj, a będziesz wiedział! – zawołał Mads. – Dla porównania załatwię ci kilka latających, wrono. Skalmir! – zwrócił się do czarodzieja, który przysłuchiwał się rozmowie. – Będziesz bronił obozu. Zepchnijcie wozy w jedno miejsce i każcie ludziom się pod nimi schronić! Krzemień, ty też zostajesz w obozie!

– Że co? – Ogromny weteran Wiatru wytrzeszczył oczy. – Ale my kawaleria są!

– Twoi ludzie nie nawykli do walki z latającymi smokami, Krzemień – wyjaśnił Mads – ani tym bardziej wasze konie. Ale gdy któryś z tych skurwieli wyląduje, będziecie wiedzieli, co zrobić. Powodzenia, chłopie! – Zasalutował mu włócznią. – My będziemy czuwać na skraju obozu – rzucił, popędzając konia. – Niech Jaszczur ma w opiece bydlaka, który znajdzie się w naszym zasięgu!

Odpowiedziały mu chrapliwe śmiechy, przekleństwa i tryumfalne okrzyki. Żołnierze wskakiwali na konie i łapali za broń, inni przeciskali się ku wierzchowcom, podoficerowie skrzykiwali oddziały, a konie głośno rżały. Mads, wciąż z owym dziwacznym uśmiechem na ustach, kopnął piętami swego rumaka, który posłusznie ruszył naprzód, i Elinaare zrozumiała, że drugiej szansy już nie dostanie. Zignorowała Skalmira, który podszedł bliżej i coś do niej mówił, i w kilku krokach przypadła do wierzchowca Madsa. Złapała go za uzdę i niemalże się na niej uwiesiła.

– Stój – szepnęła, a on ją usłyszał pomimo panującego wokół gwaru. – Zatrzymaj się, Mads.

Ściągnął wodze i pochylił się ku niej, wciąż uśmiechnięty.

– Proszę cię, nie rób nic głupiego – mówiła szybko, jakby się bała, że nie zdąży go naleyście ostrzec. – Oriana to Smocza Strażniczka! Ona kłamie! Drwi, manipuluje, gra na emocjach... Mads, to niemożliwe, by... By... – Odnalazła jego dłoń, twardą, wciąż brudną od zaschniętej krwi, ale teraz zaskakująco miękką. – Proszę... – szepnęła, bo nagle skończyły się jej słowa. – Nie rób nic głupiego.

Świat przesłoniła jej wilgoć łez.

– Nie zrobię nic głupiego. – Głos Madsa rozległ się tuż nad jej uchem. Nie umknęło jej uwadze, że położył osobliwy akcent na ostatnie słowo, jakby to, co zamierzał, w jego odczuciu nie miało nic wspólnego z głupotą. – Dunstan wróci do ciebie, Elinaare.

– Ty też – wyszlochała. – Ty też masz wrócić. Błagam cię, Mads.

– Broń obozu, Elinaare – dodał.

Poczuła, jak unosi jej dłoń i całuje ją suchymi, ciepłymi wargami.

– Ci ludzie nie mają nikogo poza tobą – powiedział cicho. – Pozostań z nimi, wspieraj ich. – Wyprostował się i wypuścił jej dłoń. – A ja utoczę krwi tym skrzydlatym skurwielom – dodał, a po uśmiechu na jego twarzy nie został choćby skrawek cienia.

I Mads Voorten odjechał, nie oglądając się za siebie.

\*

Ustawienie wozów w formację obronną było oczywiście mrzonką, bo uchodźcy z Brzasku nie mieli w tej kwestii doświadczenia, same wozy kiepsko nadawały się do obrony, a poza tym na bardziej zaawansowane przygotowania po prostu zabrakło czasu. Kłusując przez obozowisko, Mads zauważył, że żołnierze Krzemienia i wichrogórcy łucznicy bez wahania wsparli ludność cywilną, dzięki czemu tu i ówdzie powstały już zaimprovizowane barykady. Miał wrażenie, że zabiegi te bardziej służą poprawie morale niż rzeczywistej obronie – nie było bowiem fortyfikacji polowych, która mogłaby wesprzeć obrońców w odpieraniu ataku latających bestii – ale w chwilach tak dramatycznych jak ta i one miały znaczenie.

Jeszcze raz uniósł głowę i przyjrzał się chmarze gigantycznych bestii, która zawracała teraz nad Górami Granicznymi. Nie miał wątpliwości, że zmierzają ku nim.

– Siedem... Osiem... – liczył Vask. – Czternaście, pułkowniku.

– Wiem, z liczbami jeszcze jako tako daję sobie radę – warknął Mads.

– Kiepsko coś u tego Jaszczura – stwierdził Borsuk. – Mizerna armia jak na przyszłego władcę świata.

– Umówmy się, Borsuk, że kiedy będę potrzebował jakiejś porady natury politycznej, udam się prosto do ciebie – prychnął Voorten. – Kurwa mać, który się spierdział?

– Ja! – powiedział z dumą Chryja.

– Cudownie. A przysiągłbym, że to twój koń.

Oddalili się już na kilkaset kroków od obozowiska. Wszędzie dookoła widzieli uchodźców, którzy nie wytrzymali presji i uciekali przez śnieżną równinę w nadziei, że samotnie będą bezpieczniejsi.



Mads ich nie winił. Nie miał pojęcia, jaką decyzję podjąłby w ich sytuacji.

Nie chciał przyznać tego przed sobą, ale spostrzeżenie Borsuka podniosło go na duchu. W bitwie o Brzask usiekli kilkanaście Bękartów, a wiele innych odniosło rany. Nie miał pojęcia, jak liczna okaże się horda, przeciwko której wyjechali Istvan z Malhornem, ale latające stado nie budziło w nim przerażenia. Mieli wszak niezaprzeczalne atuty: w obozie ukryła się setka wichrogórskich łuczników, a jego jeźdźcy udowodnili już dwukrotnie, że potrafią niszczyć latających wrogów.

Nie mógł jednak zapomnieć o furii Bękartów siejących śmierć i zniszczenie na zrujnowanych ulicach Brzasku. Wiedział, że w chwili, gdy pierwszy z nich wylądował na terenie obozowiska uchodźców, rozpęta się piekło, jakiego dotąd nie widział.

– Pokrzewka – rzucił, nie odwracając się.

– Pułkowniku? – Chłopak odezwał się nieco niższym niż zazwyczaj głosem, do tego pozbawionym emocji, co oznaczało, że jest już pod wpływem któregoś ze swoich wywarów.

– Czy ja ci aby nie kazałem spierdalać?

– Nie – odparł chwastownik. – Kazał mi pan odprowadzić konia i psa.

– I nie powiedziałem nic o...

– Nic.

– Popatrz no – mruknął Mads. – Starzeję się czy co?

I znów się uśmiechnął. Wciągnął w płuca zimne powietrze i raz jeszcze popatrzył na zbliżające się skrzydlate monstra. Odruchowo poklepał konia po karku i rozejrzał się wokół. Widział zarośnięte, zahartowane oblicza weteranów, nierzadko przyjaciół, widział ich kolczugi, płaszcze spływające z ramion, sfatygowane tarcze, dłonie zaciśnięte na drzewcach włóczni. Wyczuwał spokój i opanowanie, słyszał niewybredne żarty i ostre przekleństwa.

Tak, przemknęło mu przez myśl. To idealna chwila. Lepszej nie będzie. Już niebawem, ukochana. Już do ciebie zmierzam. Muszę tylko spuścić wpierdol pewnej hordzie cuchnących bydlaków.

– Obniżają lot! – odezwał się Chryja.

– Stać – warknął Mads, choć jego rumak zatańczył, jakby doskonale rozumiał rozmowę ludzi i nie mógł się doczekać bitwy.

W niebieskich oczach Voortena zalśniło żelazo. Kłębiły się w nich mgły spowijające świat podczas ataku na Mglicę. Połyskiwał księżyc opromieniający szarzę na obóz tuistański podczas Bitwy nad Rozpadliną. Dudniła ziemia niczym podczas

ataków pod Grzywaczem. Bryzgała krew na ściany twierdzy Szelaę. Ryczała Wieczna Zamięć, krzyczeli uciekający Wilcy, waliły się mury Brzasku. Szczekała stal, wyły umierające smoki. Śmierć kosila zamaszystymi ruchami nieprzebrane zastępy walczących.

Pierwszy z Bękartów, wielki stwór przypominający motyla, zapikował nad obozem.

– Teraz – szepnął Mads. I zaraz huknął: – Burza!

– Wiatr! – krzyknęli chórem jego ludzie i cały oddział, liczący sobie pięć dziesiątek jeźdźców, runął do szarży.

\*

– Chować się! – krzyczała Elinaare, zdzierając sobie gardło. – Chować się! Dzieci przodem!

Złapała jakiegoś przerażonego mężczyznę, gwałtownym szarpnięciem odciągnęła go od wozu, pod który z desperacją usiłował się wczłogać, i odtrąciła kopniakiem.

– Dzieci przodem! – wycharczała i cofnęła się, robiąc miejsce dla szarej ze zgrozy kobiety, która zaczęła wpychać pod wóz zapłakane maluchy. Zasłoniła własnym ciałem miejsce, gdzie zniknęły dzieci, jakby miało to w czymkolwiek pomóc wobec grożącego im niebezpieczeństwa, ale Elinaare jej nie winiła.

Sama miała szczerą ochotę wpełznąć do jakiegokolwiek kryjówki.

Odwróciła się, by podbiec do Skalmira, który stał nieopodal na czele grupy łuczników, ale na jej drodze wyrósł wysoki, chudy mężczyzna z oczami przewiazanymi szmatą. Wspierał dłoń na ramieniu młodej dziewczyny, która w oszołomieniu nerwowo rozglądała się dookoła. Miała osobiwie szkliste spojrzenie, które przypomniało Elinaare o Dunstanie, walczącym gdzieś na obrzeżach obozowiska, zaraz jednak odtrąciła myśl o synu. Nie mogła sobie teraz pozwolić na rozproszenie, wystarczyła bowiem ta krótka chwila, by sytuacja na niebie nad obozowiskiem uległa gwałtownej zmianie. Latające Bękarty przystąpiły do ataku. Poruszały się chaotycznie, jakby działając bez żadnej myśli przewodniej – niektóre zniżały lot, by runąć na obóz, podczas gdy inne nadal krążyły ponad nim niczym monstrialne wrony – ale nie poprawiało to sytuacji obrońców. Być może gdyby mieli do czynienia ze skoordynowanym atakiem, udałoby im się pospiesznie wypracować jakąś strategię obrony, jednak w tej sytuacji musieli się mierzyć z czystym, brutalnym chaosem.

Z oddali dobiegały szczęk oręża i nieludzkie wrzaski, co oznaczało, że Mads, który podzielił Wiatr na trzy mniejsze grupy i operował wokół obozowiska, już związał jednego z Bękartów walką. Kawalerzyści nie zdołali jednak przyjść im z pomocą na terenie samego obozowiska, gdzie panował zbyt wielki ścisk.

Krzemień, Skalmir, Elinaare i reszta musieli sobie radzić sami.

– Ten! – krzyknęła do wichrogórskiego czarodzieja, wskazując czarnego potwora, który sunął w powietrzu na podobieństwo węgorza. Jego długie skrzydła ciągnęły się wzdłuż wijącego się cielska. Bestia rozchyliła paszczę, jakby już w locie cieszyła się na łatwy żer.

– Gdzie jest Smocza Strażniczka? – spytał niespodziewanie Wichrogórzanin. Oddychał miarowo, skupiając Moc. – Co się z nią stało? Voorten o mało jej nie zabił, prawda?

– Naprawdę to teraz ma dla ciebie znaczenie? – prychnęła Elinaare.

Spoglądała nerwowo to w jedną, to w drugą stronę, gorączkowo próbując ocenić, czy zdoła jeszcze zaprowadzić gdzieś porządek, ale obozowisko z każdą chwilą ogarniał coraz większy chaos. Ludzie walczyli o miejsce pod wozami, roztrącali żołnierzy, próbując się ukryć za ich plecami, lub rzucali się do panicznej ucieczki, a niektórzy padali na ziemię i zakrywali głowy rękoma. Wrzaski Bękartów z trudem przebijały się przez lamenty uchodźców, mimo to odpowiedź Skalmira Elinaare usłyszała wyraźnie:

– Czas dobry jak każdy inny. Lepiej już, zdaje się, nie będzie. Chciałbym, żebyś mi ją przekazała.

Elinaare spojrzała na czarodzieja. Skupiał uwagę na nadlatującej bestii, jednocześnie prowadząc niemalże beztroską rozmowę.

Kim ty jesteś, Skalmirze? – pomyślała. Skąd u ciebie ów gadzi spokój? Świat na powrót znalazł się na skraju zagłady, a ty chcesz ubijać interesy?

Nie zdążyła mu jednak odpowiedzieć. Monstrualny węgorz przepływał już bowiem tuż nad obozowiskiem, zwracając paszczę to w jedną, to w drugą stronę, jakby nie mógł się zdecydować, gdzie przypuścić atak.

– Teraz! – syknął Skalmir.

Jego podwładni nie mogli go usłyszeć w tej wrzawie, mimo to wszyscy jak jeden napięli cięciwy i wypuścili pociski. Zafascynowana Elinaare patrzyła, jak te wbijają się w podbrzusze

Bękarta. Kilkakrotnie raniony potwór zwiął się w powietrzu niczym ukłuty szpilą pędrak, po czym runął na ziemię, ścigany kolejnymi pociskami.

Wichrogóry były ojczyzną Elinaare i choć nie zachowała wielu wspomnień z dzieciństwa, pamiętała, że w całych Rozkrzyczanych Krainach nie istniał lud, który mógłby dorównać jej rodakom w sztuce łuczniczej. Nie było w tym nic dziwnego – na jałowych, skalistych wyżynach Wichrogór hodowla koni była drogim zbytkiem, a ukształtowanie terenu nie sprzyjało prowadzeniu działań wojennych za pomocą konnicy. Najbogatsze rody co prawda wystawiały niewielkie poczty kawalerii, ale starcia na ogół rozstrzygane były za sprawą walk piechoty, a tę walnie wspierały formacje łucznicze. Inne ludy pogardały Wichrogórcami za ów niehonorowy sposób walki, lecz ci niewiele sobie z tego robili, bo celne strzały obrońców ojczyzny zapewniały im spokój, jakże potrzebny do studiowania magii.

Elinaare nie miała jednakże pojęcia, jak morderczą bronią jest wichrogórski łuk.

Latającego węgorza chronił pancerz – nie tak mocny jak u Smocząt, ale z pewnością twardszy od lekkiej zbroi – mimo to grot strzał wchodziły weń głęboko. Potwór z rozdzierającym piskiem runął na ziemię i przetoczył się po niej w konwulsjach, łamiąc większość pocisków tkwiących w jego ciele, ale nie uwolnił się tym od bólu. Zafascynowana Elinaare obserwowała, jak bestie opadają zbrojni Krzemienia. Przetaczający się Bękart zmiażdżył najśmielszego z nich, ale jego towarzysz zdołał w porę odskoczyć i ciąć bestię toporem przez czaszkę.

– Kolejny! – zakrzyknął Skalmir.

Oszołomiona Elinaare niemalże przeoczyła Bękarta, który zbliżał się ku ziemi. Bestia przypominała monstrualnego ptaka, z tym wyjątkiem, że lotność zamiast piór zapewniała jej błona rozpięta między kośćmi skrzydeł. Potwór nadlatywał niemalże bezszelestnie, celując w formację wichrogórskich łuczników długim, ostrym dziobem.

Wichrogórcanie mieli na reakcję zaledwie sekundy, ale zdołali powitać bestię chmurą strzał. Cel był niewielki, zbliżał się szybko i zdołał zaskoczyć obrońców, w związku z czym większość śmiercionośnych grotów chybiła. Oszołomiona Elinaare patrzyła, jak Bękart potężnieje w oczach, widziała, jak szereg łuczników pęka, a wyobrażenia podsunęła jej wizję masakry.

Wtedy Bękart zniknął.

W jednej chwili utracił materialność i przeistoczył się w smugę czarnego dymu, która stopniowo wytracała prędkość, aż osnuła wciąż zwarty szereg łuczników. Poblady Skalmir otarł krew spływającą mu z nozdrzy i niemalże nonszalancko podrzucił trzymany w dłoni górski otoczak.

Elinaare chciała coś krzyknąć, ale zaalarmował ją głośny trzask dobiegający gdzieś z tyłu.

Obejrzała się za siebie. Ogarnięci bezrozumną paniką ludzie rzucali się do ucieczki, nierządno roztrącając albo nawet tratując próbujących ich zatrzymać żołnierzy, konie rżały i szarpały więzi, a jęki i krzyki dobywające się z setek gardeł stały się ogłuszające. Spod pękniętego wozu, na który właśnie opadł kolejny z Bękartów, większość ludzi najwyraźniej zdołała uciec, ale ogarnięta zgrozą Elinaare dojrzała wstrząsane konwulsjami nogi przygniecionego człowieka. Bestia, przypominająca gigantyczną małpę z błoniastymi skrzydłami, napięła mięśnie, szykując się do skoku, a kobieta zrozumiała, że niedługo umrze.

Życie uratował jej jakiś człowiek, który poderwał się z błota i rzucił do ucieczki. Bękart wykrzywił groteskowy, małpi pysk, wyciągnął chude ramię, złapał uciekiniera w pasie i bez wysiłku oderwał go od ziemi.

Elinaare wiedziała, że musi coś zrobić. Małpa znajdowała się zbyt daleko, by zdołała ją dopaść i dźgnąć sztyletem – o ile coś takiego mogło zrobić na Bękartie wrażenie – a Mocy zostały jej absolutne resztki. Parokrotnie musiała po nią sięgnąć, by wzmocnić swe słowa lub uczynić je głośniejszymi, a więc w zasadzie wyczerpała zasoby, ale...

Nagle przed oczami stanął jej umierający Hoydn.

Bękart rozwarł ogromne oczy bez źrenic, jakby chciał się uważniej przyjrzeć złapanemu człowiekowi, a Elinaare zrozumiała, że lepszej okazji już nie dostanie. Zebrała resztki Mocy i cisnęła ją ku potworowi.

Ognia, który wskrzesiła, wystarczyłoby może do rozniecenia pochodni, ale okazało się, że więcej nie trzeba. Lewe oko latającej małpy zapłonęło, a z jej pyska wyrwał się przeraźliwy wrzask bólu. Bękart wypuścił człowieka z dłoni, odskoczył i wbił pysk w mokre błoto, lecz w tej samej chwili posypały się nań ciosy Wichrogórszan.

– Następnym! – wydyszał Skalmir.

– Rogi! – zawołał Mads.

Jego głos utonął wśród łoskotu kopyt, ale pędzący obok ludzie dobrze pamiętali zasady ustalone w drodze pod Brzask. Pierwszą z nich, najważniejszą, było ściągnięcie na siebie uwagi smoka.

Mads słusznie zakładał, że Wiatr jest jedynym oddziałem kawalerii w Rozkrzyczanych Krainach, który wypracował taktykę walki z latającymi bestiami. Smoczęta rzecz jasna nie miały o tym pojęcia, a więc pozyskanie uwagi potwora, choć zakrawało na samobójstwo, było jedyną skuteczną metodą na wciągnięcie go do starcia. Smoczęta na ogół nie należały do najmądrzejszych, a więc nie wyczuwały podstępów, a dodatkowo kusił je widok koni – kąsków nie do pogardzenia.

Pędzili z furkotem błękitnych proporczyków, a matowy ryk rogów przebijał się przez tętent kopyt. Potwór zaś zwrócił na nich uwagę – wrzasnął przesywająco i zniżył lot, ledwie poruszając ogromnymi skrzydłami.

Mads sięgnął po gwizdek dyndający mu na szyi i dmuchnął w niego trzykrotnie. Jeźdźcy natychmiast utworzyli nierówny, rozpędzony półksiężyc, po czym wznieśli kusze. Bękart przypominający motyla uderzył skrzydłami, by zwolnić, nieco zaskoczony tym, że jego zdobycz się rozpierzcha, ale kawalerzyści nie dali mu szans na reakcję. Jeden po drugim naciskali spusty kusz.

Był to zdecydowanie najsłabszy element ich taktyki, gdyż kusze były zawodne. Zdarzało się, że wypadały strzelcom z rąk albo że ci nie byli w stanie wycelować bądź gubili bełty. Teraz, na szczęście, Bękart znajdował się bardzo blisko, a wyrównawszy lot, stał się jeszcze łatwiejszym celem.

Mads z satysfakcją patrzył, jak zakończone kotwiczkami bełty rozrywają błoniastą powierzchnię skrzydeł Bękarta. Część jeźdźców korzystała z cięższych kusz, a te miały bełtami zakończonymi cienką, acz mocną linką. Po celnym strzale zawracali konie, a wtedy kotwiczki bezlitośnie rozpruwały błonę.

Celnych okazało się siedem spośród wystrzelonych pocisków, co wystarczyło, by bestia zachybotła się w powietrzu. Uderzyła mocniej skrzydłami, najwyraźniej zaskoczona rozwojem sytuacji, i znów ryknęła donośnie, ale Mads i jego podkomendni nie tracili impetu uderzenia. Któryś z jeźdźców cisnął z siodła oszczep, który wbił się w podbrzusze bestii, inny przemknął pod nim i rzucił pętlę, która zahaczyła o przykurczone szponiaste łapy.

Motyłowaty zachwiał się, pociągnięty naprzód przez jeźdźca z lassem. Jednocześnie kotwiczki tkwiące w jego skrzydłach ryły w nich coraz większe dziury. Potwór szamotał się z narastającą paniką, ale tracił lotność.

– Na bok! – zawołał donośnie Mads.

Słońce oślepiało walczących, on jednak instynktownie rejestrował wszystko, co choć na ułamek chwili zasłaniało klujący w oczy blask. Dzięki temu w porę dostrzegł Bəkarta, który wynurzył się zza tego, z którym właśnie walczyli.

– Uwaga! – wrzasnął i pochylił głowę.

Poczuł na policzkach podmuch cuchnącego wiatru, a jeden z pazurów długiego, ważkopodobnego potwora zawadził o jego hełm, ale nic ponad to. Bəkart okazał się jednak o wiele zwinniejszy od swego pobratymca, gdyż wykonał błyskawiczny skręt i już mknął ku kawalerzyście, który właśnie zawracał rumaka, skupiony na zwijaniu lassa. Bestia wysunęła niepokojąco długie nogi, wyrwała jeźdźca z siodła, rozerwała go w locie na pół i zawróciła, by przypuścić kontratak.

Z oczywistych względów nigdy nie trenowali walki z kilkoma przeciwnikami i Mads w skrytości ducha bardzo się jej obawiał. Jeźdźcy, choć szybsi od piechurów, nie byli aż tak zwinni, a dodatkowo stanowili o wiele łatwiejszy cel. Co gorsza, w chaosie bitwy nie byli już w stanie rozwinąć szarzy i mogli sami sobie przeszkadzać.

Mads przyglądał się starciu i uświadamiał sobie, że spełniają się jego najgorsze obawy. Na Bəkarta pędził jakiś jeździec, wymachując lassem, ale musiał gwałtownie wryć konia, bo tuż przed nim przebiegł tłum przerażonych uchodźców. Inny zarzucił lasso, ale chybił, nie trafił też Tluhir, który cisnął z siodła oszczepem. Tymczasem Bəkart wykonał kolejny ostry zwrot, rozorał plecy następnego jeźdźca i błyskawicznie wzbił się wyżej, nim ktokolwiek zdołał osiągnąć go włócznią.

Mads zadał w róg, dając sygnał do przegrupowania. Zawracając konia, widział, jak jego ludzie odrywają się od konającego gigantycznego motyla i pędzą ku niemu. Obrócił się w siodle i wyciągnął rękę, by wskazać reszcie niebywale zwrotną ważkę, gdy...

Blask słońca wypluł kolejne potwory.

Pierwszy zdawał się składać jedynie z ogromnej paszczy i cienkich skrzydeł, unoszących się i opadających z hipnotyczną gracją. Obok wił się dwugłowy wąż o ciele upstrzonym

furkoczącymi skrzydełkami, a za nimi szybował potwór z krótką, tępą paszczą i dziesiątkami szponów, wyrastających prosto ze skrzydeł.

Monstra rosły w oczach. Do uderzenia pozostały sekundy.

Mads podniósł gwizdek do ust. Musieli się rozdzielić i uderzyć z boków, bo w przeciwnym razie...

Ktoś się z nim zrównał. Voorten kątem oka ujrzał nieprzyjemnie bladą twarz i marchewkowe włosy. Już otwierał usta, by krzyknąć na młodego chwastownika i kazać mu się wynosić w cholere, gdy ten uniósł nagle rękę i machnął nią w lewo, jakby chciał spoliczkować niewidzialnego, górującego nad nim przeciwnika.

Bękartem z monstualną paszczą targnęła niespodziewanie ogromna siła. Zachwiał się i wpadł na wężowatego pobratymca, który odruchowo oplótł się wokół jego skrzydła. Splecione ze sobą potwory, wrzeszcząc, runęły na ziemię. Pokrzewka pochylił się nad końskim karkiem i zwymiotował z wysiłku, a Madsowi, który nie pozwolił sobie nawet na westchnienie ulgi, nagle uformowała się w głowie seria rozkazów.

– Liny! – ryknął. – Kto ma liny?

Kilku z jeźdźców, którzy do niego przypadli, uniosło ręce.

– Wy za mną! – huknął. – Reszta półkrąg! Zestrzelcie tę ważkę! Burza!

– Wiatr!

Grzmotnął piętami konia i skoczył naprzód, prowadząc kolejną desperacką szarżę.

Pazurzasty Bękart nurkował prosto ku grupie jeźdźców, przez co stanowił trudny cel – ludzie Madsa nie byli w stanie rozorać mu skrzydeł kotwiczkami ani porazić strzałami z siodła. Sam Voorten nigdy nie zdołał się wprawić w rzucaniu lassa czy liny z kotwiczką, postanowił więc zrealizować zamysł, z jakim tego ranka ruszył do bitwy.

Oto nadszedł czas, by rzucić wyzwanie samej śmierci.

– Hej, pokrako! – zawołał, unosząc się w strzemionach. – Słyszysz mnie, latająca moszno! Pytałeś kiedyś tatusia, czemu zrobił cię w takim pośpiechu? Nawet to, co wysrałem dziś rano, miało więcej gracji od ciebie!

Z relacji Elinaare wiedział, że Bękarty rozumieją ludzką mowę, a nawet potrafią się nią posługiwać, a w chwili, gdy nurkujący potwór wściekle zasyczał, Mads zrozumiał, że obelgi dosięgły celu. Uniósł się wyżej w siodle i potrząsnął włócznią w górę, na której końcu furkotała błękitna chorągiewka.



– A ty, przyjacielu, którą dupą się wypróżniasz?! – wrzeszczał. – Tą zębatą? Z przodu?

Nadjeżdżam, ukochana. Jeszcze moment, pomyślał i dmuchnął w gwizdek.

Podstęp się udał. Bękart, wpatrzony w podnoszącego się w strzemionach mężczyznę z włócznią, a do tego rozwścieczony obelgami, źle ocenił jego wzrost. Mads bowiem w ostatniej chwili opuścił broń, opadł na siodło i przylgnął do końskiego karku. Uderzenie serca później znalazł się pod potworem, a wtedy z całej siły pchnął włócznią w górę.

Impet uderzenia wyrwał mu broń z ręki, ale nie to przypięczętowało los Bękarta. Mads obejrzał się za siebie. Towarzyszący mu jeźdźcy w porę wstrzymali konie i zarzucili lassa, z których przynajmniej kilka zacisnęło się na szponach bestii.

– Ja pierdołę... – wymamrotał.

Nie pomylił się. Któremuś z jeźdźców atak się nie powiódł – Mads widział umykającego konia bez jeźdźca – ale pozostali wypełnili swe zadanie co do joty. Przynajmniej cztery liny opłoty szpony bestii i kawalerzyści wlekli teraz wrzeszczącego potwora po ziemi. Inni przypadali z boków i pchnięciami włóczni rozrywali mu skrzydła. W oddali Voorten dostrzegł Chryję, który wskoczył na cielsko potwora straconego z nieba przez Pokrzewkę, wznosił topór nad głowę i brutalnym cięciem rozplatał łeb latającemu smokowi. Ważka, która jakiś czas temu przypuściła na nich tak zdecydowany atak, teraz z trudem unosiła się w powietrzu, naszpikowana strzałami i bełtami.

Mads ściągnął wodze i znów stanął w strzemionach.

Atak z powietrza wywołał panikę wśród ludzi i trudno się było teraz rozeznac, gdzie znajduje się główna część obozowiska uchodźców z Brzasku. Mads widział jedynie poprzewracane namioty, poroztrzane wozy, rozwłózione tu i tam ciała oraz grupki ludzi, kulących się między niewielkimi oddziałami łuczników Skalmira i żołnierzy Krzemienia. Ci wciąż walczyli – Voorten dostrzegł kolisko otaczające usiłującego się wznieść Bękarta oraz kilku łuczników, którzy szyli do innego, rozstawieni na zwłokach trzeciej spośród ujarzmionych bestii. Wydawało mu się też, że dostrzega oddział Czochora, właśnie ściągający z nieba kolejne monstrum.

Niebo zaś, nie licząc paru niezdecydowanych bądź poranionych Bękartów, wydawało się w zasadzie czyste. Droga do Przełęczy

Hobolskiej wyglądała na otwartą.

Coś za łatwo poszło, pomyślał z niedowierzaniem Mads.

I wtedy usłyszał ryk głuchoborskich trąb, osobiwie cichy i rozpaczliwy.

W innych okolicznościach zapewne by zaklął, ale teraz znów się uśmiechnął.

Uniósł własny róg.

\*

Bękart, przebity dziesiątkami grotów i ostrzy włócznie, dogorywał wstrząsany konwulsjami, ale żołnierze Krzemienia, zdyszani i zbryzgani krwią, nie przestawali go dźgać. Elinaare nachyliła się i złapała pod ramiona jednego z nich, który oberwał ogonem w pierś i kaszlał krwią.

– Pomóż mi któryś! – wrzasnęła. – Do Kostura z nim!

Jakiś wojownik – po stroju poznała, że to wichrogórski łucznik – nachylił się i ujął rannego za nogi. Żołnierz oddychał z coraz większym trudem, a Elinaare po raz któryś tego dnia pożałowała, że nie ma już w sobie ani odrobiny Mocy. Wiedziała, że ostatnim ratunkiem dla rannego będzie ślepy uzdrowiciel.

– Wytrzymaj – szeptała do wojownika, który jęczał z bólu, słabnący i półprzytomny. – Jeszcze tylko chwila, jeszcze parę kroków...

Straciła rachubę czasu. Słońce dopiero wylaniało się zza horyzontu, co oznaczało, że bitwa nie trwa nawet godziny, ale jej brutalność i gwałtowność czyniła ją nieporównywalną bodaj z żadnym innym starciem. Zmasowany atak skrzydlatych potworów na obozowisko wywołał zbiorowy atak paniki. Ludzie rzucili się do ucieczki we wszystkich możliwych kierunkach, przez co wystawili się na ataki Bękartów, ale też – paradoksalnie – pokrzyżowali im szyki. Elinaare parokrotnie widziała, jak któryś z potworów wahał się, nie wiedząc, na kogo zapolować, i wtedy najczęściej padał ofiarą wichrogórskich strzał lub bełtów Wiatru. Co rusz któryś walił się na ziemię lub umykał z wielkimi wyrwami w skrzydłach i brzechwami sterczącymi z podbrzusza, a Elinaare z wolna nabierała ufności, że być może uda się jej przeżyć ten dzień.

– Nie umieraj – szeptała do dźwiganego wojownika. – Nie umieraj! Zostało jeszcze kilka kroków... Tylko kilka kroków!

Mężczyzna był ciężki, a jej brakowało sił. O mało go nie upuściła, gdy potknęła się o jakiegoś trupa, a wtedy z ust rannego pociekła krew. Oczy zapiekły Elnaare od potu.

Wtem targnęła nią straszna myśl: a co, jeśli któraś z tych bestii runęła na szpital polowy? Obejrzała się przez ramię i przez długi, straszliwy moment była przekonana, że jej przerażające przypuszczenie się spełniło. Nigdzie bowiem nie widziała namiotów. Zamrugnęła parokrotnie, by odzyskać ostrość widzenia, gwałtownym ruchem głowy strząsnęła pot gromadzący się na brwiach, nadal jednak nie zdołała dostrzec namiotów uzdrowiciela.

– Kostur! – krzyknęła ochryple, choć jej wołanie utonęło wśród ogólnej wrzawy. – Kostur!

– Tu jestem, córcia! – odezwał się uzdrowiciel tuż za jej plecami. Mówił z trudem, jakby znajdował się u kresu sił. Szaty miał uwalane krwią, ale trzymał się prosto i wszystko wskazywało na to, że nie odniósł żadnych obrażeń.

Otłuk, który prowadził go przez pobojowisko, uśmiechał się głupkowato, jakby tocząca się dookoła jatka w ogóle go nie dotyczyła.

– Masz tam coś dla mnie? – spytał Kostur i już wyciągał dłoń.

– Ranny żołnierz! – wyrzuciła z siebie Elnaare, walcząca o odzyskanie oddechu. – Oberwał ogonem! Ma chyba połamane...

– Połóż go na ziemi! – rozkazał uzdrowiciel. – Otłuk, doprowadź mnie.

– Na ziemi? – wyjąkała kobieta, pomagając ułożyć rannego, który tymczasem niebezpiecznie pobladł i stracił przytomność. – Myślałam, że może w twoim szpitalu...

– Nie ma żadnego szpitala – warknął Kostur, kłękając. – Któryś z tych skurwieli zgarnął namioty razem z kilkoma pacjentami. Teraz – machnął sękatą dłonią – to wszystko to mój szpital. – Pochylił głowę i oparł dłonie na ramionach rannego wojownika. – Uważaj na siebie, córcia – wyszeptał.

Elnaare wreszcie miała wolne ręce, dzięki czemu mogła otrzeć oczy. I natychmiast tego pożałowała.

Ujrzała bowiem dziesiątki, jeśli nie setki ciał, zalegających na ziemi wokół pozostałości ognisk, płacht będących niegdyś namiotami, szczątków wozów i zwłok Bękartów. Niektórzy uciekinierzy spoczywali na skórach czy kocach, inni leżeli bezpośrednio na zmarzniętej ziemi, jeszcze inni próbowali się podnieść, wspierając się na ramionach towarzyszy. Elnaare ze

zgrozą spoglądała na ofiary natarcia. Wokół części z nich uwijali się nieliczni pielęgniarze i felczerzy, którym udało się okiełznać lęk. Patrzyła na nieruchome ciała o bladych twarzach, w których ledwie tliło się życie, i na ciała poszarpane, zmalretowane, znieważone. Patrzyła na zakrwawione bandaże i domyślała się, co zakrywają – zmasakrowane twarze, okaleczone dłonie, wylupione oczy, potraskane kończyny. Praktyczna część jej umysłu zaczęła liczyć rannych, ale wnet się poddała, gdy Elinaare zrozumiała, że nie sposób odróżnić ich od zabitych.

Kobieta opuściła wzrok, ale wtedy dojrzała krwawe błoto i zapomnianą amputowaną dłoń. Uniosła więc głowę, ale na niebie wciąż krażyły skrzeczące szyderczo Bękarty.

Przez moment myślała, że zemdleje, aż przez huk w jej głowie przedarł się ryk rogów. Znała ten dźwięk. Otarła łzy – nawet nie wiedziała, że zaczęła płakać – i zamrugowała parokrotnie, aż dostrzegła oddział jeźdźców jadący przez obozowisko. Błękitne chorągiewki furkotały przy ostrzach włóczni.

Prowadził ich Dunstan.

Chciała do niego krzyknąć, pomachać mu, pragnęła, by na nią spojrział, ale jej głos nie przebiłby się przez zgiełk bitwy. Patrzyła więc na swego syna, dumnego i walecznego, a w myślach wznosiła modły do ducha Pani, by miała na niego baczenie.

Dunstan nie widział jej. Jego oczy były osobiście szkliste.

\*

Mads spotkał się z pododdziałami Czochora i Bielika po wschodniej stronie obozowiska. Pozdrowił obu poruczników gestem dłoni, a potem zawrócił konia ku bitwie toczącej się w oddali.

Jego nieobecny, lekko rozmarzony uśmiech natychmiast przygasł.

Na zdeptanej setkami kopyt równinie widział ogromne truchła kilkunastu, być może nawet kilkudziesięciu Bękartów, między którymi zalegały liczne zwłoki ludzkie i końskie. Bitwa przeniosła się jednakże nieco dalej, gdzie, o ile dobrze widział, hufiec pohorsko-głuchoborski został szczelnie otoczony przez wroga.

Nawet ktoś mniej wprawny w rzemiośle wojennym bez trudu wyciągnąłby wnioski. Jeźdźcy obu narodów uderzyli w masę Bękartów z miażdżącym impetem i odrzucili ich daleko, zabijając część z nich, ale szarża wnet wytraciła impet, co wróg

wykorzystał, by osaczyć konnych z boków, a potem wejść na ich tyły. Mads zaklął paskudnie.

Wygląda na to, że nietotów skurwiel spłodził znacznie więcej niż skrzydlatych, pomyślał, poprawiając sobie hełm.

– Lewe skrzydło słabsze, unikać zwarcia! – huknął. – Uderzam pierwszy i odskakuję! Po mnie Czochor! Na końcu Bielik! Naprzód, chłopaki! Pochlastamy Jaszczurowi dupsko na paseczki! Burza!

– Wiatr! – ryknęli kawalerzyści, a chorągiewki na wzniesionych włóczniach znów załopotwały.

Ich szarża powoli nabierała tempa, a szyk się rozciągał. Kawalerzyści odruchowo oddalali się od siebie, by uderzyć na jak największym odcinku. Niektórzy już trzymali łuki w dłoniach, inni pochylali się, ściskając włócznie. Kopyta łomotały, krew huczała w skroniach, wiatr poświstywał na ostrzach. Trzy pododdziały najsmiglejszego oddziału lekkiej kawalerii w całych Rozkrzyczanych Krainach przemykały między rozwłoczonymi trupami Bękartów niczym wody śmiercionośnego strumienia.

Gdy od wroga dzieliło ich zaledwie kilkadziesiąt kroków, Mads zadał w róg, a w ślad za nim poszli inni.

Sygnal przebił się przez wrzawę bitwy. Voorten widział, jak zaskoczone Bękarty odwracają łby i naraz zaczynają wrzeszczeć, ugodzone pierwszymi strzałami czy beltami. Ich horda zafalowała tym bardziej, że dosłownie chwilę później dopadli ich piersi jeźdźcy.

Mads doskonale wiedział, że jedyną nadzieją ich oddziału jest szybkość reakcji – gdyby popełnił ten sam błąd co Istvan oraz Malhorn i wdał się w dłuższe starcie, w mig zostałby otoczony i nie zdołałby się już wyrwać. Obrął za cel sześcionogiego stwora krytego huską, z wielkim łbem na giętkiej szyi. Stworzenie skakało z groteskową zwinnością to w jedną, to w drugą stronę, a jego łeb z szybkością błyskawicy poruszał się nad cielskimi innych Bękartów. Z kłów bestii ściekała krew, co oznaczało, że przynajmniej jeden jej atak okazał się skuteczny.

Któryś z kawalerzystów zdążył wpakować w cielsko potwora celną strzałę, co go zaalarmowało. Odskoczył nagle, odwrócił się, zasyczał i wtedy dostrzegł rozpedzonego Madsa, który gnał prosto na niego, celując włócznią.

– Stój! – wycharczał Voorten. – Ani kro...

Bękart otrząsnął się w okamgnieniu i uskoczył niczym monstrualny pasikonik. Ostrze włóczni ledwie drasnęło jego bok.

Kątem oka Mads zaobserwował, że w tej samej chwili któryś z jego towarzyszy ciał Bękartu toporem po grzbiecie, a inny, przeskoczywszy nad jego giętkim ogonem, obrócił się w siodle i wpakował mu strzałę w zad. Na dłuższe obserwacje czasu już nie starczyło, bo przed Madsem wyrósł kolejny łuskowany potwór, który podniósł się na tylnych łapach i wziął zamach przednią, zwieńczoną grubymi pazurami.

Voorten w porę się pochylił i włożył wszystkie siły w celne pchnięcie. Włócznia weszła w ciało Bękartu na wysokości biodra z takim impetem, że drzewce złamało się z trzaskiem. Ramię Madsa przeszył ból, a on sam nachylił się jeszcze niżej, przemykając pod walącym się na ziemię cielskiem.

Krew dudniła mu w skroniach. Chciał porwać za miecz i wbić się w sam środek tumultu, rozdając ciosy na wszystkie strony, ale nie mógł złamać wydanego przez siebie rozkazu. Szarpnął więc za wodze, kopnął konia piętami, a pulsującą bólem ręką złapał za gwizdek.

Jeden długi sygnał: zwiewamy, chłopaki.

Pędził, jakby za nim walił się świat, a wraz z nim wszyscy, którzy zdołali ująć z życiem z krótkiego starcia. Za ich plecami w lewą flankę armii Jaszczura uderzał Czochor, po nim szykował się Bielik.

Szybko! – myślał Mads. Musimy się przegrupować i przyszykować do drugiego uderzenia na wypadek, gdyby...

Gigantyczny wąż z dwoma krótkimi łapami wyrósł przed nimi tak szybko, że przerażony rumak Voortena zarżał i uskoczył w bok, o mały włos nie zrzucając go z siodła. Pułkownik się zachwiał i z trudem odzyskał równowagę. Potwór skoczył naprzód, lecz chybił celu, ale wpadł na innego jeźdźcę, samą swą masą zmiatając go z siodła. Jednocześnie gdzieś po prawej zamajaczył inny Bękart, wymachujący płataniną macek, a za nim kolejny, wykonujący gigantyczne susy.

Mads spojrział na lewo, gdzie dostrzegł kolejne kształty, ogromne i poruszające się z niebywałą zwinnością.

Na bebechy Smoczycy, osaczają nas, przemknęło mu przez myśl.

Taktyka uderzenia i odskoku, sprawdzająca się w walce z konnicą wroga, nie zdała egzaminu w starciu z Bękartami, wielokrotnie od ludzi większymi i szybszymi. Mads ściągnął wodze i poklepał konia po szyi. Na jego usta znów wypłynął ów osobliwy uśmiech zadumy, który przed bitwą dojrzała u niego Elinaare.

Dmuchał dwukrotnie, najpierw długo, a potem krótko: odwrót. Kilku najbliższych jeźdźców spojrzło na niego z niedowierzaniem.

– Spierdalać! – ryknął Mads w nadziei, że uda mu się przekrzyknąć zgiełk bitwy i wrzaski potworów. – Szybciej, zanim was odetną! Won!

Wyszarpnął miecz z pochwy i chlasnął płazem zad najbliższego rumaka.

– Wynosić się stąd! Póki można! – darł się. – Won!

Obracał głowę to w jedną, to w drugą stronę. Miał wrażenie, że pierścien Bękartów otaczających ich oddział jeszcze nie jest w pełni szczelny, ale to mogło się zmienić w każdej chwili. Dał w gwizdek – raz długo i raz krótko – i na szczęście pierwsi jeźdźcy już zawracali, pociągając za sobą innych.

– Won, chłopaki. Uciekajcie – szepnął Mads. – I życie.

Sam zaś uśmiechnął się i zawrócił konia.

Już za chwilę, Hunna! – krzyknął w myślach i podniósł miecz.

Pędził sam, nie oglądając się za siebie. Wrzeszczał, ryczał i rąbał na wszystkie strony. Chlasnął po grzbiecie najeżonym kolcami, ciał po karku, przerąbał mackę, aż niespodziewanie wypadł na wolną przestrzeń.

– Na tyle was stać, łuskowate szmaty?! – zawył. – Wiecie, padalce, z kim przyszło się wam mierzyć? Jestem Mads Voorten! Ostrze Burzy!

Rycząc, znów runął w gąszcz pazurzastych ramion, ogonów, macek i paszcz. Wił się w siodle, nachylał, robił uniki, a jednocześnie ciał i siekł. Przeorał gębę, wbił miecz w podgardle, przejechał ostrzem po skarłałym skrzydle. Zapiekły go plecy, co oznaczało, że któryś z potworów zdołał go dosięgnąć, potem oberwał w udo, o wiele mocniej. Obejrzał się w kierunku, z którego nadszedł atak, i ciał mieczem, ale klinga trafiła w próżnię. Odwrócił natomiast uwagę od tego, co działo się po drugiej stronie i...

Nawet nie wiedział, co go trafiło. Gruchnęło i poczuł, że coś wyrzuciło go z siodła. Ból był tak potężny, że Voorten nawet nie zarejestrował upadku. Jedynie dzięki instynktowi przetoczył się błyskawicznie i zerwał na równe nogi, a wtedy odkrył, że nadal ściska w ręku miecz.

– Myślicie, że bez konia... – charczał – nie dam sobie z wami rady? Szpony wam powyrywam i w dowolne otwory powpycham, pokraki!

Oszołomiony bólem, splunął krwią i spróbował się rozejrzeć, ale świat rozmazał mu się przed oczami. Odruchowo uniknął jakiejś pazurzastej łapy, nachylił się, gdy powietrze przeciał grubym ogonem, ale wtedy ujrzał kolejnego Bękartę, dwunogiego, który pędził ku niemu z rozdziawioną paszczą.

Wiedział, że nie zdoła uskoczyć. Że w zasadzie nie musi już nawet próbować.

Swoje zrobił.

– Już idę, Hunna – szepnął.

I uśmiechnął się szeroko, szerzej niż kiedykolwiek wcześniej. Miecz wyslizgnał mu się z dłoni.

Ziemią wstrząsnęło uderzenie tak potężne, że Mads się zakolysał, a pędzący na niego Bękart potknął się i zarył pyskiem w błoto.

– Pułkowniku ukochany! – rozległ się gromki, tubalny głos. – Jakże bym cię mogła opuścić w biedzie?

– Nie... – wyjąkał Mads z niedowierzaniem. – Nie! – wrzasnęła, ogarnięta zgrozą. – Tylko nie to! Uciekaj! Wynoś się stąd! Niczego nie rozumiesz!

Ryk zagłuszył jego słowa. Odurzony bólem patrzył na Lharsin, która nie przestając wściekle ryczeć, wykonuje zamach ogonem. Czas naraz zwolnił – Mads widział, jak smoczyca miażdży ciało Bękartów, a potem unosi się i opada przednimi łapami w największy ich gąszcz. Można powiedzieć, że do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak ogromna jest Lharsin, nie doceniał też należycie jej waleczności – żaden z Bękartów nie sięgał jej nawet do brzucha i żaden, choćby najzjadlejszy, nie stanowił dla niej zagrożenia. Tego, który wpił się w jej łapę, wyrzuciła wysoko w powietrze, innego, który się wczepił w jej gardziel, rozszarpała na strzępy. Kolejnemu zmiażdżyła łeb łapą, następnemu wydarła zębiskami dziurę w trzewiach.

– Wiaaaaatr! – zaryczała, plując krwawymi szczątkami. – Wiaaaaatr! Ożeż ty, kurwiu parchaty!

Strzepnęła ze skrzydła niewielkiego Bękartę, wbiła go tylną łapą w błoto i zaryczała ponownie, aż zadygotała ziemia. Jaszczurzy pomiot umykał na wszystkie strony, a wymęczone bojem, skrwawione rycerstwo Głuchoborów raz jeszcze podniosło okrzyk zwycięstwa. Zawtórowały mu trąby ocalałych Pohorców i tryumfalne okrzyki kawalerzystów Wiatru. Ludzkie hufce przystąpiły do kontrataku, starannie wymijając Lharsin, skupioną na wyłapywaniu i niszczeniu najwolniejszych Bękartów. Podniosły



się sztandary, załomotały kopyta. W walczących wstąpiła nowa nadzieja.

Jedynie Mads patrzył na to wszystko z bezgraniczną zgrozą.

– Nie – szeptał. – Nie... Lharsin, coś ty narobiła...

Świat się zatrzymał chwilę później.

# Rozdział czternasty



A tak bólu okazał się na tyle ostry, że błoga ciemność wolna od majaków, która zasłaniała przed Madsem brutalną rzeczywistość, nagle się rozwiła. Posłuszny swym odruchom Voorten poderwał się na nogi i zeszywniał, gdy poczuł przeszywający ból popękanych żeber. Wciągnął powietrze i trwał w bezruchu, czekając, aż ból minie.

W końcu się rozejrzał.

Nadal trwał słoneczny zimowy dzień. Na równinie, zdeptanej kopytami, zrytej pazurami i zbryzganej krwią, jak okiem sięgnąć leżały ludzkie i końskie ciała. Nie ruszał się nikt.

Nikt poza wysokim, chudym mężczyzną, który siedział naprzeciwko Lharsin i wpatrywał się w nią intensywnie, oparłszy łokcie na kolanach.

– Mads Voorten, tak? – spytał nieznajomy. Jego głos, osobiwie głęboki i mocny, zdawał się dobiegać zewsząd jednocześnie.

Mads zamrugał parokrotnie i uświadomił sobie, że nieznajomy ma na oczach opaskę.

– Nietrudno cię było znaleźć – ciągnął obcy. – Zawsze pośród największego zamieszania. Zawsze z mieczem w dłoni. Wiesz, Voorten, że w Rozkrzyczanych Krainach żyło tylko dwóch ludzi zdolnych kształtować przeznaczenie? Pierwszym był Król-Wieszcz, który jednakże postanowił przed owym przeznaczeniem umknąć, a drugim jesteś ty. I to dlatego postanowiłem cię obudzić.

Cisza była przytłaczająca. Poza lekkim poświstem wiatru i chrapliwym, sennym oddechem Lharsin nie było słyhać absolutnie niczego: ani prychania koni, ani szczęku oręża czy pobrzękiwania uprzęży, ani krakania wron.

Świat zdawał się tkwić w bezruchu.

– Oni żyją, tak...? – wychrypiał Voorten, walcząc z falą bólu.

– Chyba – odparł obcy. – O ile nie przytrafił im się pech.

– Czego... czego ty chcesz?

– Już niczego – odparł nieznajomy. – Dostałem wszystko, czego chciałem.

Poklepał przy tym Lharsin po nozdrzu. Smoczyca nie zareagowała. Wydawała się spać, choć Mads przypuszczał, że została czymś odurzona. Kojarzył coraz więcej faktów i z każdym nowym odkryciem przeszywał go kolejny dreszcz grozy.

– Ty jesteś Jaszczur – wychrypiał.

Mężczyzna siedział bokiem, ale Mads wyczuł, że się skrzywił.

– W rzeczy samej. Postaram się jednak, by ludzie wnet zaczęli mnie nazywać inaczej. Nie z szacunkiem, skądże. Na tym mi nie zależy. Mogliby jednak zwracać się do mnie z większym przerażeniem, nie sądzisz?

Mads uświadomił sobie, że od rozmówcy dzieli go kilkanaście kroków. Zbyt wiele, by doskoczyć i chlasnąć go ostrzem.

Ale zaraz... – pomyślał. Skoro on jest tak daleko, to kto mnie kopnął?

Spojrzał za siebie. Kilka kroków dalej stała młoda dziewczyna o zmierzwionych włosach i tępowej twarzy. Jej oczy lśniły szkliście jak u człowieka skrajnie znużonego bądź pijanego.

– Zadbam o to – ciągnął Jaszczur – choć może nie od razu. Najpierw – znów poklepał smoczyce po nozdrzu – muszę popracować nad rozbudową armii. Dziękuję za sprowadzenie mi tej krowy, Voorten. Ludzie sporo o niej mówili, wiesz?

Dziewczyna pochyliła głowę, jakby nagle zaczęły jej dokuczać wyrzuty sumienia, a Jaszczur mówił dalej:

– Dowiedziałem się między innymi, że łączą was szczególne relacje, wyszedłem więc z założenia, że na pewno przybędzie ci na ratunek, gdy się znajdziesz w opresji. A wówczas będę mógł... Cóż, przekonać ją do swoich racji.

– Zorganizowałeś to wszystko, tak? – wycedził Voorten. – Wygnałeś nas z Brzasku, a potem zainscenizowałeś tę bitwę, by Lharsin przybyła nam na odsiecz?

– Potrzebowałem jej – odparł obcy niemalże z rozbawieniem. – Urodzi mi wiele, wiele dzieci.

– Zostaw ją – jęknął Voorten. – Na wszystko, co święte, daj spokój tej durnej...

– Mam ją zostawić, tak? – Mężczyzna nagle się podniósł i gwałtownym ruchem zerwał opaskę z twarzy. – Ponieważ taka jest twoja wola?

Mads cofnął się o krok, zdjęty zgrozą.

Obcy miał na sobie znoszony strój żebraczy, a z jego ramion spływał wystrzępiony koc. W stroju tym nie było nic szczególnego, z wyjątkiem może naszyjnika z górskich otoczaków, ale jego twarz przyciągała uwagę i kazała zapomnieć o czymkolwiek innym. Nieznajomy nie miał bowiem oczu – w jego oczodołach płonął ogień, żarłoczny i gwałtowny, gotów pożreć cały świat.

– Kazałem cię obudzić, Voorten, ponieważ uwielbiam symbolikę – ciągnął Jaszczur, a płomień z każdym jego słowem buchał mocniej. – Jako żywy oddałeś mi tę oto piękną samicę,

która urodzi mi więcej dzieci niż wszystkie inne, a gdy już umrzesz, przekażesz mi władzę nad przeznaczeniem. To niezwykle interesująca chwila, niestety będziesz jedynie jej biernym uczestnikiem. Nie masz już nic do powiedzenia.

Mads spoglądał w owe płonące oczy i naraz uświadomił sobie, że przecież nie ma się czego obawiać. Wyjechał wszak na spotkanie śmierci i choć nie zdołał jej odnaleźć w ścisłości bitwy, ta czaiła się w pobliżu.

Znów się uśmiechnął.

– Strasznie dużo gadasz, gadzie – powiedział niemalże beztrąsowo. – A nie powinienes się aby spieszyć?

Jaszczur szedł ku niemu. Płomień w jego oczodołach skrzyły i syczały.

– Wręcz przeciwnie – rzekł. – Powinienem się nacieszyć tą chwilą.

Ogień zdawał się teraz rozlewać dookoła niego, jaśniejszy od blasku słońca. Mads odruchowo zmrużył oczy i nieznacznie odwrócił głowę.

I wtedy ujrzał coś, co nie pasowało do reszty.

– Gdy zginiesz, w Rozkrzyczanych Krainach nie będzie już nikogo, kto zdoła stawić mi opór – syczał Jaszczur. – Bo przecież nie ten głuchoborski książę idiota ani też ów fanatyk z Pohorów z gadającą sroką, co? W byłej Strażniczce też nie widzę odpowiedniej kandydatki. Postawiłbym na Tuistan, ale ci w porę ujrzeli mój majestat i zdecydowali się ustąpić bez walki, za co jestem im umiarkowanie wdzięczny.

– Tuistanie zawsze byli tchórzami – rzucił pogardliwie Mads. Nie wiedząc do końca dlaczego, postanowił grać na czas.

– Och, mylisz się – prychnął Jaszczur. – Tuistanie wykazali się mnóstwem zdrowego rozsądku, Voorten.

– Mój Wiatr liczył trzysta koni – wycedził Mads. – Głuchoborzanie mieli drugie tyle, Pohorcy nieco więcej. Do tego doliczmy dwie setki Wichrogórczan. – Rozejrzył się wymownie. – Wystarczył niecały tysiąc zbrojnych, by zarżnąć około setki twoich pokrak – mówił. Robił wszystko, by jego głos nadal brzmiał obojętnie, co nie było łatwe, bo ujrzał coś, co niespodziewanie obudziło w nim nadzieję. – Pomyśl, co będzie, jak zbiorę ich pięć razy tyle.

– Och, ależ ja wiem, co będzie! – Jaszczur się roześmiał. – Pięciokrotnie większe pobożowisko, Voorten!

– Nie bardzo się znasz na planowaniu przyszłości, co? Widzisz, nie wystarczy wydymać wielkiej Smoczycy, by obalić imperium. Trzeba jeszcze...

– Milcz! – huknął Jaszczur z mocą wybuchającego wulkanu. – To była tylko dziecinna zabawa. Fortel, który miał na celu wywabienie twojej hałastry z Brzasku i ściągnięcie tej tłuściutkiej krówki. Z następną bitwą poczekam, Voorten. Poczekam, aż moje potomstwo wyrośnie, nabierze sił i rozumu. Poczekam, aż się nauczy karności.

Z każdym słowem Jaszczura, mimo płomieni spowijających jego sylwetkę, Mads czuł, jak po plecach spływa mu chłód. Świat się rozplątał i Voorten nagle ujrzał pogrążoną w ciemnościach przestrzeń, w której spoczywały rzędy fosforyzujących jaj. Musiały być ich setki, jeśli nie tysiące. Patrzył na nie z rosnącym przerażeniem, aż uświadomił sobie, że słyszy dobiegające skądś słabe echo żalonych porykiwań, które musiały należeć do uwiecznionych smoczyc.

Jaszczur pozwolił mu wejrzeć w swoje plany. To zaś oznaczało...

– Tobie jednakże nie przyjdzie już tego ujrzeć – zasyczał obcy. – Tobie bowiem pisana jest śmierć.

Uniół ramiona spowite płomieniami.

Nie, pomyślał Mads ze zgrozą. Nie tak! Nie w ten sposób!

Owszem, chciał zginąć. Ruszał do boju z przeświadczeniem, że to jego ostatnia walka. Pragnął zrobić wszystko, co w jego mocy, by zapewnić przyjacielom zwycięstwo bądź chociaż przetrwanie, sam jednak nie chciał już wracać. Nie zamierzał dłużej żyć ze świadomością popełnionego błędu, ale nie zamierzał też ginąć jak bezwolne bydło.

Jaszczur się zbliżał, unosząc płonące dłonie. Mads chciał się cofnąć, rzucić na ziemię i przetoczyć, by może złapać jakąś broń i spróbować stawić czoła półbogu, ale odkrył, że nie jest w stanie zrobić ani kroku. Więziła go moc Jaszczura. Mógł tylko stać i bezradnie wpatrywać się w zbliżającą się śmierć.

Naraz ognistą aurę zakłócił jakiś szybki ruch.

– Panie! – krzyknęła dziewczyna o szklistych oczach.

Mads bardziej wyczuł, niż zobaczył, że Jaszczur obrócił się ku słudze. W tejsze chwili za jego plecami wyrosła jakaś postać. Rdzawe płomienie odbiły się od klingi wznoszonego miecza, który nagle opadł niczym ognista błyskawica.

Światem wstrząsnął ryk bólu. Moc, która więziła Madsa, nagle znikła, a on sam runął na kolana, przyciskając dłonie do uszu.

Poczuł gwałtowne zawroty głowy i ledwie utrzymał się w pionie, mimo to nie mógł oderwać wzroku od rozgrywającej się przed nim sceny.

Bo Jaszczur, którego ogień nagle przygasł, zataczał się teraz, zaciskając dłoń na rozrąbanym barku, z którego krew ciekła obfitym strumieniem. Nie przestając wrzeszczeć, odwrócił się, by spojrzeć na swego prześladowcę, który właśnie unosił miecz do kolejnego ciosu.

– Uwóżaj, Bielik! – zakrzyknął Mads, choć jego ostrzeżenie nie miało prawa się przebić przez przeraźliwe wycie potwora.

Zresztą Bielik i tak za nic miałby przestrogi Voortena. Szybki niczym najdzikszy z wichrów Wiecznej Zamieci, doskoczył do zaskoczonego Jaszczura i ciał go ponownie, tym razem płasko, przez pierś. Jego ostrze przecięło łańchmany oraz skórę przeciwnika, znów buchnęła krew.

Jaszczur się zatoczył i nagle eksplodował w oślepiającej kuli ognia.

Bielik padł na ziemię, wypuszczając miecz, a Mads odruchowo zacisnął powieki. Wrzask nagle się urwał.

Voorten powoli otworzył oczy i westchnął ciężko na widok czarnego krateru w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Jaszczur. Świat spowijała teraz absolutna cisza, zakłócana jedynie łomotaniem serca.

– Miałem skurwiela – jęknął Bielik, podnosząc się. Miał osmolony płaszcz i twarz poczerwieniałą od gorąca. W zimnym powietrzu niósł się smród jego spalonych włosów. – Bo to był on, Voorten, prawda? To był Jaszczur? – Nie czekając na odpowiedź, podszedł do czarnego kręgu i przystanął. Zachwiał się na jego skraju i wsparł się na mieczu. – Miałem go – wyszeptał suchym głosem. – Widziałeś, Voorten? Tak niewiele zabrakło...

To był półbóg, Bielik! – chciał zakrzyknąć Mads. Ba, może nawet bóg! Najpierw zabił Smoczycę, a potem wydał wojnę wszystkim Rozkrzyczanym Krainom. Jego nie można po prostu zabić!

Nic jednak nie powiedział. Był na to zbyt wyczerpany, zbyt obolały.

Zbyt zobojętniały.

Istniało jednak coś, co nie dawało mu spokoju.

– Dlaczego? – wychrypiął. – Dlaczego ty jeden oparłeś się czarowi? – Zatoczył drżącą ręką krąg, wskazując pole bitwy zasłane nieruchomymi ciałami ludzi i koni.

– Nie on jeden – odezwała się niespodziewanie dziewczyna o szklistych oczach, której okrzyk wcześniej odwrócił uwagę Jaszczura.

– Kim jesteś? – spytał Bielik, a Mads nagle uświadomił sobie, że oboje mają identyczne spojrzenie.

– Nazywają mnie Naparstek. – Dziewczyna wzruszyła chudymi ramionami. – A jestem... chyba kimś takim jak ty.

W oczach Bielika pojawiło się zaskoczenie. Przez długą chwilę wpatrywał się w nieznajomą, a Mads niemalże widział, jak w jego głowie niektóre fakty zaczynają się łączyć z innymi. Sam uśmiechnął się lekko, bo także pokojarzył to i owo. Zrozumiał, że oto stanął przed szansą poznania największej tajemnicy wojny ze Smoczycą, i nawet otworzył usta, by zadać pytanie... ale zrezygnował.

Ogarnęło go bowiem obezwładniające znużenie. Zwiesił bezwładnie głowę na chwilę przed tym, jak poruszył się pierwszy z zaczarowanych przez Jaszczura ludzi, a Lharsin z trudem otworzyła oko.



# Epilog



Mads przespał niemalże wszystko. Miał świadomość, że wokół niego dzieją się ważne rzeczy, ale instynkt wojownika, który w takich sytuacjach kazał mu się zrywać i łapać za miecz, obumarł w nim niemal całkowicie. Jakiś głos szeptał do niego bezustannie, że to już nie jego wojna. Że on swoje zrobił, a od dalszego uczestnictwa w wydarzeniach zwalniało go brzemię straszliwego błędu popełnionego w Brzasku.

Wolał milczeć. Pograżać się w nieruchomej, martwej rozpaczy.

– Hunna – szeptał tylko, ale nikt mu nie odpowiadał.

Wybudzał się czasem. Słyszał meldunki Czochora i Krzemienia, słyszał tubalne ryki Malhorna, skrzeczenie kruka Istvana i zmęczony głos Elnaare, dzięki czemu doszedł do wniosku, że jeźdźcy, którzy wyszli z bitwy bez szwanku, przez resztę dnia na powrót gromadzili rozpierchłych uchodźców. Czuł na sobie dłonie Kostura i wiedział, że stary uzdrowiciel leczy mu strzaskane żebra. Czuł na zarośniętych policzkach jęczyczek Kupki i wydawało mu się, że słyszy tęskne rżenie Żmijki. Chyba się nawet uśmiechnął, ale na więcej nie było go już stać.

Wydarzenia toczyły się obok niego. Leżał nieruchomo i wpatrywał się w spowijającą go ciemność.

Tak było lepiej. Wygodniej. Czuł się wszak bardzo, bardzo zmęczony.

Hunna, szeptał w myślach, choć resztki nadziei już dawno skruszyły się jak pergamin ciśnięty w płomienie.

Gdzieś go wieźli. Świat się poruszał i terkotał miarowo, wokół pokrzykiwali ludzie, a słońce nadal padało na jego twarz, gorące pomimo chłodnego powietrza. Mads złościł się w duchu, bo wolał bezruch i absolutną ciemność. Chciał się przewrócić na bok, ale nie wykrzesał z siebie wystarczająco wiele sił.

Hunna, powtarzał w myślach raz za razem.

Elnaare coś do niego mówiła. Trzaskały płomienie, Pokrzewka pobrzękiwał na lutni, Kupka pochrapywał, skulony na jego brzuchu. Ktoś śpiewał, ktoś inny się śmiał, jeszcze ktoś nakazał durniom ciszę.

Bo pułkownik śpi.

Kto taki? – Mads zaśmiał się w duchu i zacisnął mocniej powieki, by przywabić ciemność jeszcze bliżej. By się osunąć w niepamięć i zagubić wśród sennych majaków.

Z mroku wyłonił się Jaszczur. Krzyczał, syczał i groził, wymachując płonącymi ramionami, a gdy Voorten skierował przeciwko niemu włócznie, zaczął podrygiwać niczym podczas tańca. Wtedy Mads dostrzegł, że depcze szczątki kamiennego posagu. Odrzucił włócznie, chciał paść na kolana i błagać go, by nie bezcześcił jego świętości, ale wtedy Jaszczur eksplodował płomieniem tak jasnym, że pułkownik skulił się jak przerażone zwierzę.

I umknął z krainy snu.

Leżał i czekał, aż serce mu się uspokoi, a oddech wyrówna. Pod skórą, którymi go przykryto, było mu gorąco i pocił się obficie, ale uznał, że to też go nie interesuje. Miał wrażenie, że z oddali dobiegają okrzyki zdumienia i zachwytu. Były mu obojętne.

Przez szparę w górnej części namiotu widział, jak po ciemnym niebie prześlizgują się zielone plamy.

A więc zorza polarna.

Widywał je na Pustaci. Tam, gdzie poznał Hunnę. Tam, gdzie pokochał po raz pierwszy i jedyne.

– Hunna...

Nie było odpowiedzi. W myślach wył z rozpacz, błagał ciemność, by znów go oddzieliła od świata i obdarzyła spokojem.

I ciemność posłuchała. Przykucnęła przy nim niczym żywa istota, otuliła go i zasłoniła sobą świat, a potem zesłała nań sen bez majaków, długi i ujmująco spokojny. Mads raz tylko wybudził się na chwilę, gdy odniósł wrażenie, że ktoś wszedł do jego namiotu i ujął go za rękę.

– Mads a-hyle – powiedział przybysz znajomym głosem, ale Mads nie miał pewności, czy nie nawiedził go strzęp snu, więc nie zareagował. Jedyne wcisnął się głębiej w ciemność, niczym zwierzę chroniące się przed pogonią.

– Hunna – szepnął. A może zawołał?

– Jestem tu – odpowiedziała. – Jestem przy tobie, Mads.

## **BŁYSKOTLIWE POŁĄCZENIE SAPKOWSKIEGO I PILIPIUKA**

Edmund zwany Kociołkiem, niegdyś żołnierz w armii księcia Stefana,  
dzisiaj spełniony mąż i ojciec, a do tego karczmarz słynny na całe Wichrowiny,  
wdepnął w bagno, które podejrzanie zalatuje Złem.

Razem ze swą drużyną do zadań specjalnych otrzymał zlecenie,  
które okazało się czymś więcej niż zwykłym dostarczaniem przesyłek  
czy osłanianiem karawan.



**KARCZEMNE BIJATYKI, DWORSKIE SPISKI,  
NOCNE BIESIADOWANIE... PRZEKONAJ SIĘ,  
CO JESZCZE CZEKA NA CIEBIE W DOLINIE!**

**Szukaj w dobrych księgarniach**



WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

## Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.  
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

**SQNSTORE.PL**

**labotiga.pl**